

Helen Dickson

Portrait



Rozdział pierwszy

Londyn 1770

Posępna mgła pełzała po zaułkach i ponurych, zaśmieconych uliczkach St Giles - odrażającego, brutalnego i srogiego miejsca, pełnego ludzi, smrodu i hałasu. Tu gwałt i śmierć były na porządku dziennym. Żar lał się z nieba na mieszkańców dzielnicy - nieokiełznany motłoch, szczątki nędznego życia. Na złodziei, bandytów, żebraków, umalowane dziwki, włóczęgów. Brudnych mężczyzn, kobiety i dzieci w łachmanach. Większość z powodu ubóstwa i głodu miała zniszczone i przedwcześnie postarzałe twarze. Niektórzy szukali pociechy we flasce z tanim dżinem. Alkohol lał się tu strumieniami jako lekarstwo na ból i zniechęcenie. Wprawdzie rujnował zdrowie, ale pozwalał zapomnieć o rozpacz i przynosił barwne sny o szczęściu i bogactwie.

Adam powoli przeciskał się przez rozgadany tłum, przyglądając się każdej twarzy w poszukiwaniu znajomych rysów. Nie zauważył, że kilka kroków za nim jak cień snuje się jakiś wyrostek - chudy, niepozorny, w postrzępionym ubraniu

i wielkim kapeluszu naciągniętym na uszy. Kiedy Adam odwracał głowę, chłopak natychmiast zniknął.

Adam był tak pochłonięty swoim zadaniem, że z opóźnieniem zareagował na nagłe zderzenie. Poczował, że ktoś szarpnął za jego dewizkę od zegarka. Szybko sprawdził kieszonkę. Pusta. Zaklął szpetnie, uzmysłowiwszy sobie, że został okradziony przez sprytnego złodzieja. Odwrócił się i zauważył młodego obdartusa umykającego w głąb ulicy. Natychmiast rzucił się za nim w pogoń płataniną wąskich uliczek.

Po chwili złodziej został pochwycony przez dwóch niewiele starszych od siebie uliczników. Pewnie liczyli na nagrodę. Adam rzucił im po pół szylinga, złapał wyrostka za chudą rękę i nie zważając na to, że się szamocze, pociągnął go za sobą. Chłopak kopnął go w łydkę. Adam skrzywił się z bólu i zwolnił uścisk.

Złodziej odwrócił się i próbował uciec, lecz tuż po pierwszym kroku poczuł, że ktoś mu podstawił nogę. Przewrócił się i wylądował na brzuchu w błotnistej kałuży. Przez chwilę leżał z wypiętą pupą, oszołomiony nagłym upadkiem. Łzy wstydu napłynęły mu do oczu, lecz mimo wszystko nie zapłakał. Ubłocony, pozwolił się podnieść z kałuży, ale natychmiast odskoczył pod ścianę, wyrwał nóż zza pasa i wyciągnął przed siebie rękę.

- Wypruję ci wszystkie flaki! - wrzasnął. Wyglądał jak rozwścieczone zwierzę.

Adam błyskawicznie dobył szpady i wprawnym ruchem doświadczonego szermierza przystawił sztych do gardła chłopaka. Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy. Zło-

dziejaszek oniemiał na widok śmiercionośnej sprawności przeciwnika.

- Lepiej nie próbuj - ostrzegł Adam. Zapędził chłopaka w róg uliczki. - Nie dodawaj morderstwa do kradzieży. Oddaj mi nóż - rozkazał. - Tylko powoli, jeśli łaska.

Twarz złodziejaska była umazana błotem, ale widać było, że poczerwieniał. Dyszał ciężko, zapewne trochę z gniewu, a trochę ze strachu. Wreszcie z ociąganiem spełnił polecenie. Adam zerknął na nóż, wetknął go za cholewę i schował szpadę.

- Paskudna broń - mruknął. Obrzucił chłopaka ciężkim spojrzeniem. - Sprytny jesteś, mój mały. Sprytny, ale jeszcze musisz się długo uczyć. No i czemu się dałeś złapać?

Złodziej nerwowym ruchem potarł obolałą rękę tam, gdzie przedtem zacisnęły się silne palce Adama. Spode łba patrzył na stojącego przed nim wysokiego mężczyznę. Bezbronny, wydawał się jakby mniejszy i chudszy niż przedtem.

- Co się stało? - zapytał Adam. - Strach cię obleciał, że pójdziesz do więzienia?

- Ręka mnie boli. To przez ciebie - rzucił chłopak oskarżycielskim tonem i zmrużył oczy.

- Jeszcze raz spróbuj mnie okraść, a ja stracisz, gówniarzu - obiecał Adam. Wyciągnął dłoń. - Oddaj mi zegarek.

Zielononiebieskie oczy chłopaka z nienawiścią patrzyły na Adama. Był zły, że tak łatwo się poddał. Czuł w brzuchu nieznośną pustkę i już wyobrażał sobie obfitą kolację, którą mógłby zjeść po sprzedaży zegarka, nawet jeśli Jack zabrałyby swoją dolę.

- Oddaj mi zegarek. Nie będę powtarzał... - Adam zmar-

szczył brwi, nie słysząc odpowiedzi. W jego oczach zamigotały gniewne błyski. Chłopak zrozumiał, że do tej pory i tak miał wiele szczęścia. Adam oburącz chwycił go za kłapy spłowiełego kaftana i uniósł tak, że stopy złodziejzka ledwo dotykały ziemi.

- Pierwszy lepszy strażnik nauczy cię rozumu - zagroził, przysuwając twarz do jego twarzy.

Jeniec zbladł i skrzywił się ze strachu. Ów wysoki szermierz może powlec go na oczach ludzi aż do magistratu... A złodziejstwo niemal natychmiast karano więzieniem. Chłopak niechętnie sięgnął do kieszeni workowatych spodni i wyjął zegarek.

- Weź go pan sobie - mruknął. - I... i przepraszam. - Ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło,

Adam puścił chłopaka i wziął zegarek. Ze zdziwieniem spojrzął na drobne dłonie złodziejzka. Przydatne w jego fachu. .. - pomyślał z kwaśnym uśmiechem. Chłopak wyraźnie dbał o swoją nędzną skórę. Gdyby się nie zląkł, nie zwróciłby zegarka.

- Zwykle przeprosiny na pewno nie wystarczą za to, co zrobiłeś.

Złodziej w milczeniu zerknął na niego gniewnym wzrokiem - i napotkał dziwnie jasne spojrzenie niebieskich oczu. Adam miał twarz ogorzałą od słońca. Był wysoki, barczysty, ale wąski w biodrach, twardy i muskularny. Bez wątplenia potrafił dobrze jeździć konno, władać szpadą i polować. Spod trójgraniastego czarnego kapelusza wymykały mu się kosmyki ciemnych włosów. Miał lekko orli nos, a zmysłowe pełne usta były teraz zaciśnięte. Sprawiał wrażenie zaprawionego w walce.

Może mieć najwyżej dwadzieścia osiem lat... - pomyślał chłopak. W rysach mężczyzny zauważył stanowczość i zdecydowanie połączone z powagą. Sądząc po zachowaniu, manierach i słownictwie, był to ktoś dobrze urodzony. Surowy wzrok Adama zdawał się przewiercać chłopaka na wylot i obnażać jego najskrytsze sekrety. Zimny dreszcz przebiegł po plecach złodziejaszka. Chłopak pośpiesznie spojrział w bok. Chciał uciec, ale nie mógł, bo ciemniejszy wciąż tarasował mu drogę.

Adam chłodno przyglądał się złodziejowi. Dawał mu nie więcej niż trzynaście lub czternaście lat. Nieoczekiwanie dla samego siebie poczuł coś na kształt współczucia. Do tej pory było mu to całkiem obce. Rysy mu nieco złagodniały, już się nie złościł. Młody chłopak - nieledwie dziecko - w za dużych łachmanach na pozór niczym się nie różnił od innych uliczników, których pełno kręciło się po St Giles. A jednak było w nim coś... Coś, co zwróciło uwagę Adama.

W zamyśleniu popatrzył na złodziejaszka. Chłopak musiał gdzieś liźnąć nieco wykształcenia... Nawet kłął po francusku, gdy Adam go podnosił za tyłek z kałuży.

- Co mam z tobą zrobić? To prawda, że kradniesz, ale jesteś przecież dzieckiem. Bardziej zasłużyłeś na porządne lanie niż wyrok magistratu.

W oczach chłopaka błysnęło przerażenie zmieszane ze złością.

- Dotknij mnie pan tylko, a klnę się na Boga, że tego pożądajesz! - warknął zduszonym głosem.

Po tej groźbie Adam z premedytacją pochylił się nad dzieckiem, aż ich oczy znalazły się na jednej linii. Spojrzął na

niego twardo zimnym jak lód wzrokiem i powiedział zводniczo łagodnym tonem:

- Uważaj, mój chłopcze. Nie kuś mnie, bo zaraz ci wymierzę karę, na jaką zasłużyłeś. Nigdy nie biłem dzieci, ale teraz mogę odstąpić od swoich zasad...

Chłopak przypatrywał mu się bez słowa. Adam uznał, że dość już go nastraszył, więc wyprostował się powoli.

- Jak to się dzieje, że okradasz spokojnych przechodniów, chociaż wiesz, że możesz iść za to do więzienia? Jeśli trafisz na surowych sędziów, to ani się obejrzysz, a będziesz dyndał.

W odpowiedzi chłopak szybko kiwnął głową.

- Lepšie to niż powolne umieranie z głodu - zamruczał.

Adam powściągnął uśmiech i spojrzał surowo.

- Twoi rodzice wiedzą, czym się zajmujesz? - spytał. W gruncie rzeczy na tyle znał ludzkie przywary, aby domyślać się, że rodzice chłopaka pierwsi korzystają ze skradzionego dobra.

Złodziejczak obrzucił go wyzywającym spojrzeniem. Dumnie uniósł głowę i wysunął podbródek.

- A co to ma do rzeczy?

Adam wzruszył ramionami. Z powrotem przypiął zegarek do łańcuszka i schował do kieszeni. Z zadumą patrzył na chłopaka.

- Wiesz chociaż, gdzie ich szukać?

Złodziej wepchnął głęboko ręce do kieszeni, rozgarnął piach nogą i zwiesił głowę.

- Nie żyją - wyznał ponuro.

- Rozumiem - westchnął Adam. Usłyszał, że chłopcu burczy w brzuchu i nagle pożałował urwisa.

- Miałem zamiar coś zjeść. Przyłączysz się do mnie, czy jesteś zbyt uparty, żeby posłuchać głosu własnego żołądka? Wyglądasz, jakbyś nie zjadł porządnego posiłku co najmniej przez miesiąc, a może nawet dłużej.

W oczach chłopca było niedowierzanie. Nieufnie zerknął na Adama.

- Nie przyjmuję jałmużny. Umiem o siebie zadbać.
- Wiem - sucho przyznał Adam. - Wolisz kraść.
- Sam sobie wybieram towarzystwo przy stole.
- Jak chcesz. - Adam odwrócił się i odszedł.

Chłopak spoglądał za nim, zagryzając usta. Był strasznie głodny. Ostatni raz jadł kilka długich godzin temu, w dodatku tylko twardy chleb i nieco starego sera. Głód kazał mu zapomnieć o niechęci. Oderwał się od ściany i pobiegł za odchodzącym Adamem.

- Zaczekaj pan! W zasadzie mogę coś przekąsić - mruknął, chociaż naprawdę wiele go kosztowało, żeby to powiedzieć.

Adam uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Więc śpieszmy. Ociągasz się, mały - zauważył i skreślił do najbliższej gospody.

Chłopak łypnął na niego. Nie bawiły go takie żarty. Gdyby nie był porządnie głodny, kazałyby temu gogusiowi skakać do Tamizy.

Weszli do karczmy, omijając pijaków. W środku było ciemno, brudno i głośno. Ściany poczerniały od dymu z paleniska, świec i fajek. Usiedli w mrocznym kącie i zamówili strawę. Adam spojrział na swego towarzysza. Chłopak siedział prosto, z uniesioną głową. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Wyszedł z niej zwycięsko. Zachowywał się niczym młody

książę, chociaż odziany był w stare, za duże łachy. Oczy mu błyszczały. Kamienna twarz Adama złagodniała, gdy uświadomił sobie, jak podle wyrostek musi się czuć.

Poczuł w sercu ukłucie. To jedno z setek zagubionych dzieci, wałęsających się bez celu po ulicach Londynu. Adam już widywał ich brudne, wychudzone buzie, pusty wzrok i smętne, zniechęcone miny. Nigdy nie znały swoich rodziców albo rodzice nie chcieli ich oglądać. Mogły tylko kraść lub żebrać.

Adam mimo woli pomyślał o kimś innym - tej samej krwi, chociaż zrodzonym z nieprawego łoża... Co się z nim teraz dzieje? Może także głodny i obszarpany trafił na ulicę? Jak zdołał przeżyć pozbawiony tych wszystkich przywilejów, do których kiedyś przywykł? Uniósł głowę. Siedzący przed nim złodziej dziwnie jakoś stał się bliższy jego sercu. Z nieznanym sobie powodów postanowił mu ulżyć - chociaż przez chwilę. Może chłopak z wdzięczności też zechce mu pomóc?

- Skoro jemy razem, musimy się lepiej poznać. Mam na imię Adam, a ty?

Chłopak spojrzał mu prosto w oczy. Był spięty. Wciąż mu się zdawało, że jego przeciwnik jest groźnym sokołem, a on sam drobnym ptaszkiem... a może nawet myszką, która lada moment wpadnie w ostre szpony.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał.

Adam przez chwilę walczył z narastającą ciekawością. Zerknął na swego towarzysza. Potem nonszalancko wrzucił ramionami.

- Tak tylko pytam. - Ziewnął. - Nikt ci nie dał imienia? - zadrwił. Chłopak uparcie milczał. Adam popatrzył na niego spod oka, szczerze zdumiony takim uporem.

- Ed - odparł wreszcie złodziejasek.
 - Ed? Jaki Ed?
 - Zwyczajnie, Ed - padła ostra odpowiedź. Dość tego dobrego.

- Może być. „Zwyczajnie Ed” też mi się podoba.

Ed zrobił skwaszoną minę i zaczął się wiercić. Wreszcie ściągnął kapelusz i podrapał się w głowę. Miał źle obcięte włosy nieokreślonej barwy.

Adam uśmiechnął się na ten widok.

- Chyba najwyższa pora, żebyś poszedł do kąpieli.
 - Umiem o sobie zadbać - burknął znowu Ed i z powrotem nacisnął kapelusz na uszy. - A poza tym kąpiele są tylko dla szlachty, a nie dla takich jak ja.

Był wyraźnie speszony spojrzeniem Adama, bo jeszcze niżej opuścił rondo kapelusza. Czasami widać więcej niż potrzeba.

Adam przyglądał mu się ze spokojem. Uświadomił sobie, że sam przecież też nie jest niewiniątkiem. Ale wciąż ciekawiły go losy chłopaka.

- Gdzie mieszkasz, Ed? To znaczy... dokąd wracasz, kiedy już nie okradasz ludzi na ulicach?

Mięśnie drobnej twarzy drgnęły nerwowo, zdradzając złe myśli. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła...

- Zadajesz za wiele pytań - burknął Ed.
 - Wiem. To mój nawyk. Ale ukradłeś mi zegarek, więc chyba zasłużyłem na jakąś odpowiedź.

Ed spojrzał na niego. Zobaczył w niebieskich oczach siedzącego naprzeciw mężczyzny isierki tłumionej wesołości. Ale twarz Adama pozostawała nieprzenikniona.

- Mam... małą izbę.

- Z przyjaciółmi?

- Nie. Jestem bardzo ostrożny w doborze przyjaciół - odparł chłopak. Stracił trochę ze swojej zadziorności. - W gruncie rzeczy nie są potrzebni. Może niektórym tak, ale nie mnie. Ludzie są całkiem inni, niż nam się wydaje. Nie wolno im ufać. Z nikim się nie zadaję. Tak jest lepiej... i prościej.

- Musisz być bardzo samotny.

Ed spojrzał na Adama z taką miną, jakby głęboko zastanawiał się nad tym słowem. Samotność... - westchnął. Tak, pewnie jest samotny. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że samotność może być tak dokuczliwa. Jeszcze gorzej, gdy jest podszyta strachem... O, właśnie. Ed zawsze bał się, że go złapią. Nienawidził kradzieży. Nienawidził St Giles. Z całego serca tęsknił za normalnym życiem. Nie zamierzał bez przerwy oglądać się przez ramię. Ale jakies pół roku temu - kiedy nagle trafił w zaułki Londynu - nie miał wyboru. Musiał wkroczyć w świat, którego nie rozumiał, i poddać się władzy tyrana. Tyrana, który wyłącznie dla własnego kaprysu w każdej chwili mógł go nawet zabić.

- No cóż... - ciągnął Adam. - Rozumiem, że w twoim fachu bez przerwy musisz myśleć o zrabowanych dobrach. Na pewno niejeden chciałby je zagarnąć.

Ed zmarszczył brwi.

- Strzegę swoich tajemnic... Ale nic poza tym. Niczego nie posiadam.

- Masz siebie - cicho zauważył Adam.

- Tak? - spytał Ed, myśląc o Jacku. Ciekawe, co by ten na to

powiedział? Jack uważał chłopaka za swoją cenną własność. - Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- A ja zawsze mam tę świadomość - odparł Adam. Z powagą popatrzył na Eda. Doszedł do wniosku, że mały złodziej jest dużo mądrzejszy, niżby się zdawało na pierwszy rzut oka. - Wyglądasz na niegłupiego. Mógłbyś niejedno zdziałać, gdybyś tylko zechciał... Ale nie, ty wolisz szwendać się po ulicach. Brak ci wiary we własne siły? Zapomniałeś o dumie? Gdybyś o niej pamiętał, nie zostałbyś złodziejem. Dlaczego kradniesz, Ed? Nie znasz innej metody, by zarobić na życie?

Ed skierował na niego spokojne spojrzenie. Oczy mu pociemniały od jakichś dziwnych wspomnień.

- Znam, znam... - westchnął cicho. - Ale tak jest lepiej. Dużo lepiej.

- A jednak w wolnej chwili pomyśl nad tym, co ci przed chwilą powiedziałem.

Chłopak pokiwał głową. W lot zrozumiał, że Adam mówi to całkiem szczerze.

- Dobrze... chyba powinieneś wiedzieć, że jednak na przekór wszystkiemu mocno wierzę w siebie - wyznał. - Wcale nie lubię kraść. Chcę z tym skończyć i kiedyś na pewno tak zrobię. Bez przerwy marzę o bezpiecznym miejscu, w którym nareszcie mógłbym być tylko sobą. W przyszłości zmienię całe swoje życie, pod warunkiem... że znajdę sposób, by tego dokonać.

Adam mu uwierzył. Co gorsza, był zakłopotany tak głębokim wyznaniem, płynącym - co tu dużo mówić - z głębi serca... i zabarwionym odrobiną bólu. W szeroko otwartych oczach Eda czaiła się wewnętrzna siła, ale on sam chyba

jeszcze nawet nie zdawał sobie sprawy, ile w nim drzemie możliwości. Żal mi go, westchnął w duchu Adam, dziwiąc się własnym myślom. Szczupły młodzieniec budził w nim jakieś cieplejsze uczucia. Zastanawiał się, jak mu pomóc.

- Lepiej się pospiesz - powiedział łagodnie. - Złodzieje krótko żyją. Prędzej czy później każdy z nich kończy na szafocie. Następnym razem, jak cię złapią, to pewnie już się nie wywiniesz. Nie wszyscy są tak pobłażliwi jak ja. Zawsze włóczyłeś się po ulicach? Chyba nie... - mruknął bardziej do siebie niż do Eda. - Skąd przyjechałeś? - spytał. - Może z Francji?

Chłopak zeszywniał nagle i na jego twarzy pojawiła się czujność.

- Dlaczego tak myślisz?

- Kiedy wyciągałem cię z kałuży, przepięknie kłamię po francusku.

Ed z kamienną miną przymknął oczy. Nigdy nie lubił mówić o sobie, zwłaszcza z nieznanymi.

- Znów zadajesz za dużo pytań - burknął, nie patrząc na Adama.

Adam uśmiechnął się i powoli pokiwał głową. Domyślił się, że Ed woli zapomnieć o przeszłości.

- Musisz mi wybaczyć. Chyba za bardzo wtykam nos w nie swoje sprawy. Trochę to dziwne, bo sam zwykle jestem dosyć skryty, a tu innych wyciągam na zwierzenia. Nie przejmuj się. O, właśnie podają jadło.

Ed z zachwytem spojrzął na ciepły chleb z masłem, ociekające sosem kawałki mięsa i ciasto przetykane jabłkami i gruszkami. Przez kilka sekund toczył ze sobą ciężką walkę, z góry

skazaną na przegraną, a potem niczym wygłodniały wilk rzucał się na jedzenie. Adam jadł dużo wolniej i przypatrywał mu się z rozbawieniem. Ma naprawdę ciekawą twarz... Nie mógł się powstrzymać, by nie uwiecznić jej na papierze. Po chwili sięgnął do kieszeni po kawałek węgla i mały szkicownik. Rysował bardzo szybko, bez wysiłku.

Ed zaspokoił pierwszy głód i poczuł rozkoszne ciepło w brzuchu. Coraz leniwiej sięgał po jedzenie i rozkoszował się każdym kęsem. Wreszcie wyciągnął poszarpaną szmatkę i energicznie wytarł usta. Powoli rozprostował plecy i wygodniej rozsiadł się na krześle. Już dawno nie czuł się tak dobrze. Z zainteresowaniem zerknął na Adama, ciągle pochłoniętego swoją pracą. Spojrzał na jego szczupłe dłonie i długie zręczne palce. Tak, to był człowiek na pewno wykształcony i różnych talentów... Zauważył, że Adam wciąż odrywa wzrok od papieru. Zaciekawiony, pochylił się nad stołem.

- Mogę popatrzeć?

- Proszę bardzo. Jak ci się podoba? - Adam odwrócił kartkę i uniósł ją w stronę chłopca.

Ed aż się zająknął ze zdumienia. Z niedowierzaniem patrzył na swój portret. Podobieństwo było niezwykle - ta twarz przecięta głębokim cieniem, te smutne, zamyślane oczy...

- To... To ja - wyszeptał, nie odrywając wzroku od rysunku.

- Na pewno zrobiłbym to lepiej, gdybym miał trochę więcej czasu.

- Niezłe, niezłe... Prawdziwy talent. Powinieneś zostać malarzem.

- Rad jestem, że ci się podoba. Przyrzekam, że pomyślę nad twoją propozycją - odparł Adam z lekko złośliwym uśmiechem i błyskiem w oku.

- To bardzo dobrze - powiedział Ed trochę ciszej, ale z wyraźnym przekonaniem. - Zbiłbyś majątek na portretach. Mogę go zatrzymać?

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Adam wydarł kartkę ze szkicownika i podał ją chłopcu. Z uśmiechem patrzył, jak Ed starannie ukrył swój skarb za pazuchą, pilnując, żeby się nie pogniótł.

- Lepiej się czujesz z pełnym brzuchem? - spytał.

Ed kiwnął głową i chyba przypomniał sobie o dobrych manierach, bo powiedział:

- Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Proszę.

Chłopak już dawno przestał się złościć. Pod czujnym wzrokiem Adama wyglądał raczej na speszonego. Po chwili nawet się zaczerwienił. Zaczął się wiercić, jakby chciał zadać jakieś ważne pytania. Chyba był ciekaw, kim jest człowiek, któremu skradł zegarek i który umie dobrze rysować. Czemu nie oddał go w ręce straży? Inni zrobiliby to bez wątpienia. Ed lekko przechylił głowę w bok i baczniej spojrział na towarzysza. No, cóż... Nie mógł odmówić mu męskiej urody.

- Jesteś dżentelmenem. Co taki ktoś robi w St Giles? - zapytał. - Mów sobie, co chcesz, lecz ja nie wierzę, że wybrałeś się tu na przechadzkę. Chłopak nagle rozchmurzył się i roześmiał na całe gardło. W jego oczach zamigotały przekorne iskierki, jakby pomyślał o czymś sprośnym.

- Czego tu szukasz? Chcesz zaspokoić swoje nieczne żądze? - spytał bezwstydnie. - Przyznaj się, że najzwyczajniej w świecie szukasz dziwki. Znajdziesz ich pełno, ale w zamian możesz nabawić się czarnej ospy lub gorszej zarazy.

Adam zaczerpnął tchu.

- Nie zwykłem płacić za rozkosze ciała. Nawiasem mówiąc, nigdy nie musiałem. Możesz mi śmiało wierzyć, że na ogół podobam się kobietom. Urwał nagle i przez chwilę milczał, jakby nad czymś się zastanawiał.

- Szukam chłopca - dodał opryskliwym tonem.

Ed od pół roku przebywał w St Giles, więc już niczemu się nie dziwił. Przyszło mu do głowy, że Adam jest jednym z tych bogatych lubieżników, którzy pławili się w odrażającym grzechu.

Tymczasem jego towarzysz w lot zrozumiał myśli Eda i wzdrygnął się. Takie praktyki napawały go zgrozą. Spoważniał nagle, a jego oczy zamieniły się w sople lodu.

- Nie gustuję w chłopcach - warknął. - Ten, którego szukam, to mój krewny. Zaginał dwa miesiące temu. Próbuję go odnaleźć.

- Uciekł z domu?

- Nie. Został porwany.

- Myślisz, że właśnie w St Giles?

- Mam powody, by przypuszczać, że tak jest. Ostatnio widziano go w towarzystwie mężczyzny i kobiety. Moi ludzie przeczesali już niemal całe miasto. Wszystkie ślady wiodą do St Giles. Niestety, są tu takie miejsca, do których nie mogę dotrzeć. To zajęcie raczej dla kogoś, kto od dawna umie się poruszać w tej płataninie ulic i podwórek. Dla kogoś... takiego

jak ty - dodał cicho i spod oka popatrzył na Eda. - Może po-
węszyłbyś trochę? Po cichu i dyskretnie.

Złodziejaszek zerknął na niego podejrzliwie.

- Mam co robić. Zamiast węszyć, wolę jednak szperać po
cudzych kieszeniach.

Adam pogardliwie wydał usta.

- Ten, kto wybiera fach złodzieja, winien się pozbyć wszel-
kich skrupułów.

Ed miał ochotę krzyknąć, że to jego życie, a te nędzne
ulice są jego jedynym domem... że Jack zmusza go do kra-
dzieży. ..

Westchnął.

- Masz rację - odpowiedział krótko.

Adam pochylił się w jego stronę. Wyczuwał, że Ed słono
zapłacił za swoją wiedzę. Tu, w St Giles, życie nikogo nie roz-
pieszcza.

- Posłuchaj mnie. Chcę ci zaproponować układ.

Powiedział to z takim naciskiem, że chłopak natychmiast
pokręcił głową.

- Żadnych układów.

- Spokojnie, chłopcze. Najpierw mnie wysłuchaj. Wiesz
co? - zapytał Adam kpiącym tonem. Wyciągnął rękę i ujął
młodego złodzieja pod brodę. - Chyba nie muszę ci przypo-
minać, że nie tak dawno próbowałeś uwolnić mnie od zegarka.
To ciężkie przestępstwo. A ponieważ zegarek wart jest ponad
szylinga, jest to także przestępstwo, za które wieszają. Mam
rację? No, sam widzisz... Jeżeli mi zatem pomożesz, to ja też
wyświadczę ci przysługę i nie wezwę ludzi szeryfa.

Ed popatrzył na niego spode łba.

- To nie przysługa, lecz zwykły szantaż.

Adam uniósł brwi.

- Możesz niezłe zarobić. Obiecuję ci, że dostaniesz sowi-
tą nagrodę. Przecież przed chwilą sam mi powiedziałeś, że
zamierzasz zmienić swoje życie. Dzięki mnie spełnisz te ma-
rzenia. Musisz mieć tylko otwarte oczy. Chłopiec liczy so-
bie zaledwie dziewięć lat, jest szczupły, o brązowych oczach
i czarnych włosach. Wołają na niego Toby.

- Taki opis pasuje do setek chłopców z St Giles. Powia-
dasz, że jest tutaj od dwóch miesięcy? - Ed uśmiechnął się
kwaśno i powoli pokręcił głową. - Jeśli żyje, to nikt go już
nie rozpozna.

Cień przemknął po twarzy Adama.

- To nieprawda.

- Takiś pewny?

- Toby urodził się z prawą nogą krótszą od lewej i z wykrę-
coną stopą. Może poruszać się tylko o kulach. To kaleka.

Ed westchnął ciężko, ale zachował niewzruszoną minę.

- Jak wielu innych... Chociaż tylko część z nich została
napiętnowana przez los już od urodzenia. Znam też takich,
którzy zostali okaleczeni przez okrutnych „opiekunów”. Sam
wiesz, kalece łatwiej żebrać... Można wystawić go na pokaz
i brać pieniądze od gawiedzi.

Adam wyjął z kieszeni sakiewkę i ukradkowym ruchem
podał ją chłopcu.

- Weź to na początek. W środku jest pięć gwinei. Za cztery
dni znów się spotkamy. Wtedy dostaniesz więcej.

Ed zważył sakiewkę w dłoni. Pięć gwinei... Już od dawna
nie miał w ręku tak pokąźnej sumy. W jego sercu pomału roz-

kwitała nadzieja, ale jeszcze nie myślał poważnie o przyszłości. Z niedowierzaniem spojrzął na Adama.

- I wszystko, co mam zrobić, to poszukać chłopca?

Adam potwierdził.

- Nawet nie musisz z nim rozmawiać. Wystarczy tylko, że mi powiesz, gdzie go szukać. Zajmę się resztą. Byłbyś głupcem, gdybyś nie przyjął takiej propozycji.

- Skąd wiesz, że nie ucieknę z twoimi pieniędzmi?

- Nazwijmy to przecuciem. Lubię cię, Ed. Wzbudziłeś moje zaufanie.

Łzy błysnęły w oczach chłopaka. Do tej pory nikt tak do niego nie mówił.

- Dzięki - wyszeptał. - Naprawdę nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. Nie masz powodów, by mi ufać.

Adam uśmiechnął się.

- To prawda - przyznał. - Ale nie próbuj mnie zniechęcić.

- Dobrze.

W głosie Adama pobrzmiwała niekłamana troska o los Toby'ego. Ed uważniej przyjrzał się swemu rozmówcy. Spojrzał na jego gęste, potargane włosy koloru dojrzałych orzechów. Na ciemne brwi, długie rzęsy i mocno zarysowaną szczękę. Adam mówił głębokim, przyjemnym barytonem, a drobne zmarszczki w kącikach oczu świadczyły o tym, że lubi się uśmiechać. Bez wątplenia miał poczucie humoru. Zachowywał się z dużą pewnością siebie, być może nawet z lekką arogancją, ale nie było w nim nic z fałszu albo okrucieństwa. Ed nigdy nie widział równie przystojnego mężczyzny. Chyba go lubię, pomyślał ze zdumieniem.

- Przepraszam, że cię okradłem. Zrobię wszystko, żeby odnaleźć Toby'ego... jeśli nadal jest w St Giles.

- Świetnie. - Adam wierzył mu bez zastrzeżeń. Wiedział, że Ed przyjdzie na miejsce spotkania. Gdyby jednak się nie stawił?. .. Oznaczałoby to, że coś go powstrzymało.

Adam uniósł kieliszek.

- Za powodzenie naszej sprawy - powiedział, wychylając trunek jednym haustem. - Masz, weź to sobie.

Podał chłopakowi nóż - ten sam, który mu zabrał.

- Ale nie wyciągaj go, jeżeli nie chcesz kogoś zranić.

Wyszli z gospody. Umówili się na spotkanie za cztery dni, w południe, w tym samym miejscu. Adam jeszcze przez chwilę stał na ulicy i patrzył za chłopakiem. Kilka sekund później Ed - cichy jak poranna mgła - zniknął w płątaniu uliczek St Giles.

Rozdział drugi

Heloise Edwina Marchant z trzaskiem otworzyła drzwi zrujnowanej kamienicy w Zapłutym Kącie. Weszła do środka. Powitał ją znajomy smród brudu, zgnilizny i potu. Wąły blask słońca z trudem przebijał się przez szyby. Edwina wspięła się na wąskie, zaśmiecone schody i weszła na półpiętra. Próbowwała nie słuchać płaczu głodnych dzieci i donośnych awantur urządzanych przez podpitych mieszkańców. W tym domu niemal wszyscy - nie wyłączając kobiet - zaglądali do butelki z dżinem.

Kilka tygodni wcześniej ten hałas i widoki przyprawiły ją o mdłości. Teraz stały się częścią codziennego życia. Już nawet się nie odwracała, przechodząc obok pijaka. Nie bała się okrutnych „uroków” St Giles.

Weszła do małego pokoju, który wynajął jej Jack Pierce, gdy zaczęła dla niego pracować. Zwykle mieszkało tu jeszcze kilku chłopców, ale teraz część odeszła do Mamy Pratchet - wiecznie zalanej starej wdowy, wyglądającej jak góra mięsa. Mama Pratchet też pracowała dla Jacka. Opiekowała się młod-

szymi dziećmi, które Jack wyluskiwał z tłumu sierot i uliczników. Starsi chłopcy uczyli ich sztuki złodziejstwa.

Początkowo Edwina ze ściśniętym sercem patrzyła na umorusane buzie złodziejasek. Chciała pomóc im wszystkim, przygarnąć do siebie, pocieszyć w chwili nieszczęścia. Szybko jednak zrozumiała, że musi być twardsza, jeżeli chce przeżyć w zaułkach St Giles.

Światło dnia wpadające przez umyte okno wydobywało z cienia kilka połamanych mebli, parę naczyń i wąskie łóżko z siennikiem, stojące pod ścianą. Edwina zdjęła kapelusz, położyła się i wcisnęła głowę w twardą poduszkę. Dusić ją od zapachu biedy.

Zatęskniła za innym światem - do piękna, wygod i luksusu. .. Zamknęła oczy. Pomyślała o miękkim łóżku, białych prześcieradłach i delikatnej woni perfum. O pokojówkach, które bez szemrania spełniały każde jej życzenie. Nagle otworzyła oczy i popatrzyła na popękany sufit. Och, tak... Tamte wspomnienia były gorsze od rzeczywistości. Sprawiały dużo więcej bólu. Myśl o ojcu i utraconym domu wydawała się jakimś odległym snem.

Być może to spotkanie z Adamem wywołało falę nostalgii. Ale życie nie pozwalało na takie wycieczki w przeszłość. Edwina z bólem uprzytomniła sobie, kim jest teraz. Wspomnienia nic tu nie pomogą, pomyślała. Chcąc przetrwać, nie można użalać się nad sobą.

Wyjęła z kieszeni sakiewkę, którą dostała od Adama, i przycisnęła ją do piersi. Za pięć gwinei mogłaby odejść od Jacka i nareszcie zacząć żyć własnym życiem - może nawet pojechać do Francji i poszukać krewnych matki. Nikt nie wiedział,

jak bardzo zależy jej na tym, aby zrzucić z siebie skórę złodziejstwa. Ale niestety, z każdym mijającym dniem rósł jej długi wobec Jacka. Czasem zastanawiała się, czy nie zatrzymać sobie jakichś pieniędzy. Nie... Oddawała mu wszystko co do pensa. Jack sprzedawał skradzione kosztowności i wypłacał jej małą nagrodę. Według Edwiny było to niesprawiedliwe, ale nie próbowała z nim się kłócić. Poza tym teraz, jeśli naprawdę chce znaleźć Toby'ego, musi zwrócić się o pomoc właśnie do Jacka.

A Jack jest sprytny - chyba najsprytniejszy ze wszystkich ludzi, których Edwina poznała w swoim krótkim życiu. Ale to on ją wciągnął na ścieżkę przestępstwa, kiedy samotnie przyjechała do Londynu. Jack przybył tam trzy lata wcześniej, uciekając przed sprawiedliwością. Wybrał St Giles, bo tu mógł swobodnie rozwinąć skrzydła, nawiązać odpowiednie kontakty i znajomości, a na koniec stworzyć własne podziemne królestwo.

Przekonał ją, że mroczne londyńskie zaułki są najlepszym schronieniem dla uciekinierów. Dobrze trafił, bo Edwina próbowała za wszelką cenę umknąć przed przeszłością i odzyskać pieniądze, które jej skradziono w drodze z Hertfordshire na południe. Uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Była przerażona, bo pierwszy raz w życiu znalazła się sama daleko od domu i wszystkich miejsc, które niegdyś знаła. Myślała jedynie o tym, żeby przetrwać w obcym świecie.

Co prawda miała już osiemnaście lat, lecz po ucieczce z domu stryja udawała młodszego chłopca. Obcięła włosy i nosiła obszerne kapelusze, żeby ukryć swoją tożsamość. Szczupła, umorusana, mogła każdego zmylić. Postanowi-

ła, że przez pewien czas zostanie w Londynie, aż zarobi na podróż do Francji.

Nawet Jack nie znał jej tajemnicy. To on nauczył ją kraść, a Edwina okazała się bardzo pojętnym uczniem. Jej edukacja przebiegała sprawnie. Dziewczyna była gibka i bystra, miała zręczne palce. Wprawdzie brzydziła się kradzieżą, ale Jackowi o tym nie mówiła.

Bywał zły, kiedy wracała z marnym łupem. Wtedy najbardziej się go bała. Kiedyś sprzedała jakiś cenny drobiazg innemu paserowi. Modliła się, żeby Jack o tym nie usłyszał. Płonne nadzieje. Oczywiście dowiedział się o wszystkim i wpadł we wściekłość. Teraz Edwina już wiedziała, że nie warto z nim zadzierać. Zamierzała mu oddać nawet te pięć gwinei, które dostała od Adama. Paliły ją policzki - zawsze tak się działo, kiedy była zła lub zażenowana. Przecież ma się czego wstydzić. Najbardziej ją bolało, że parę miesięcy temu zaufała Jackowi.

Tymczasem on okazał się prawdziwym mistrzem manipulacji. Wiedział, kiedy być miłym, a kiedy okrutnym. Zmusił ją do posłuszeństwa. Chodziły słuchy, że jest bardzo zły i że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Powiadano nawet, że ma morderstwo na sumieniu.

Mieszkał sam, nad lombardem na Fleet Street, ale zawsze ktoś przy nim się kręcił. Pracowali dla niego inni, na ogół równie młodzi i bezbronni jak Edwina. Jack starannie planował każde posunięcie, jakby żywymi pionkami rozgrywał jakąś upiorną partię szachów. Znano go w całym St Giles, nikt mu nie dorównywał przebiegłością i sprytem. Niewielu było od niego silniejszych i twardszych.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Edwina natych-

miast usiadła i zapaliła ostatnią świecę. Resztę zjadły szczyry. Żółty blask wypełnił ponure pomieszczenie. Przez chwilę tępyim wzrokiem patrzyła w jasny płomyk. Drgnęła, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem. W progu stanął Jack. Średniego wzrostu, ale barczysty i dobrze umięśniony, o grubych kościach i nieregularnych rysach. Na głowie nosił zniszczony, niegdyś czarny cylinder ze zwisającym wronim piórem, przekniętym przez rondo. Na ramiona zarzucił poplamione bure palto. Ono też pamiętało lepsze czasy.

- Tu jesteś, Ed... - mruknął.

Podsunał sobie krzesło, usiadł i rozprostował nogi. Brudne szare pończochy ledwie mu weszły na grube łydki. Rzucił cylinder na stół, przeczesał palcami rzadkie ciemne włosy na świecącej czaszce i ponurym wzrokiem spojrzął na dziewczynę. Czarne oczy płonęły złym blaskiem pod krzaczastymi brwiami.

- Byłem ciekaw, gdzie się podziewasz. Kiepski dzień - burknął. - Masz może coś więcej niż reszta hałustry? Może jakiś zegarek albo tabakierkę?... Wystarczy nawet wachlarz lub damska torebka.

- Nie... nic z tych rzeczy... - westchnęła Edwina. - Tylko kilka chusteczek, na szczęście koronkowych - i nieco pieniędzy.

Na te słowa Jack zerknął na nią z ukosa, świdrującym wzrokiem. Szybki, drapieżny ruch zwierzęcia czyhającego na ofiarę.

- Pieniądzy, mówisz? Na przykład ile?

- Pięć gwinei... a będzie jeszcze więcej, jeśli pomożemy znaleźć pewnego chłopca. Mam to obiecane.

Jack zmarszczył grube brwi.

- Chłopca, powiadasz? Niby jakiego chłopca?

- Ma na imię Toby. - Edwina podała mu dokładny opis malca poszukiwanego przez Adama.

W oczach Jacka błysnęło zaniepokojenie.

- Kim jest ten człowiek, co go szuka?

Edwina wzruszyła ramionami.

- Adam. Wiem tylko tyle.

- Ile da za chłopaka?

- Tego nie mówił. Obiecał, że nie pożąda grosza.

Jack zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu pokiwał głową.

- Popytam. Można mu wierzyć?

- Na pewno. Był... był bardzo miły. - Edwina zebrała się na odwagę i dokończyła szybko:

- Jack, pozwól, że odejdę, kiedy to się skończy. Już od początku ci mówiłem, że wybieram się do Francji. Chcę znaleźć krewnych mojej matki.

Jack nie był zadowolony.

- Ho, ho... To takie buty? Zamierzasz uciec, Ed? - zadudnił.

- Nie. Przecież jestem z tobą szczerzy. Mam dość takiego życia - odpowiedziała dziewczyna, z trudem panując nad zdenerwowaniem.

- Dość? - ze zdumieniem powtórzył Jack. Podskoczył na krześle. - Po tych wszystkich kłopotach, które z tobą miałem, żeby cię nauczyć wszystkiego, co umiesz?! Dość?

Edwina pokręciła głową i głośno przełknęła ślinę.

- Dużo o tym myślałem, Jack. Nie chcę być niewdzięczny, ale... to już koniec. Chyba nie potrafię być złodziejem.

Jack przypatrywał jej się, mrużąc oczy. Miał kilkunastu chłopców na każde skinienie. Był ich jedynym panem i wymagał absolutnego posłuszeństwa. Kradli, kiedy im kazał, a jeśli nie chcieli, ryzykowali śmierć przez powieszenie „za dawne przewinienia”. Jack bez skrupułów szedł wtedy do sądziego, wydawał podwładnych i inkasował czterdzieści funtów nagrody, wypłacanej przez władze za każdego złodzieja, któremu ktoś potrafił udowodnić winę.

Ed był dobrym złodziejem - być może najlepszym - ale miał swój rozum... i w tym właśnie problem. Jack nic o nim nie wiedział. Nie znał jego przeszłości. Początkowo zupełnie mu to nie przeszkadzało, ale teraz... Jack już go widział w grupie starszych chłopców. Nie chciał się z nim rozstawać, choć tamten bez przerwy opowiadał o Francji. Przecież to mrzonki...

- Radzę ci, nie uciekaj. Nic ci z tego nie przyjdzie. Jesteś mój, zrozumiałeś? - Jack chwycił sakiewkę i położył ręce na stole. - Siadaj. Coś mi się zdaje, że musimy pogadać. Zawiodłem się na tobie, Ed. A już myślałem, że się rozumiemy. Chyba się pomyliłem.

Edwina spojrzała na niego ponad stołem. Ujrzała jego prawdziwą naturę. Bała się go, bo wiedziała, że jest niebezpieczny. Mówił cicho i bez pośpiechu, lecz ze skrywanym gniewem. Siedział, dysząc ciężko i rozdymając nozdrza. Edwina położyła dłonie na kolanach, żeby ukryć ich drżenie. Była bardzo blada. Gdyby Jack teraz krzyknął, chyba by zapłakała. W jednej chwili mógł zmusić ją do posłuszeństwa.

- Doskonale się rozumiemy, Jack. Niestety, już nie wytrzymam dłużej takiego życia.

- Wiesz co? Jesteś niewdzięcznym gówniarzem. Łudziłem się, że mnie choć trochę lubisz.

- Byłeś... byłeś mi potrzebny.

- A teraz nie jestem? To chciałeś mi powiedzieć?

Jack podejrzliwie zmrużył oczy. Zbliżył twarz do twarzy Edwiny.

- Nie próbuj mnie oszukać, chłopcze. Myślisz sobie, że schowasz gdzieś część łupów? Gadaj zaraz! Pamiętaj, że ja tu dowodzę. Na Boga, chciałbym ujrzeć tego, kto by próbował mnie przechytrzyć!

Edwina uniosła głowę, zdecydowana bronić się do końca. Zachowanie Jacka budziło w niej przerażenie - ale bardziej się bała tego, co z nią będzie, gdy ją wreszcie przytapiają na jakiejś kradzieży. Tak, jest tchórzem...

- Niczego nie ukrywam, Jack. Nie potrafiłbym cię okłamać.

- Źle ci było, od kiedy cię przygarnąłem? Dostałeś wikt i opierunek... Choćby za to powinieneś dziękować mi na kolanach. Zawsze miałem do ciebie pewną słabość, Ed - ciągnął Jack. - Podobasz mi się, bo nie brakuje ci rozumu i sprytu. Uważam cię za mądrzejszego od pozostałych chłopców. Uczysz się szybko i potrafisz trzymać gębę na kłódkę. Obchodziłem się z tobą jak z jajkiem. Mało tego, dałem ci dużo swobody.

- Jestem ci wdzięczny, Jack, za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ale zanim odejdę, muszę wreszcie trochę zarobić.

Jack ciągle pochylał się w jej stronę. Miał nieprzyjemną twarz, a jego oddech śmierdział tanim rumem.

— Wmawiasz mi, że nie jestem uczciwy wobec ciebie?

- Tylko raz zarobiłem odrobinę więcej, kiedy zaniósłem łu-

py do innego pasera. Za to, co mi płacisz, ledwie mogę wyżyć. Nie jesteś hojny, Jack - dokończyła Edwina nieco ostrzejszym tonem.

Jack gniewnie błysnął oczami.

- Ach, ty młody hultaju... Jeszcze mnie popamiętasz! - warknął groźnie. - Myślisz, że możesz podskakiwać? Co za bezczelność! Inni się nie skarżą!

- Nie narzekają, bo się ciebie boją - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Zupełnie mi to nie przeszkadza. Mają mnie słuchać i koniec.

- Wiem. - Edwina wstała. - Daleki jesteś od miłosierdzia i współczucia, prawda, Jack?

- A co to ma wspólnego ze mną? Miłosierdzie i współczucie? To ruina. - Herszt bandy złodziei uśmiechnął się złośliwie.

Ze zgrzytem odsunął krzesło, wstał i z namysłem spojrzął na Edwinę.

- Dam ci więcej - powiedział nagle. Pomyślał, że tłustym kąskiem można uciszyć szczekającego psa.

- Trochę za późno - zdecydowanym głosem odparła Edwina. Dobrze wiedziała, że teraz już nie może się wycofać. - Postanowiłem, że odchodzę.

Jack wybuchnął stekiem tak okropnych przekleństw, że dziewczyna poczerwieniała. Miała ochotę mu powiedzieć, żeby wynosił się do diabła, ale wolała go nie drażnić. Niech się wygada i wtedy pójdzie, pomyślała.

Jack złapał ją i przyciągnął do siebie.

- Posłuchaj, chłopcze... - wydyszał jej prosto w twarz. -

Zapamiętaj, co ci teraz powiem. Nie próbuj uciekać, bo jak cię znajdę, to ci porachuję wszystkie kości.

Brutalnie wykręcił jej rękę. Zarechotał, gdy Edwina krzyknęła z bólu, a potem pchnął ją z taką siłą, że potoczyła się na stół i przewróciła krzesło.

- To tylko początek tego, co cię czeka, jeśli spróbujesz ze mną zadrzeć. Lepiej, żebym cię nie musiał szukać.

Ostatnie słowa jeszcze długo dźwięczały w uszach Edwiny. Poczowała się zdradzona i oszukana. Była przekonana, że będzie mogła odejść, kiedy zechce, że Jack mimo wszystko jej na to pozwoli...

- Jakże byłam głupia! - zaszlochała. Wróciła myślami do wydarzeń, które poprzedzały jej eskapadę. Chciała znaleźć moment, w którym na dobre stała się własnością Jacka. Z bólem uświadomiła sobie, że już na początku wpadła w jego sidła.

Nie wiedziała, co począć. Dokąd mogłaby uciec, skoro ma przy sobie zaledwie garść miedziaków? Oprócz Jacka nie zna tutaj właściwie nikogo. Nikt by jej nie przyjął, nikt nie dałby schronienia...

Poczowała się zmęczona. Usiadła, oparła łokcie na stole, zwiesiła głowę, ukryła twarz w dłoniach i westchnęła.

- Och, tato... - szepnęła. - Dlaczego umarłeś? Czemu musiałeś mnie zostawić na łasce stryja Henry'ego?

Gordon Marchant był dla niej dobrym ojcem. Wciąż pamiętała, jak przystojny i dumny, uśmiechnął się do niej z siodła przed odjazdem. Wtedy po raz ostatni opuścił swą piękną posiadłość w Hertfordshire, zwaną Oakwood Hall. Wybierał się do jednego ze swych wierzycieli, Silasa Clifforda, hrabie-

go Taplow, z prośbą o krótkie odroczenie spłaty ostatniej części długu. Towarzyszył mu Henry. Edwina wspierała się na palce, żeby uściskać ojca. W jego objęciach czuła się przytulnie i bezpiecznie.

- Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważał - powiedziała.

- Nie bój się, Edwino - odparł cicho, wypuszczając ją z objęć. - Niedługo wrócę. A gdyby nawet coś mi się kiedyś stało, to zawsze masz Henry'ego. On się tobą zajmie.

To były jego ostatnie słowa.

Henry przywiózł ciało brata przewieszona w poprzek końskiego grzbietu. Bogata odzież Gordona Marchanta była prześląknięta krwią. Edwina patrzyła na to ze ściśniętym sercem. Henry zarzekał się, że Gordon zginął zabity przez bandytów na drodze do Taplow Court. Musiała mu uwierzyć. Zapewniał, że zajmie się jej przyszłością. Zajął się... niecny zdrajca.

To właśnie Henry spisał kontrakt ślubny z hrabią Taplow. Hrabia zaproponował umorzenie długów. Pogodził się nawet z brakiem posagu. Edwina szalała z gniewu. Złościła się na Henry'ego i na przyszłego oblubieńca. Jak mogli tak mnie potraktować! - myślała.

W wyobraźni widziała Silasa Clifforda. Miał już pięćdziesiąt lat, więc siedemnastolatce wydawał się po prostu starcem. Był bardzo chudy, o bladej skórze, przez którą prześwitywały niebieskawe żyły. Siwe włosy sprawiały, że wyglądał na starszego niż był. Mało tego, roztaczał wokół siebie aurę jakiejś przedziwnej ułomności, chociaż kaleką nie był. Był okropny. Kiedy po raz pierwszy spotkała go przypadkiem na konnej przejażdżce w pobliżu Oakwood Hall, pomyślała, że już nigdy się od niej nie odczepi.

Jakiś czas później Clifford zjawił się u Marchanda. Znow spozierał na jego piękną córkę. Obrzucał ją taksującym wzrokiem, jakby chciał kupić krowę na wiejskim targu. Jego świszczący oddech brzmiał w uszach Edwiny niczym syk węża. Była szczęśliwa, kiedy Clifford zakończył interesy i odjechał.

Ale od tamtej pory stała się smutna i nerwowa. Na coś czekała. Potem ojciec zginął, a Henry został jej prawnym opiekunem. Po krótkim czasie zaczęła podejrzewać, że maczał palce w zabójstwie ojca. Zachowywał się bardzo dziwnie i odwracał oczy, kiedy wspominał o „napadzie” na drodze do Taplow. Edwina obserwowała go z rosnącą niechęcią, aż wreszcie doszła do wniosku, że jest winny.

Ciekawe, co by teraz powiedział jej ojciec? Nigdy nie po wątpiewał w lojalność Henry'ego. Został oszukany w najokropniejszy sposób. Edwinie pozostawało zatem tylko jedno: ucieczka. Chciała, żeby w ten sposób stryj zapłacił za swoje wszystkie kłamstwa i ohydny zbrodnię.

Oczy miała pełne łez.

- Och, tato, czemu mnie opuściłeś? Straciłam wszystko...

To był płacz z głębi serca, płacz samotnego i zagubionego dziecka, ale wraz z płaczem przyszło otrzeźwienie. Nie, pomyślała twardo. Jack na pewno mnie nie pokona. Kolacja, którą zjadła z Adamem, przywróciła jej siły i pewność siebie. Lecz czy wystarczy mi odwagi, żeby odsunąć się od Jacka? - pomyślała. Przecież nie po to uciekła od stryja, żeby z rozpaczą w sercu zginąć marną śmiercią w brudnych zaułkach St Giles.

Nie poddam się, postanowiła. Jestem młoda. Mam dość siły i energii. Przecież nikt inny za mnie tego na pewno nie

zrobi, przemknęło jej przez głowę. Jak to powiedział Adam? Musisz uwierzyć w siebie... albo coś takiego. Edwina wierzyła, że jest zdolna ująć swój los we własne ręce.

Koniec z Jackiem. Żadnego Silasa Clifforda ani stryja Henry'ego. Musi znaleźć drogę do normalnego życia - ale na to potrzebne jej są pieniądze. Rozwiązaniem był Adam. Chciała znaleźć Toby'ego i odebrać obiecaną nagrodę.

Następnego ranka Edwina w dużo lepszym nastroju spojrziała po raz ostatni na marną izdebkę i wyruszyła w trudną podróż ku nieznaney przyszłości. Nie wiedziała, co się z nią stanie, jeśli znów wpadnie w ręce Jacka. Zdawała sobie sprawę, jak wiele ryzykuje, ale przede wszystkim chciała odzyskać wolność.

Przez trzy dni Edwina przetrząsała podwórka i zaułki St Giles. Nie brakło tutaj kryjówek. Cała okolica przypominała dżunglę, w której drobni przestępcy, zbiegowie i mordercy kryli się niczym dzikie bestie w tropikalnych lasach Afryki lub Indii.

Edwina starannie unikała miejsc, w których mogła natknąć się na Jacka. Wybierała o wiele gorsze spelunki i dziury. Wiele z nich jeszcze przed kilkoma dniami omijałaby szerokim łukiem. Zaglądała do piwnic i na brudne poddasza. Biegała po ulicach pokrytych końskim łajnem, wśród roju much, w smrodzie dochodzącym z rzeźni. Nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Miała przed sobą cel. Pytała o Toby'ego zwykłych rzezimieszków, złodziei i żebraków. Niemal każdy z nich znał jakiegoś kulawego chłopca - ale nikt nie wiedział, czy to właśnie Toby. Większość dzieci ulicy była bezimienna.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy bardzo zmęczona, zdyszana Edwina znalazła się na Covent Garden. Usiadła na niskim murku pod jakimś ogrodzeniem i pochyliła głowę. Zraz ją jednak podniosła. Zmuszała się, by nie zasnąć. Bolały ją wszystkie mięśnie, jak po ciężkim laniu. Niczym sowa, mrużąc, patrzyła na kaskadę świateł.

Przychodziła tu często. Plac zawsze tętnił życiem. Tutaj były gospody, kawiarnie i sklepy, nieco bardziej wykwintne pijalnie czekolady i burdele pełne upadłych kobiet. Tutaj był słynny targ warzyw i owoców, a liczne teatry dodawały dzielnicę niezwykłego uroku. Dniem i nocą na Covent Garden panowała atmosfera zabawy, która przyciągała najróżniejszych ludzi, głównie aktorów, malarzy i pisarzy. Pod tym względem dzisiejszy wieczór nie stanowił wyjątku. Wokół rozbrzmiewały śmiechy, przechwałki, kłótnie i przekleństwa.

W zgrabnych powozach przybywali pierwsi widzowie do teatru. Edwina z zazdrością patrzyła na elegancko ubranych mężczyzn i strojne damy w sukniach połyskujących od klejnotów. Trzymały blisko nosa koronkowe chusteczki skropione perfumami, żeby nie czuć odrażającej woni gnijących śmieci. Tu mignął śnieżnobiały dekolt, tam znów smukła talia podkreślona obfitą spódnicą.

Panowie wyglądali nie mniej okazale, w skórzanych trzewikach ze srebrnymi kłamrami, białych jedwabnych pończochach i jasnych obcisłych spodniach do kolan, świetnie skrojonych frakach, zwanych też szustokorami i bogato zdobionych kamizelkach. Większość widzów obojga płci nosiła suto pudrowane peruki. Mniej zamożni nie mogli sobie na to pozwolić. Rozgadany tłum zniknął za drzwiami teatrów.

Edwina podniosła się, żeby odejść, a jej wzrok padł na elegancką bryczkę, w której siedziały dwie damy i dwóch kawalerów. Jeden przyciągnął jej baczne spojrzenie. Patrzyła, jak wysiadł i podał ramię towarzysze. Bez wątpienia byli dobrymi przyjaciółmi - a może kochankami? Dziewczyna była wysoka, nieprzeciętnej urody, ubrana w wieczorową ciemnoniebieską suknię z przedniego jedwabiu. Ciemne włosy miała upięte wysoko i oplecione siatką błyszczącą klejnotami.

Dżentelmen był wyższy od niej i zabójczo przystojny. Wyglądał jak z żurnala - odziany w ciemny frak i białą koszulę z żabotem i koronkami przy rękawach. Nie nosił peruki, jakby dobrze wiedział, że długie ciemne włosy dużo bardziej pasują do jego urody. Edwina nagle poczuła, że serce jej wali. Stała jak słup soli, gapiąc się na... Adama. To właśnie był Adam. Nie mogła się pomylić. Rozpoznałaby go na pewno, gdyby odwrócił głowę.

W tej samej chwili Adam, jak na komendę, spojrział w stronę Edwiny. Przez moment patrzyli sobie prosto w oczy. Przez twarz Adama przemknął jakiś dziwny wyraz. Oczy mu pojaśniały, a na zmysłowych ustach zakwitł znajomy uśmiech. Lekko drwiący - jak wtedy, przy pierwszym spotkaniu. Edwinę ogarnęła fala słodkiego ciepła. Poczowała, że krew szybciej pulsuje w jej żyłach.

Złękła się, że swoim zachowaniem wprawi go w zakłopotanie, więc odwróciła się, aby odejść. Już miała zniknąć w gęstym tłumie, gdy czyjaś dłoń z niespotykaną siłą spadła jej na ramię. Tuż nad jej uchem zadudnił głos rozniewanego Jacka.

- Ach, ty nędzny chłystku! Myślałeś, że uciekniesz ode mnie, od Jacka? - Małe czarne oczy gorzały żywym ogniem. -

Mówiłem, że cię znajdę! Dobrze wiesz, co cię czeka! Na pewno pożałujesz!

Przeżrana Edwina wydała z siebie jakiś niemal zwierzęcy, zduszony okrzyk i skuliła się w oczekiwaniu nieubłaganego ciosu. Potężne uderzenie pięścią rzuciło ją na ziemię. Świat zawirował, pod oczami zatańczyły jej drobne ogniki, a potem wszystko zakryła ciemność.

Po drugiej stronie ulicy Adam ze zgrozą patrzył na to, co się stało. W jego oczach zamigotały niebezpieczne błyski.

- Idźcie do środka - powiedział szybko do swoich towarzyszy. - Zaraz do was dołączę.

Spoglądali za nim ze zdumieniem, kiedy przebiegał przez ulicę.

Wokół nieprzytomnego chłopca zebrał się już spory tłumek. Gapie rozstępowali się na widok Adama.

- Cofnąć się! - rozkazał. - Nie widzicie, że chłopak nie ma czym oddychać?

Przyklęknął przy Edwinie i wziął ją na ręce. Głowa opadła jej bezwładnie. Strużka krwi popłynęła po wątlym policzku. Dziewczyna miała rozciętą prawą skroń. Adam uniósł głowę i skierował mordercze spojrzenie na posępnego winowajcę.

- Szlag by cię trafił! Módl się, żeby chłopakowi nie stało się nic złego, bo inaczej będziesz miał ze mną do czynienia! - warknął. Jego głos zabrzmiał dziwnie donośnie w pełnej napięcia ciszy.

Jack szybko odwrócił się na pięcie i uciekł. Pobiegł w głąb ulicy. Jak na człowieka swojej postury poruszał się zadziwiająco szybko i sprawnie.

Adam delikatnie uniósł swoje brzemień i ku zdumieniu zebranego tłumu zaniósł chłopca na drugą stronę placu. Kiedy zjawił się w domu przy bocznej ulicy, wywołało to liczne głośne komentarze wśród skąpo ubranych kobiet i kilku panów otwarcie flirtujących w holu.

Jak przystało na dżentelmena, Adam nie zwrócił najmniejszej uwagi na zachowanie zwykłych śmiertelników. Donośnym głosem wezwał służącego.

- Sprowadź tu natychmiast panią Drinkwater.

Niemal w tej samej chwili na szczycie schodów pojawiła się elegancka dama w średnim wieku.

- Och... Wiedziałam, że to ty, Adamie. Nikt inny nie robi tyle hałasu. Mimo to cieszę się, że cię widzę.

Znała go niemal od urodzenia. Rzuciła mu przeciągłe, pełne uwielbienia spojrzenie, a następnie pochyliła się nad wciąż nieprzytomnym chłopcem.

- Na Boga! Co się stało?

- Potrzebuję twojej pomocy, Dolly - odparł Adam nagłym tonem. - Chłopak jest ranny.

- To widzę. Któż to taki?

- Przyjaciel.

Zatroskany wyraz twarzy Adama przekonał ją, że naprawdę chodzi o coś ważnego.

- Powiesz mi, co się stało?

- Jakiś obwieś poczęstował go pięścią - westchnął Adam.

- Och, biedactwo... - odparła Dolly. - Zabierz go na górę. Niech trochę poleży w łóżku.

Adam wszedł za nią po schodach do sypialni na pierwszym piętrze. Tam położył Edwinę na wygodnym łóżku

i rozluźnił jej brudny fular i kołnierzyk koszuli. Edwina jęknęła głucho i przetoczyła się z boku na bok, ale nie otworzyła oczu.

- Kto to jest? - zapytała Dolly, mocując się z ogromnym, niemal do cna zdartym butem. Próbowwała go ściągnąć z nogi chłopca,

- Wiem, że mieszka w St Giles. Prosiłem go, żeby trochę popytał o Toby'ego.

- Wciąż nie masz żadnych wieści?

- Nie. Chyba że Ed coś znalazł.

- Mam nadzieję - ze współczuciem odpowiedziała Dolly. Toby był synem bliskiej kuzynki Adama, Olivii.

- A kuzyn Silas? - spytała cicho, wbijając wzrok w podłogę. - Od dawna nie był w mieście. Prawdę mówiąc, nie wiem, co się dzieje w Taplow. Ale właściwie jak zwykle nic mnie to nie obchodzi.

Adam popatrzył na nią. Doskonale wiedział, co ją wyгнаło z Taplow po kilku latach służby w roli gospodyni. Jego twarz złagodniała.

- Silas nie żyje, Dolly... Zmarł jakiś miesiąc temu.

Pokiwała głową. Z wolna wyprostowała się w milczeniu. Wiedziała, że Adam nie przepadał za zmarłym kuzynem. Ona też nie miała najmniejszego zamiaru nosić po nim żałoby, choć jakiś czas temu zrobiłaby niemal wszystko na jego skinienie. Była w Taplow Court zaledwie od miesiąca, kiedy Silas Clifford wziął ją do swego łóża. Od tamtej pory żyła wyłącznie dla niego - i bywała u niego noc po nocy, chociaż nigdy nie okazał jej czułości. Kochała go... i przez długi czas cierpiała w milczeniu.

- Dzięki Bogu - powiedziała.

- Zawsze cię podziwiałem za to, że umiałaś odrzucić przeszłość i rozpocząć zupełnie nowe życie, Dolly. To na pewno nie było łatwe.

- Bardzo trudne, Adamie. Na szczęście zdołałam wyleczyć się z miłości do Silasa, zanim doszło do najgorszego. Niestety, nie można tego powiedzieć o Olivii. Biedne dziecko... A wiesz może, co się stało z tą młodą damą, którą Silas ostatnio zamierzał poślubić?

Adam wzruszył ramionami.

- Zniknęła bez śladu. - Coś mi się zdaje, że „zacny” Silas Clifford budził w niej tylko strach i obrzydzenie. Nie chciała wyjść za niego za męża. Trudno się dziwić siedemnastolatce, że z niechęcią patrzy na potwora. W dodatku potwór był dwukrotnie starszy od niej. Sprzeciwiła się namowom stryja i uciekła. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Nie wiem, kim jest, bo przecież nigdy się nie spotkaliśmy, ale podziwiam jej odwagę.

- A co z tobą, Adamie? Jako spadkobierca majątku kuzy-
na sam jesteś teraz hrabią Taplow. Mam ci tego pogratulować,
czy raczej złożyć szczerze wyrazy współczucia?

Adam zmarkotniał.

- Dobrze wiesz, Dolly, że niespieszno mi było do tytułów. Zawsze liczyłem na to, że Silas się ożeni i będzie miał dzieci. Mój zawód nie pasuje do roli hrabiego Taplow. Wielu osobom na pewno się to nie spodoba.

- Od kiedy to Adam Rycroft zważa na czyjeś zdanie? Pod tym względem jesteśmy podobni. Nie dbam o czyjąś zgodę, tak jak ty, Adamie.

Uśmiechnął się.

- Znasz mnie na wylot, Dolly.

- Tu masz rację - odparła z cichym śmiechem. Kiedy myślała o Taplow Court, zawsze widziała rozbrzykane dzieci. Wesołe głosy rozbrzmiewały w ogrodzie i w ogromnych pokojach...

- Ktoś mógłby powiedzieć, że Taplow Court to ponure i odstręczające miejsce, ale ja jestem innego zdania. Bez względu na to, co kiedyś zaszło, tam jest naprawdę pięknie. Szkoda, że Silas nigdy nie chciał tego przyznać. Ale on nie uznawał po prostu niczego. Ten dom potrzebuje szczęśliwej rodziny. Dzieci, Adamie. Pomyśl kiedyś o tym.

- Owszem, myślałem, Dolly... ale to nie dla mnie. Wolę być tym, kim jestem. Miasto jest moim domem.

- Z Londynu do Hertfordshire jedzie się parę godzin. Możesz mieszkać w Taplow Court i prowadzić w mieście swoje interesy. Nawet nie musisz sprzedawać londyńskiego domu.

-Może masz rację, ale tutaj chodzę własnymi drogami. W Taplow Court zawsze byłbym skrępowany różnymi nakazami, tradycją, etykietą... Straciłbym spontaniczność, tak przecież ważną w mojej pracy.

- Tytuł hrabiowski ci tego nie odbierze.

- Nie potrafię stać się częścią większego systemu. Nie będę trybem w jakiejś maszynie pędzącej nie wiadomo dokąd.

Dolly rozumiała jego uczucia. Tragedia, którą kiedyś przeżył, uczyniła go cynikiem.

Adam niecierpliwym gestem odgarnął z czoła niesforny kosmyk włosów. Przez chwilę energicznym krokiem krążył od łóżka do okna. Patrzył na drobną nieruchomą postać leżącą na pościeli. Dolly wyczuwała, że jest zdenerwowany.

- Przez te lata nigdy nie byłeś w Taplow?

- Nie, od wyjazdu tam nie zaglądałem. Ale teraz pojedę. W zasadzie nie mam wyboru. Nikomu jeszcze nie mówiłem, że niespodziewanie awansowałem na hrabiego. Ty też zachowaj to dla siebie, Dolly. Poczekaj, aż będę w Taplow. Gdyby Toby mógł dziedziczyć po Silasie, majątek przeszedłby na niego. Niestety, sama najlepiej pamiętasz, jak to wtedy było. Silas zabił kochankę Olivii, a ją samą wypędził z Taplow Court.

Dolly pokiwała głową. Choć próbowała o tym zapomnieć, ciągle widziała krew tryskającą z piersi Josepha Tyke a. Silas stał z nożem w ręku nad swoją ofiarą, uśmiechając się upiornie. To wówczas Dolly zapałała do niego nagłą nienawiścią. Chwilę później odeszła od niego na zawsze. Żal jej było jedynie biednej lady Olivii. Kuzynka Adama była słodką, cichą istotą, bardzo słabego zdrowia.

- Tak, pamiętam. Potworna i bezmyślna zbrodnia.

- Właśnie. Na dobrą sprawę morderca powinien stanąć przed sądem i zawisnąć na szubienicy. Ale nie... Miał za sobą wszystko: bogactwo, władzę, wpływy, znajomości i bezwarunkowe zaufanie wielu arystokratów - z goryczą w głosie odparł Adam. - Kiedy Olivia była już u progu śmierci, w rozpacz poszła do Silasa. Nie miała się do kogo zwrócić. Przyjechała do Taplow Court i błagała brata, żeby zaopiekował się jej synem. Na pewno sobie wyobrażasz odpowiedź Silasa.

- Tak. Twój kuzyn był człowiekiem do końca zadufanym w siebie. Zawsze wierzył tylko w swoją pozycję, majątek i potęgę. Chciał rzucić świat na kolana.

- A z drugiej strony nienawidził wszelkiej ułomności... -

Adam urwał nagle. Twarz stężała mu pod wpływem wspomnień, a błękitne oczy stały się nagle zimne. - Wprost nie mógł patrzeć na Toby'ego i na jego wykręconą stopę. Pozbył się chłopca tuż po śmierci Olivii. Po prostu oddał go przejeżdżającym oberwańcom, jakby był śmieciem.

Mówił spokojnym - zbyt spokojnym - głosem, zastanawiając się nad każdym słowem. Mimo to Dolly wiedziała, że pod tą powłoką kipi nienawiść. Urodziwy dżentelmen w jedwabiach i koronkach znów był młodym, zgorzkniałym i przygnębionym chłopcem, zmuszonym do życia pod ciężką ręką okrutnego Silasa Clifforda. Adam zaczerpnął tchu i przejechał dłonią po włosach. Gdy się odezwał, jego głos nadal brzmiał spokojnie, ale słowa dźwięczały jak sople lodu.

- Olivia napisała do mnie krótko przed śmiercią. Dokładnie wyjaśniła swoją sytuację, ale ja byłem wtedy daleko za granicą i niestety wróciłem za późno, by jej pomóc. Zawiodłem ją. Rozumiesz, Dolly? Nieco później spotkałem Silasa w Londynie. Opowiedział mi o tym, co się stało. Mówił spokojnie, zimno, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Gdyby nie umarł, pewnie w końcu zginąłby z mojej ręki. Uduśliłbym go bez wahania. Muszę znaleźć Toby'ego... choćby dla Olivii. To jedyna rzecz, którą dla niej mogę jeszcze zrobić - i na pewno zrobię.

W jego głosie było tyle przekonania, że Dolly uwierzyła mu bez żadnych zastrzeżeń.

Adam odszedł o kilka kroków, aby jej nie przeszkadzać. Tymczasem Dolly powoli, niemal bez emocji, ale z wielką wprawą zajęła się rannym chłopcem. Pod tym względem Adam zawsze ją podziwiał. Wciąż ją szanował, mimo zawo-

du, jaki wybrała tuż po przyjeździe do Londynu. W razie potrzeby był gotów jej bronić nawet z narażeniem życia. Oprócz rodziców nikogo równie mocno nie kochał. To właśnie Dolly wzięła go pod swoje skrzydła, gdy został sierotą. Miał wówczas zaledwie sześć lat. Krewni oddali go do Taplow Court, pod opiekę Silasa.

Dolly była sprytna i umiała dbać o interesy. Po wyjeździe z Taplow Court przez pewien czas prowadziła świetnie prosperujący salon mody. Energiczna i żywiołowa, szybko zyskała popularność wśród mieszkańców Londynu.

Udało jej się zgromadzić pokaźną fortunę, ale wciąż nie była z tego zadowolona. Bez wątplenia lubiła brzęk złotych monet. Za pieniądze zarobione w sklepie otworzyła kasyno w Covent Garden. Część wydatków pokryli jej zamożni znajomi, którzy potraktowali to jak inwestycję. Na parterze budynku był wspaniale urządzonej salon gry, prowadzony przez piękne i zręczne dziewczęta. Na piętrze mieściło się kilka prywatnych pokoi, w których te same młode damy uprzyjemniały wieczór wybranym klientom.

Adam nagle przypomniał sobie o przedstawieniu - i o Barbarze, którą pozostawił samą na schodach teatru, bez słowa wyjaśnienia. Barbara była siostrzenicą Dolly. Znając jej temperament, wiedział, że dostanie burę za swoje zachowanie.

- Sądzę, że chłopak nie jest poważnie ranny - powiedział szybko. - Mimo to chciałbym, aby na razie pozostał pod twoją opieką, Dolly. Muszę już iść. Obiecałem dzisiaj Barbarze wspólną wycieczkę do teatru, a zostawiłem ją jedynie w towarzystwie Stevena Hewitta i jego żony. Znasz Barbarę. Jeśli natychmiast tam nie pójde, nigdy mi tego nie wybaczy.

- Współczuję ci. Wiem, że Barbara bywa trudna... nawet kiedy ma dobry humor. Biegnij do niej.

Adam z wahaniem spojrział na bezwładną postać leżącą na łóżku.

- Zajmij się nim jak najlepiej, Dolly. Na pewno to zrobisz. Nie wiem dlaczego, ale w pewnym sensie czuję się za niego odpowiedzialny. Jeżeli będzie trzeba, to poślij po lekarza. Rano przyjdę, żeby zobaczyć, jak chłopak się czuje.

Rozdział trzeci

Edwina otworzyła oczy. Wokół niej panowała ciemność. Skrzywiła się, czując okropny ból głowy. Ostrożnie spojrzała w bok. Ujrzała zasłonięte okno, więc domyśliła się, że zapadła noc. Leżała w łóżku, na miękkim materacu - tak miękkim jak jej własny za dawnych dobrych czasów. W powietrzu unosiła się słaba woń tytoniu i delikatny zapach perfum. Gdzieś w od-dali rozbrzmiewały przytłumione głosy.

Edwina pomalutku wsunęła ręce pod kołdrę - i westchnę-ła przerażona, kiedy wyczuła pod palcami nagą skórę. Ktoś ją rozebrał, nie tylko z podartej kurtki i spodni, ale dosłownie ze wszystkiego. Nie pamiętała, żeby w Londynie kiedykolwiek chodziła bez bielizny. Wcześniej też rozbierała się do naga je-dynie przed kąpielą. Ze strachem zastanawiała się, kto zabrał jej ubranie. Gdzie ja trafiłam? - pomyślała. Ile osób widziało mnie w tym stanie?

Gwałtownie usiadła na łóżku i podciągnęła kołdrę pod brodę. Chciała uciekać, ale przecież nie wiedziała, gdzie jest wyjście... no i skąd wziąć ubranie. Szybki ruch wywo-łał nową falę bólu. Edwina poczuła zawrót głowy i bez-

władnie opadła na poduszkę. Po chwili zamknęła oczy i ponownie zasnęła.

Do uszu Edwiny docierał cichy melodyjny głos. To śpiewała jakaś kobieta. Otworzyła oczy i stwierdziła, że przytulny pokój, w którym spała, zalany jest słonecznym światłem. Zza okna dobiegał znajomy gwar ulicy, a nad wszystkim unosił się donośny jęk miejskich dzwonów. W pokoju kusząco zapachniało świeżym chlebem i smażonym boczkem.

Edwina próbowała sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia. Zobaczyła Jacka... i co potem? Chyba ją uderzył. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Zaraz, zaraz... - pomyślała z przejęciem. Upadłam... Potem ktoś mnie podniósł... Nie pamiętała, kto to był.

Wciąż się bała, ale postanowiła jak najdłużej zostać w ciepłym i wygodnym łóżku. Z upodobaniem wdychała smakowite zapachy dochodzące z nieznanej kuchni. Nasłuchiwała odległego śpiewu. Nagle melodia się urwała i czyjeś głosy zabrzmiały bliżej. Rozległ się śmiech.

Po kilku sekundach do pokoju weszła młoda kobieta, podśpiewująca cicho. Wspaniałe kasztanowe włosy opadały jej na ramiona. Niosła tacę, a na niej imbryk z gorącą herbatą, jajecznicę na boczku i chleb z masłem. Edwina poczuła, że ścisną ją w dołku. Była okropnie głodna, nic nie jadła od wczoraj, od południa.

Dziewczyna zatrzymała się, spojrzała na Edwinę i uśmiechnęła się promiennie.

- Już nie śpisz? To bardzo dobrze! - zawołała głosem tak czystym jak jej cera.

Postawiła tacę przed Edwiną.

- To dla ciebie. Pani Drinkwater uważa, że musisz trochę przytyć. Kazała nam cię dobrze karmić. - Cofnęła się o pół kroku. - Tak przy okazji... jestem Harriet Crabtree. Bardzo mi miło. Jak się czujesz?

-Dziękuję, lepiej... ale chciałabym, żeby oddano mi ciuchy.

Harriet z uśmiechem przekrzywiła głowę.

- Nie dziwię się. Niestety, pani Drinkwater powiedziała, że nie pozwoli ci w tych łachach leżeć w czystym łóżku.

- Pani Drinkwater?

- Właścicielka naszego przedsiębiorstwa.

- A co to za „przedsiębiorstwo”?

Na to pytanie Harriet już nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej samej chwili w progu stanęła starsza dama z naręczem damskich fatałaszków. Uśmiechnęła się na widok gościa.

- Witaj, kochanie. Dolly Drinkwater - przedstawiła się.
- Cieszę się, że w końcu odzyskałaś przytomność. Ktoś cię wczoraj uderzył w głowę. Wszyscy okropnie się martwili.

Miała ciepły, miękki głos, niczym bordowa suknia, w którą była ubrana. Chociaż liczyła już pięćdziesiąt wiosen i jej twarz pokrywały drobne zmarszczki, zachowała nienagannie szczupłą sylwetkę.

Pani Drinkwater położyła ubrania na krześle i podeszła do Edwiny. Z miłym uśmiechem popatrzyła na spiętą, wystraszoną dziewczynę.

- To dla ciebie - powiedziała, wskazując na bieliznę i ubrania. - Jak już zjesz i weźmiesz kąpiel, od razu poczujesz się lepiej. Jesteś tak drobna, że miałyśmy kłopot ze znalezieniem

odpowiedniej sukni. Na szczęście Harriet trochę ją przesyła. Będzie pasować. Kazałam też służącej grzać wodę do balii.

- Dziękuję... Jest pani bardzo miła. Już od dawna nie spałam w tak wygodnym łóżku...

- Jak masz na imię, kochanie?

- E... Ed - zająknęła się Edwina. Coś ją drapało w gardle.

Pani Drinkwater popatrzyła na nią spod oka.

- Daj spokój, moja droga. Rozebrałam cię wczoraj, a możesz mi wierzyć, że jeszcze potrafię odróżnić chłopca od dziewczynki. Adam dał się oszukać, ale mnie nie zwiedzisz.

Edwina nagle przypomniała sobie, że istotnie widziała Adama pod teatrem. On zapewne też widział jej spotkanie z Jackiem...

- Adam? On mnie tu przyniósł?

- Tak... i był bardzo zdenerwowany. A zatem jak ci na imię?

- Edwina.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

Dolly patrzyła na nią łagodnie.

- Dlaczego chodzisz w chłopięcych ubraniach? Uciekasz przed kimś?

- Można... tak powiedzieć - odparła Edwina. Wiedziała, że Jack wciąż jej będzie szukał - albo co gorsza złoży na nią donos przed sądem.

- No cóż... Tutaj jesteś zupełnie bezpieczna. Nie ma lepszego miejsca w całym Londynie niż Dolly's Place. Żaden policjant tu nie zajrzy.

-Nie?

- To się nazywa *bordello*, moja mała - wesoło wtrąciła Harriet, błyskając oczami. - Oczywiście najlepszej klasy. Ale nie się nie martw - dodała z porozumiewawczym mrugnięciem. - Jeśli nie chcesz, nikomu nie musisz używać swoich wdzięków. Z drugiej strony możemy nauczyć cię wszystkiego, co potrzebne kobiecie w kontaktach z dżentelmenem, chociaż...

Pokręciła nosem i spojrzała znacząco na wciąż brudne policzki i zmierzwiłone włosy Edwiny.

- Najpierw musisz ciut przytyć i zadbać o swój wygląd.

- Przestań, Harriet - skarciła ją Dolly, choć sama przy okazji parsknęła cichym śmiechem. - Chyba speszyłaś naszą młodą przyjaciółkę.

Edwina przerażonym wzrokiem wodziła po twarzach obu kobiet. Znalazła się w burdelu, w jaskini nieprawości, a ta miła dama była bajzelmamą!

- Mam być dziwką?! - krzyknęła, czerwona jak burak. - Nie! Nigdy się nie sprzedam!

Nie po to porzuciła nędzny żywot złodzieja, żeby spać jeszcze niżej. Nie, tego za wiele...

Ale zaraz pożałowała swojego wybuchu. Ładna podzięką za czułą opiekę... - pomyślała ze wstydem. Harriet milczała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się lekko. Zawsze pełna energii, obeznana ze światem, nie mogła zbyt poważnie traktować słów dziewczyny. Zbyt często je słyszała przy gorszych okazjach. Jej migdałowe oczy znów zaświeciły.

- Edwino... Nie oceniaj pochopnie mnie ani innych dziewcząt z Dolly's Place. Życie nie zawsze jest tak proste, jak mogłoby się zdawać.

- Masz rację. Być może wiem to lepiej niż inni. Jestem

wam bardzo wdzięczna za pomoc i opiekę. A przede wszystkim dziękuję dobrej pani Drinkwater - zamruczała Edwina i uśmiechnęła się do Dolly. - Przepraszam, Harriet. Nie chciałam cię obrazić.

- Nic się nie stało, moja droga. Za to, co robię, mam na utrzymanie, a samotnej dziewczynie przydaje się każda pomoc. Nie żywię romantycznych złudzeń. Od lat miotano na mnie najgorsze obelgi. Muszę być realistką, żeby przetrwać w tym świecie.

Z beztróskim uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Jest na to inny sposób? A teraz zjedz śniadanie, zanim ci całkiem wystygnie. Pójdę zobaczyć, czy służba przygotowała kąpiel.

Dziewczyna nosząca wodę z ciekawością patrzyła na wychudłą postać o źle obciętych, brudnych włosach. Nic jednak nie powiedziała, tylko położyła na stołku mydło i ręczniki, a potem wyszła. Edwina wreszcie została całkiem sama. Wskoczyła z łóżka, natychmiast weszła do balii i zanurzyła się w rozkosznie ciepłej pachnącej wodzie. Energicznie zmyła z siebie co najmniej tygodniową warstwę zasklepionego brudu i namydliła włosy. Mała rana na twarzy ciągle ją bolała, więc to miejsce umyła o wiele ostrożniej.

Dopiero kiedy była już zupełnie czysta, pozwoliła sobie na chwilę relaksu. Przymknęła powieki. Woń biedy na dobre zniknęła z jej ciała. Zastąpił ją leciutki różany zapach. Edwina nie wiedziała, co dalej z nią będzie. Podejrzewała, że wkrótce wróci na ulicę. Teraz jednak po prostu cieszyła się życiem. Chciała do końca wykorzystać tę wspaniałą chwilę.

Był już późny poranek, kiedy Adam zjawił się w Dolly's Place. Jak zwykle dziarskim krokiem wszedł do bogato udekorowanej sali kasyna. Przyjęła go sama Dolly. Rządziła swoim królestwem z wprawą generała. Nikt, kto ją widział o tej porze, jak zawsze świeżą i roześmianą, ani przez chwilę nie podejrzewałby, że poszła spać nad ranem.

Z uśmiechem powitała wchodzącego Adama i obrzuciła go pełnym podziwu spojrzeniem. On także wyglądał świetnie - w jasnych spodniach, brązowych butach do konnej jazdy, kremowej kamizelce wyszywanej srebrnymi lilijkami i doskonałe skrojonym ciemnym szustokorze. Biały żabot i koronkowe mankiety też były w pierwszorzędnym gatunku.

Wysoki, śniady i przystojny, roztaczał wokół siebie aurę typowo męskiej zmysłowości. Nic więc dziwnego, że kobiety zawsze gubiły za nim oczy i zabiegały o jego względy. Tu, w kasynie, wyglądał niczym urodzony książe, który na chwilę zniżył się do tego, aby wejść między poddanych.

Większość dziewcząt jeszcze spała po burzliwej nocy, w sali panował więc spokój.

- Gdzie Ed? Jak się dzisiaj czuje? - zapytał Adam.

- Dużo lepiej - odpowiedziała Dolly. Weszła na schody i wskazała, żeby poszedł za nią.

Posłała mu wesołe spojrzenie.

- Jestem przekonana, że jej widok sprawi ci niespodziankę.

- Jej? - powtórzył Adam i stanął jak wryty. Tępo patrzył na swoją przyjaciółkę.

- Jej - potwierdziła Dolly, szczerze rozbawiona jego zdumieniem. - Ed... Może raczej powinnam powiedzieć Edwina... To nie chłópiec, kochany Adamie.

- Co to za żarty? Dolly, ty chyba oszalałaś!

- Na pewno nie - roześmiała się. - Ale co z tobą? Nie rozpoznałaś dziewczyny? No już, nie gap się tak na mnie. Chodź i sam się przekonaj.

Wpuściła Adama do pokoju i wycofała się na korytarz. Pod oknem stała młoda dziewczyna w znakomicie dopasowanej żółtej sukni. Dłonie wspierała na szczupłej talii. Drobną i wiotką jak trzcina, czujnym wzrokiem patrzyła na nowego gościa. Adam postąpił krok w jej stronę. Czyżby ta piękna młoda dama w istocie ukrywała się pod postacią Eda? Wyciągnął rękę i delikatnie ujął dziewczynę za podbródek. Tak, to był Ed... ten sam, choć zupełnie inny.

- Dobry Boże! - wyszeptał Adam. - Chyba powinienem od razu się domyślić...

Teraz wyraźnie widział jej dziewczęce rysy i pełne usta... Stała tak blisko, że czuł lekki powiew jej oddechu, ciepło bijące od ciała i uwodzicielski zapach.

Była chodzącym ideałem. Adam z zachwytem patrzył na jej lśniące, złotomiedziane włosy ułożone w króciutkie loki, na piękną twarz, tylko z jednej strony troszeczkę zeszpeconą niewielką raną i ciemnym siniakiem. Oczy te same, które zapamiętał - ciemnozielone... nie, nefrytowe, pomyślał nagle, jak przystało na prawdziwego artystę malarza. Była w niej jakaś pełnia życia, w przedziwny sposób połączona z istic dziecięcą niewinnością. Jakaś ciekawość... chęć poznania świata... Nic z wulgarności. Po prostu czarujące piękno.

Edwina uśmiechnęła się nerwowo. Peszył ją wzrok mężczyzny. Adam spojrział pytająco.

- Mogę?

Edwina ciągle gapiła się na niego. Jego głos sprawił, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Może pan? - spytała bezbarwnym tonem.

- Czy mogę na panią popatrzeć?

- Ależ... ależ tak.

Adam roześmiał się.

- No tak, Ed... Po co ta maskarada? Co teraz masz mi do powiedzenia? - spytał, opuścił rękę i cofnął się.

Ciemne oczy pytająco patrzyły na Edwinę. Leciutki, jakby triumfalny uśmiech na pewno podbił już serce niejednej kobiety.

- To... nie była żadna maskarada. Co cię tak dziwi? Czyżby to, że nagle ujrzałeś dziewczynę?

- Mam odpowiedzieć szczerze, kochanie? Według mnie jesteś chodzącą zagadką.

- Zawiedziony?

- Troszeczkę. Już mi nie pomożesz odnaleźć Toby'ego.

- Dla mnie to bez różnicy. W każdej chwili z powrotem mogę stać się Edem.

Adam parsknął śmiechem. Nie wziął poważnie tej odpowiedzi. Głos Edwiny brzmiał niezwykle melodyjnie, ciepło i zmysłowo. Przy żółtej sukni jej jasna skóra lśniła. Dziewczyna stała dumnie wyprostowana, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Znać było po niej, że jest młodą damą szlacheckiego rodu: smukła sylwetka, śmiałe spojrzenie, proste ramiona.

- Jestem ci wdzięczna za wczorajszą pomoc. Mam nadzieję, że nie popsułam ci wieczoru. Wybierałeś się do teatru, prawda? - spytała. Przypomniała sobie ciemnowłosą damę, której

Adam podał rękę, kiedy wysiadała z powozu. Ciekawe, co też ich łączy? - pomyślała.

- Cieszę się, że byłem w okolicy - nieco oficjalnym tonem odpowiedział Adam. - Jednak obawiam się, że łotr, który cię napadł, wciąż fruwa sobie na wolności. A teraz... może mi opowiesz, po co przebrałaś się za chłopca?

- Dla bezpieczeństwa. Mieszkam w St Giles. Wiesz, co to znaczy dla dziewczyny? - Bez żenady popatrzyła mu prosto w oczy. - Jesteś mężczyzną, więc niczego nie muszę ci tłumaczyć.

- Oczywiście. Przyznaję, że świetnie zagrałaś swoją rolę... ale wolę cię w tej postaci - dokończył lekko ściszone głosem, który sprawił, że biedna Edwina zaczerwieniła się po uszy.

Tak długo udawała chłopca, że już zapomniała, jak powinna zachowywać się młoda dama. I peszyła ją obecność mężczyzny. Gdyby to nie był Adam, poszłoby jej łatwiej. Ale on budził w niej czujność... połączoną z rozkosznym dreszczem podniecenia.

- W dalszym ciągu nie wiem, jaki był powód tej maskarady - zauważył Adam. Przypomniał sobie poprzednią rozmowę w gospodzie, kiedy „Ed” wspomniał o pewnej tajemnicy. - Ale zbytnio mnie to nie obchodzi. To twoja sprawa. Teraz musimy pomyśleć o czymś ważniejszym: co z tobą zrobić? Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Myślałem, że jesteś trochę młodsza. Kto cię napadł? Znasz go?

- To był Jack.

- Twój paser?

- Tak.
- Wie, że jesteś dziewczyną?
- Nie. Nikt nie wie. Już ci mówiłam, że w ten sposób próbowałam się jakoś bronić.
- Tak, tak. Rozumiem. Dlaczego cię pobił?
- Bo uciekłam.
- Boisz się go?
- Boję się, że nagada na mnie policji. I że pójde do więzienia... Teraz, kiedy wreszcie uciekłam od niego, z chęcią zobaczyłby mnie w brudnej celi. A gdyby jeszcze wiedział, że jestem dziewczyną, to natychmiast znalazłby sposób, żeby to wykorzystać.
- Na jego miejscu dobrze bym pamiętał, że za paserstwo jest nie mniejsza kara niż za samą kradzież.
- Jack wie o tym, ale niczego się nie lęka. Jest brutalny i twardą ręką kieruje stworzoną przez siebie „organizacją”. Wszyscy drżą przed nim. Ma na swoje usługi bandytów i włamywaczy. Ja byłam zwykłym kieszonkowcem. Jack gwiżdże sobie na sądy i policję. Sam nigdy nie sprzedał żadnej skradzionej rzeczy. Wyznacza do tego ludzi, najczęściej rzemieślników, którym sownie płaci za milczenie.
- Edwina umilkła na chwilę.
- Jeżeli chce na przykład odebrać pieniądze za skradziony towar, to w wyznaczonym czasie wysyła człowieka w ustalone miejsce. - Spojrzała w ciepłe niebieskie oczy Adama. - Nie mam ani pensa. Gdy trafiłam do Jacka, wiedziałam, że jestem na najlepszej drodze do więzienia albo na szubienicę w Tyburn.
- Dlaczego w takim razie tyle czasu z nim zostałaś? - łagodnie zapytał Adam. - Dlaczego wcześniej nie uciekłaś?

- Nie mogłam. Bałam się... Od Jacka nie ma ucieczki - powiedziała cicho. W tych słowach kryła się tak okropna rzeczywistość, że Adam westchnął.

- Ciągłe mnie gnębił i straszyl. Lękałam się własnego cienia. Nie potrafiłam wyleźć z ciemnej nory, do której od razu mnie wepchnął. A poza tym nie mogę wrócić do dawnego życia. Nie mam dokąd pójść. Co mi z tego przyjdzie, że jedno piekło zamienię na drugie? Co za różnica? Dopiero teraz zebrałam się na odwagę i uciekłam od Jacka. Chciałam znaleźć Toby'ego i dostać nagrodę. Miałabym pieniądze, by o siebie zadbać. Postanowiłam żyć uczciwie. Chcę znaleźć jakąś pracę, żeby się utrzymać.

- Dolly ci może to załatwić - machinalnie zauważył Adam.

Edwina źle zrozumiała jego słowa, więc zeszywniała nieco i wyżej uniosła głowę.

- Może zbłądziłam, panie, ale jeszcze nie upadłam aż tak nisko, żeby zostać dziwką.

Wzrok jej pociemniał z tłumionego gniewu. Adam oczywiście zaraz to zauważył, powściągnął uśmiech i odezwał się całkiem poważnym tonem:

- Ani przez chwilę o tym nie myślałem. To nieporozumienie.

- Poza tym jestem chuda i brzydka... Nie mam tak wybujałych kształtów jak podopieczne pani Dolly. O włosach lepiej nie wspominać.

Przejechała palcami po swoich lokach.

Adam oparł się o szafę i skrzyżował ręce na piersiach. Przyjrzał się dziewczynie. Zobaczył twarz o regularnych rysach, ogromne oczy i niewiarygodnie długie rzęsy, gładką skór-

rę i nieznacznie wystające kości policzkowe. Edwina wyglądała pięknie i niewinnie. Promieniowała delikatną urodą młodej kobiety, która dopiero teraz zaczęła sobie uświadamiać, czym jest różnica płci. Prawdziwa nimfa w żółtej sukni... Nie pierwszy raz podczas tej rozmowy Adam zapragnął uwiecznić ją na płótnie. Nie wiedział jednak, czy potrafi - czy ktokolwiek by potrafił - w pełni oddać jej nieskazitelną urok.

- Pozwól, że się z tym nie zgodzę. Jesteś piękną młodą kobietą. Masz w sobie coś niezwykłego, co odróżnia cię od innych niewiast. Kolor włosów... nieomal boski. Błyszczą niczym aureola. Smukła szyja, drobne kości, a rysy twarzy, zwłaszcza oczy, zbliżają cię do ideału.

Edwina zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać.

- Owszem, bywało, że ktoś tam pochwalił moją ładną buzię, lecz nigdy dotąd nie słyszałam tak... chirurgicznych komplementów. „Drobne kości”? Sama nie wiem, czy mam się cieszyć, czy obrazić.

- To był komplement. Mówię to, co widzę. A gdzie podziałaś pięć gwinei, które ode mnie dostałaś?

- Musiałam oddać je Jackowi.

- Jak to „musiałaś”? Były dla ciebie, nie dla niego - rzucił Adam ostrzejszym tonem.

- Wolałam go nie oszukiwać - z przygnębieniem odparła Edwina. - Przepraszam.

- Nie masz za co. Sam widziałem, jak cię potraktował. Pewnie rzeczywiście nie miałaś wyjścia. Popytałaś ludzi o Toby'ego?

- Tak. Sam wiesz najlepiej, że w Londynie widok kalekiego dziecka nie zwraca szczególnej uwagi. Nikt z tych, których

pytałam, nie znał żadnego Toby'ego. Tylko jedna kobieta przypomniała sobie, że jakiś tydzień temu widziała mężczyznę i kobietę wędrujących z utykającym chłopcem. Podobno opuścili już St Giles i wyruszyli w dalszą drogę.

W oczach Adama zabłysło zainteresowanie.

- Coś jeszcze?

- Tak. Mieli ze sobą niedźwiedzia.

Adam zastanawiał się przez chwilę.

- Myślisz, że to mógł być Toby? - zapytała Edwina.

- Całkiem możliwe - odparł z roztargnieniem.

- Kim jest ten chłopiec? Dlaczego go szukasz?

- To syn mojej kuzynki, która niedawno zmarła. Nigdy nie widziałem Toby'ego, ale bez przerwy się o niego martwię.

- Myślisz, że coś mu grozi?

, - Bez wątpienia, chociaż na razie, dopóki go pokazują za pieniądze jako dziwoląga, jest względnie bezpieczny. - Ułomny chłopiec i niedźwiedź... - mruknął z zastanowieniem. - Jeśli nie mają wozu, to pewnie jeszcze są w Londynie. Prawdopodobnie występują na targach i festynach. Trzeba ich znaleźć.

Edwina spojrzała ożywiona.

- Pójdiesz ich szukać? Weźmiesz mnie ze sobą? - spytała z entuzjazmem. - Co dwie pary oczu, to nie jedna.

Przerwał wędrowkę po pokoju i spod zmrużonych powiek spojrzał na dziewczynę. Ani przez chwilę nie zamierzał przystać na jej prośbę. To wykluczone. Ale co ma z nią zrobić? Chłopaka pewnie by przygarnął... lecz młodą damę? To był problem.

- Nie.

Edwina zawisła wzrokiem na jego zmysłowych ustach. Usłyszawszy „nie”, poczuła się zaskoczona i rozżalona. Ale za tym „nie” kryło się coś więcej. Jakby żal?

- Dlaczego? - zapytała gniewnie.

- Na festynach dochodzi do bójek i innych rękoczynów. Przycho-
dzą tam najgorsze męty, paserzy, złodzieje... Zresztą, o tym
akurat nie muszę ci mówić - dodał znaczącym tonem. - Nie
chcę, żebyś przypadkiem trafiła na Jacka lub została pobita albo
okradziona. Zadepczą cię w takim tłumie. Jesteś za delikatna.

- Chcesz mnie przestraszyć opowieściami o mętach i zło-
dziejach? Żyłam wśród nich przez pół roku!

- Owszem, w przebraniu chłopca. Nie rzucałaś się w oczy.
Ale nie próbuj tam iść teraz, bo nie przeżyjesz nawet pięciu
minut. Za bardzo zwracasz na siebie uwagę.

Edwina nie chciała tego słuchać. Spojrzała Adamowi
w oczy. Widać było, że nie przywykła do tego, aby ktoś mówił
jej, co ma robić.

- Sama umiem o sobie zadbać - powiedziała wyzywająco.
Jej zielononiebieskie oczy błyszczały gniewem niczym dwa
szmaragdy, a usta zaciśnięte były w wąską linię.

- A ja nie lubię, kiedy ktoś mi się sprzeciwia - odparował
Adam. Chociaż był zły, po cichu podziwiał jej odwagę. Nawet
na chwilę nie dała się zastraszyć, nadal patrzyła na niego groź-
nym wzrokiem.

Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać się od ciętej odpowie-
dzi. Adam denerwował ją swoim zachowaniem. Z jego twa-
rzy zniknął ostatni cień wesołości. Spoglądał na nią chłodno,
zmarszczywszy brwi. Wydał rozkaz i oczekiwał biernego po-
słuszeństwa.

- Na festynach piwo leje się strumieniami. Chcesz się użerać z jakimiś pijakami? A co będzie, jeśli przypadkiem wpadniesz na Jacka? To niebezpieczny człowiek. Lepiej nie wchodzić mu w drogę.

Edwina stała dumnie wyprostowana, wspierając ręce na biodrach.

- Bardzo dziękuję, że się o mnie troszczysz, lecz nie masz najmniejszego prawa mi rozkazywać. Kim jesteś, żeby mną rządzić?

- Twoim obrońcą - sucho przypomniał jej Adam. - Lepiej posłuchaj mojej dobrej rady. Mam nieco więcej lat od ciebie i na pewno większe doświadczenie. Wiem, co mówię. Świat jest brutalny, Ed. Brutalny do cna.

- Owszem, masz rację, ale to nie znaczy, że muszę się ukrywać. Z własnej nieprzymuszonej woli uciekałam od Jacka Pierce'a. Odzyskałam odwagę i pełną wiarę w siebie. Pod tym względem na razie nic się nie zmieniło.

- Żadna porządna młoda dama nie powinna chodzić w takie miejsca, do których się wybieram.

- Nie jestem porządną młoda damą - odpowiedziała gniewnie - i nie potrzebuję niańki, która będzie zmieniała mi pieluchy. Dam sobie radę.

- Tak jak wczoraj? Przypomnij sobie, gdzie byłabyś teraz, gdyby nie moja pomoc? - spokojnie zapytał Adam. - Już powiedziałem, że nie pójdziesz ze mną. To moje ostatnie słowo.

Oznajmił to tak zimnym tonem, że Edwina pobladła ze złości.

- Jeżeli zechcę, to od razu wrócę na ulicę i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Postanowiła nie dać się zastraszyć. Adam stał nie więcej niż trzy kroki od niej, władczy i wysoki, z mocno zaciśniętymi ustami i groźnym błyskiem w niebieskich oczach. Tak samo wyglądał tego dnia, kiedy ukradła mu zegarek. Ale w jego spojrzeniu było coś więcej - coś, czego przedtem nie zauważyła. Jakiś cynizm, pogarda dla spraw tego świata...

- Nie powstrzymasz mnie. Znowu przebiorę się za chłopca - powiedziała.

- A wtedy Jack od razu cię rozpozna. Jeśli naprawdę jest tak wściekły jak mówiłaś, to bez wątpienia wciąż cię szuka. Nie, Ed. Już nie możesz wrócić do tego przebrania.

- Zrobię, co zechcę - warknęła.

- W to nie wątpię, ty uparta smarkulo! - zawołał Adam i nerwowym ruchem przesunął ręką po włosach. - Jak wiesz, spotkaliśmy się dotychczas dwukrotnie i za każdym razem byłaś w kłopotach. Nie po to cię wyrwałem z rąk tego brutala, żeby spokojnie patrzeć, jak zmierzasz w stronę śmierci!

- Proszę, proszę... Nadjechał rycerz w lśniącej zbroi. Nie prosiłam cię o żadną pomoc! - syknęła Edwina.

- A niech cię... ty niewdzięczna gówniario!

Z góry patrzył jej prosto w twarz. Zobaczył, że pobladała pod wpływem tłumionego gniewu. Na jej nosku pojawiły się drobne różowe piegi. Blask słońca, padający z okna, rozświetlił jej jasne włosy, tworząc z nich wspaniałą aureolę. Adam natychmiast pożałował swoich słów, oczarowany jej urodą. Nagle zapragnął poznać ją choć trochę lepiej. Był zły na Jacka Pierce'a, ale i na tych, którzy ją zmusili do nędznego życia wśród żebraków i przestępców.

- Wybacz... nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Zrozumiem, że boję się o ciebie. Bardzo mi zależy na tym, żebyś poczuła się bezpieczna. Naprawdę nie mam złych intencji. - powiedział dużo łagodniej.

Uśmiechnął się - tak delikatnie, że trudno to było zauważyć. Edwina westchnęła. Miotają nią sprzeczne uczucia. Jeszcze nigdy nikt nie budził w niej aż tylu emocji. Zrezygnowała z walki i powoli przysunęła się do Adama.

- Przepraszam, jeśli cię czymś uraziłam. Za długo byłam całkiem sama, zdana wyłącznie na własne siły. Już od dawna nikt nie okazał mi tyle troski. Odzwyczaiłam się od tego. Naprawdę wybacz, że cię rozgniewałam. Lepiej zostanemy przyjaciółmi.

Wyciągnęła do niego rękę na znak zgody.

Adam uśmiechnął się powoli na widok tego gestu i ujął jej dłoń w swoje twarde palce. Przez chwilę wpatrywał się w oczy Edwiny, a potem pochylił się i złożył leciutki pocałunek na jej dłoni. Trwało to dłużej niż powinno.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Ed... a może wolisz „Edwino”?

- Jak chcesz.

- Zatem, Edwino. Skoro tę sprawę mamy już za nami, to zastanówmy się, co powinienem z tobą zrobić? Dałaś mi jasno do zrozumienia, że tu, u Dolly, źle się czujesz. Zapomnij o tym, że byłaś chłopcem. Już nie wrócisz na ulicę. To niemożliwe.

- Cóż więc mam począć? Muszę zarabiać, choćby na skromne utrzymanie.

Adam zmrugał oczy i przez pewien czas przypatrywał jej się z denerwującą natarczywością. Widać było, że o czymś in-

tensywnie myśli. Już przy pierwszym spotkaniu twarz „Eda” zapadła mu głęboko w pamięć. Teraz, kiedy zmieniła się w oblicze pięknej młodej dziewczyny, wyraźnie poczuł, że za wszelką cenę nie może pozwolić, aby na zawsze zniknęła z jego życia.

Emocje wzięły górę nad rozsądkiem.

- Przez pewien czas możesz mieszkać u mnie - powiedział, dziwiąc się własnym słowom.

Edwina popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Jakby wahała się przez chwilę, więc już chciał cofnąć swoje zaproszenie, ale zobaczył jej ukradkowy uśmiech i domyślił się, że nie była aż tak zdumiona, jak na to wyglądało.

- U ciebie? - zamruczała, patrząc, jak jego oczy nabierają coraz ciemniejszej barwy. - Proponujesz mi... pracę?

- Można tak powiedzieć.

- No cóż... Nie znam się na prowadzeniu domu. Nie... nie potrafię gotować...

- Gospodyni mi niepotrzebna - odparł, potrząsając głową nad jej naiwnością. - To miejsce już jest zajęte. A poza tym mam jeszcze służbę.

- A zatem, co ze mną? Po co ci jestem potrzebna?

- Och... do rozmaitych rzeczy - bąknął z tajemniczym i uwodzicielskim uśmiechem.

Edwina po swojemu przyjęła jego słowa i zaczerwieniła się jak piwonია.

- Może łaskawie mi wyjaśnisz, co to są za „rozmaite rzeczy”? - zapytała prosto z mostu, chcąc od razu uporządkować wszystkie sprawy. - Mam zostać twoją kochanką? Nic z tego. Nigdy nie będę należała do żadnego mężczyzny.

Adam był trochę rozbawiony, ale za chwilę spowaźniał. Delikatnie położył palec na jej ustach.

- Klnę się na Boga, że nie myślałem o takich zdrożnych rzeczach. Nigdy nie będziesz moją własnością, Edwino. To, o co cię poproszę, nie przyniesie ci ujemy ani nie przysporzy wyśiłku. - Na pewno polubisz swoją pracę... i już możesz liczyć na szczodre wynagrodzenie. Sama więc widzisz - nie musisz zbytnio się przejmować, ale uprzedzam, że jestem wymagającym pracodawcą. Niedługo wybieram się w krótką podróż. Podczas mojej nieobecności możesz bez żadnego skrępowania korzystać z mojego domu. A teraz pozwól, że cię pożegnam. Mam jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia.

Ujął jej dłoń, lecz gdy pochylił się, by ją ucałować, Edwina zdecydowanie cofnęła rękę. Uśmiechnęła się.

- Chyba za dużo sobie pozwalasz. Zawsze całujesz swoich pracowników?

- Raczej nie.

- Więc mnie także nie będziesz całował.

Adam z trudem powstrzymywał się od głośnego śmiechu. Czującym ruchem ujął ją pod brodę.

- Potrafisz mnie zaskoczyć. Jesteś niezwykła, Edwino.

- Bronię swojej reputacji - odpowiedziała. - Przecież to twoje zachowanie byłoby szokiem dla porządnego społeczeństwa, w którym żyjemy.

- Nie uznaję konwenansów i w nosie mam „porządných ludzi”.

Edwina spojrzała na niego przeciągle.

- Wybacz mi, lecz zauważyłam, że pozostajesz w nader zażyłych stosunkach z panią Drinkwater. Często u niej bywasz?

- Nie zwykłem chadzać do domów uciechy. Znam Dolly jeszcze z czasów, kiedy byłem małym chłopcem. Pracowała jako gospodyni u moich krewnych. Potem odeszła i zajęła się może mniej chwalebny, lecz na pewno bardziej popłatnym zajęciem.

- Jest jakiś pan Drinkwater?

- Był. Zamknął oczy kilka lat temu. Dolly i ja zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Porozmawiam z nią jeszcze przed wyjściem i powiem, co ustaliliśmy.

Podszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzął na Edwinę. Dziewczyna przyłożyła rękę do piersi, żeby zapanować nad nagłym podnieceniem. Adam uśmiechnął się, jakby na znak, że zauważył tę niemą odpowiedź. Jeszcze raz musnął spojrzeniem jej uroczą twarz, zadowolony kiwnął lekko głową i wyszedł.

Rozdział czwarty

Edwina podekscytowana myślała o tym, że ma zamieszkać u Adama i podjąć u niego pracę. To coś nierealnego... Jakaś odległa, spokojna przystań. Przecież od dawna chciała ciszy i spokoju. Chciała uwolnić się od Jacka, stryja Henry'ego i obrzydliwego hrabiego Taplow.

Po wyjściu Adama do pokoju przybiegła Harriet. Edwina popatrzyła na nią z uśmiechem. Zdążyła już polubić tę trzpiotkę, tak inną od wszystkich kobiet, które przedtem знаła.

- A zatem znasz samego Adama Rycrofta! - zawołała od progu Harriet. Przebiegła na drugą stronę pokoju i usiadła na okrytym jedwabną pościelą łóżku.

- Tak... ale niezbyt dobrze. Poprosił mnie, żebym dla niego pracowała.

- Och? Co będziesz robić?

- No właśnie... Nie wiem.

- Czasami tu przychodzi, do pani Drinkwater. Bardzo się lubią. Pani Drinkwater chyba zna go już od dzieciństwa. Wszystkie dziewczyny go uwielbiają. To prawdziwy znawca niewieścich wdzięków. Lubi piękne kobiety.

-I każdą zapewne kocha - roześmiała się cicho Edwina. Ktoś o takiej prezencji i postawie jak Adam Rycroft na pewno nie mógł się opędzić od wielbicieli.

Harriet zawtórowała jej perlistym śmiechem.

- Pewnie tak... Trudno uważać go za świętoszka. Ale najczęściej je maluje. Zawodowo, ma się rozumieć.

Edwina popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- To artysta?

Przypomniała sobie szkic, który Adam pośpiesznie wykonał w gospodzie. Dlaczego wtedy się nie domyśliła? Z niedowierzaniem pokręciła głową. Malarz i dżentelmen... Niecodzienne połączenie.

- Jest chociaż dobry?

- Nie znam się na tym, ale niektórzy mówią, że najlepszy - prawdziwy geniusz. Każdy jego obraz kosztuje fortunę. Podejrzewam, że będziesz dla niego pozować.

- Pozować?

- No tak... będzie cię malował. Powinnaś się z tego cieszyć, moja droga. To zaszczyt i przywilej. Niejedna księżna zabiegała o to, aby dostać się do jego pracowni. Wszystkie kobiety będą ci zazdrościć.

- Coś mi się zdaje, że go lubisz.

- Lubię - to mało powiedziane. Ja go wręcz uwielbiam! Jest bogaty... i kiedy tylko zechce, umie być zabójczo czarujący. Ale ma zmienne humory. Potrafi być wymagający, żeby nie powiedzieć uciążliwy. Pamiętaj, nie daj mu się zastraszyć. Kiedy maluje, zapomina o bożym świecie. Traci poczucie czasu. Każe ci siedzieć nieruchomo kilka godzin, zanim zarządzi jakąś przerwę. Wiem o tym, bo raz sama

dla niego pozowałam. Ach, cóż to była za tortura! Myślałam po prostu, że umrę.

- Tak?

- Po mistrzowsku umie oddać ludzką postać - zwłaszcza kobiecą - miłość i tak dalej... Kilka dziewcząt malował nago. Wyobraź sobie, że musiał im dodatkowo płacić, żeby ściągnęły z siebie wszystkie fatałaszk! Tymczasem utytułowane damy ustawiają się do niego w kolejce, żeby zamówić tradycyjny portret. Oczywiście, od razu padają ofiarą skrywanego namiętności. Wprost szaleją z miłości za nim, a ich mężowie rwą sobie włosy z głowy, że zgodzili się na pozowanie...

- Boże miłosierny! Więc dlaczego teraz jego wybór padł właśnie na mnie?

- Pewnie dlatego, że jesteś inna od wszystkich poprzednich modelek, które sadzał na swojej kanapie. Masz nieprzeciętną twarz... Adam powiedziałby: ciekawą. Wydaje mi się, że stałaś się dla niego swoistym wyzwaniem. Kto wie... - Harriet roześmiała się w głos, potrząsając gęstwiną długich kasztanowych loków. - Kto wie, może malując cię, stworzy swoje najwspanialsze dzieło? Sama wtedy dostąpisz sławy.

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Nie chcę być sławna. Spokojnie mogę żyć bez tego - odparła Edwina, wciąż mając w pamięci stryja Henry'ego. Był koneserem sztuki. Chadzał do galerii i kupował liczne obrazy. Przez lata zgromadził całkiem pokaźną kolekcję cennych malowideł. Wiele dzieł kupił wyłącznie ze względu na ich niemałą wartość - nawet jeśli nie całkiem mu się podobały. Gdyby zobaczył portret swojej bratanicy, od razu wiedziałby, gdzie jej szukać. Edwina wolała nawet o tym nie myśleć.

- Jaki on jest... w codziennym życiu?

- Cóż... - westchnęła Harrie. Zmarszczyła czoło, zbierając myśli. - Na pewno ma dość trudny, drażliwy charakter. Czasem potrafi być okrutny. Uważaj na niego, Edwino. Najgorszy jest, gdy wpadnie w gniew. Zdarza się, że ogarnia go ślepa furia. Widziałam to na własne oczy. Inne dziewczęta także.

- Ma żonę? - zapytała Edwina, myśląc o ładnej brunetce, którą widziała przed teatrem.

- Nie, kochanie. Adam Rycroft jest zatwardziałym kawalerem, chociaż przyznaję, że starannie dobiera sobie konkubiny. Taka dziewczyna musi być niezamężna, zmysłowa i doświadczona... czyli taka, która bez najmniejszego trudu umie odróżnić seks od miłości. Żadnych wymagań, żadnych zobowiązań - w tych słowach można zamknąć filozofię Adama.

- Wyszedł ci portret zimnego drania.

- Ależ skądże! Przecież mówiłam, że go lubię - ale nie do końca rozumiem. Sądzę, że nikt go dobrze nie zna, może z wyjątkiem pani Drinkwater. Choć nawet ona w każdej rozmowie z nim stara się dobierać słowa. Adam po prostu żyje swoją pracą. Pod tym względem naprawdę jest perfekcjonistą. Nie daj Bóg, żeby ktoś mu się do tego wtrącał. Pomyślałaś już, gdzie będziesz mieszkała?

- Eee... Adam mi zaproponował, żebym przeprowadziła się do niego.

Harriet jak dźgnięta nożem zerwała się na równe nogi.

- Oooch... To dopiero nowina! Oczywiście powiedziałaś „tak”?

- Właściwie nie mam dokąd pójść, Harriet. Przecież nie wrócę na ulicę, żeby jak dawniej być złodziejką.

- Jak to złodziejką?

- Zwyczajnie. Okradałam bogatych przechodniów. - Edwina uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem. Ciężko jej było mówić o swojej niechlubnej przeszłości, ale nie spodziewała się od Harriet żadnych słów potępienia.

Pod tym względem miała całkowitą rację. Harriet roześmiała się na całe gardło.

- Musisz mi o tym opowiedzieć. Tylko dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Jak nie, to wyduszę z ciebie słowo po słowie. Najlepiej zacznij od początku.

Edwina próbowała trochę się opierać, ale Harriet była nieugięta. Prawdę mówiąc, Edwina też czuła wewnętrzną potrzebę podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami z tych strasznych sześciu miesięcy, które spędziła pod „opieką” Jacka. Jeszcze nigdy nie rozmawiała z nikim tak szczerze, jak z tą dziewczyną z Dolly's Place. Harriet patrzyła na nią z mieszaniną wesołości i zaciekawienia.

- Nie peszy cię to?

- Chyba nie bardziej niż ciebie, kiedy się dowiedziałas, że jestem dziwką i że Adam Rycroft przyniósł cię do burdelu - odparła z chichotem.

- Mieszkasz tu, Harriet?

- Nie. Niektóre dziewczęta tak robią, ale ja nie. Mam małe mieszkanie nad piekarnią w bok od Drury Lane. Nieduże i niezbyt piękne, ale przynajmniej własne. Wieczorami pracuję w kasynie, a potem... - beznamyślnie wzruszyła ramionami. - Sama wiesz.

- Tak. Masz rodzinę?

Dziewczyna potwierdziła.

- Po drugiej stronie rzeki, w Rotherhithe. Dlaczego pytasz?

- Nie przeszkadza im to... co robisz?

Na gładkim czole Harriet pojawiła się pionowa zmarszczka. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Chyba nie. Pamiętam, że na początku przemknęło mi przez głowę, że to coś wstydliwego. Może tak jest w istocie. Ale moja mama klepie biedę, a po śmierci ojca została sama z czworgiem maleńkich dzieci. Ojciec pracował w stoczni i zginął w wypadku. Oddaję mamie część moich zarobków. Tyle, ile mogę. Nigdy mnie nawet nie pytała, jak zarabiam na utrzymanie. - Znowu wzruszyła ramionami. - To nie znaczy, że mnie nie kocha. Po prostu są ważniejsze rzeczy.

Edwina pokręciła głową, nie pozbywszy się swoich wątpliwości. Ale ujęła Harriet za rękę.

- Dla mnie to też nie ma najmniejszego znaczenia.

Co prawda Harriet Crabtree była, jak powiadają, „kobietą lekkich obyczajów”, ale istotnie miała złote serce i niezachwianą równowagę ducha. W jej obecności nawet Edwina czuła się rażno i swobodnie. Takich ludzi wciąż brakowało na tym okrutnym świecie.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam.

- Naprawdę? Ja też - szczerze odpowiedziała Harriet. - Szkoda, że się wprowadzasz.

Z ciężkim westchnieniem wstała z łóżka i spojrzała na suknię Edwiny.

- Leży jak ulał. To dobrze. Znajdę ci jeszcze coś do przebrania. Przecież musisz mieć choć trochę fatałaszków, zanim kupisz sobie nowe. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Chodź, nim pan artysta przyjdzie tu po ciebie, poznam cię z innymi dziewczętami... przynajmniej z tymi, które zdołały się obudzić o tak nieludzkiej porze.

Parnym popołudniem Edwina, w kolejnej pożyczonej sukni, zajęła miejsce w czarnym błyszczącym powozie Adama Rycrofta. Powóz ciągnięty był przez parę dziarskich kasztanów, a na koźle siedział woźnica w czerwono-złotej liberii. Edwina rozsiadła się wygodnie na miękkiej kanapie. Wciąż miała wrażenie, że to tylko sen. Czy naprawdę pojedzie ulicami Londynu eleganckim powozem u boku zabójczo przystojnego mężczyzny? Co ją jeszcze czeka? A może popełniła błąd, zbyt pochopnie przyjmując zaproszenie Adama?

Woźnica zaciął konie i powóz powoli ruszył zatłoczonymi uliczkami. Malarze i inni artyści mieszkali na ogół w pobliżu Covent Garden. Tym miłsze było zaskoczenie Edwiny, kiedy powóz skręcił na północ, w kierunku Mayfair. Adam oznajmił, że mieszka w Grosvenor Estate.

Żadne z nich nie zauważyło mężczyzny, który stał w tłumie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do Dolly's Place. Był to Jack Pierce. Zanim zniknął w zaułku po napadzie na Eda, zdążył spojrzeć przez ramię i zobaczył, że Adam wnosi nieprzytomnego chłopca właśnie do kasyna. Odczekał więc chwilę i po cichu wrócił na miejsce zdarzenia. Chciał przypilnować Eda i jednocześnie dowiedzieć się czegoś więcej o swoim pogromcy. Ze zdumieniem stwierdził, że był to Adam Rycroft - ten sam, który poszukiwał kulawego Toby'ego. Następnego dnia powóz Adama stanął przed kasynem. Jack

już zacierał ręce. Czekają go jednak rozczarowanie. Adam był w towarzystwie młodej damy. Po chwili odjechali.

Adam siedział naprzeciwko Edwiny. Rozprostował nogi i z ciekawością patrzył na swoją towarzyszkę. Rozmyślał nad przedziwnym zrzędzeniem losu, które doprowadziło właśnie do tej chwili. Co nas jeszcze czeka? - zapytywał w duchu. Co sprawiło, że zaprosił tę piękną młodzieńką istotę do swojego domu? W jej obecności robił się nerwowo, ogarniał go nieznanemu dotąd niepokój... W takim razie po co ją zabierał? Chciał przez to poznać siebie? Doświadczyć nowych emocji? Wydobyć się z marazmu? Widział, jak pod jego spojrzeniem Edwina powoli traci pewność siebie.

Rzeczywiście, dziewczyna dość dobrze wyczuwała, że pod tą maską spokoju i pewnej nonszalancji kryje się utajona siła i ładunek emocji. Zastanawiała się, na ile różny jest obraz malarza tyrana, nakreślony przez Harriet, od tego nieco znużonego artysty dżentelmena. Już od dawna nie rozmawiała z nikim oprócz żebraków i złodziei, więc odwykła od sztuki konwersacji. Kiedy została sam na sam z Adamem, nagle poczuła się wyobcowana i zagubiona.

Na szczęście Adam pierwszy się odezwał.

- Domyślam się, że Harriet albo inna z dziewcząt wtajemniczyła cię w to, co będziesz robić.

- Niezupełnie. Chcesz mnie malować?

- Tak - odparł cicho. - Muszę.

Nie spuszczał z niej oka.

- Niby dlaczego? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

Adam spojrzął na nią z lekką drwiną.

- A ja mogę.

Edwina zaczerwieniła się i postanowiła na razie porzucić ten temat. Wołała skierować rozmowę na inne tory.

- Co jeszcze malujesz? To znaczy... oprócz ludzi.

- Właściwie wszystko - martwą naturę, krajobrazy... To, co mi się podoba. Ale zarabiam na portretach. Niestety, muszę podporządkować się życzeniom i kaprysom moich klientów.

- Czyli twoje obrazy nie trafiają na jakiś szerszy rynek? Wędrują prosto do klientów?

- Tak, to prawda. Na nieszczęście większość ludzi wciąż hołduje dziwnej manii „malowania twarzy”. W ich domach wiszą same portrety przodków, krewnych i znajomych. Gdzież tu robota dla artysty? Gdzie jakiś oddech? Publiczność? Przecież nikt nie chce kupić i oglądać we własnym domu czyjegoś dziadka albo stryja.

- To rozumiałe. Dobrze malujesz?

- O to zapytaj tych, którzy widzieli moje obrazy.

Ciągle spoglądał na nią z namysłem. Na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Uśmiech człowieka o wewnętrznej sile, pewnego siebie i umiającego z pewnej odległości patrzeć na sprawy tego świata. Ale jednocześnie był to człowiek, który - tak jak teraz - już samą swoją obecnością dominował w każdym otoczeniu. Mówił głębokim, przyjemnym głosem. Edwina zastanawiała się, czy Adam ma jakieś wady. Trochę ją drażnił widok satysfakcji na jego twarzy. Przekornie przechyliła głowę i powiedziała:

- Masz minę człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

- Tak? A czym miałbym się martwić? Właśnie zatrudniłem najpiękniejszą modelkę w całej Anglii. Tak dobrze grałaś ro-

lę chłopca, że wciąż niełatwo mi uwierzyć, iż jesteś cudowną młodą dziewczyną. Już nie mogę się doczekać, aby cię namalować, Edwino... Edwino... jak?

Spojrzał na nią pytająco. Dziewczyna śmiało popatrzyła mu w oczy.

- Po prostu Edwino - odparła. Nie zamierzała wtajemniczać go w swoje prywatne sprawy. Jeszcze nie była gotowa na to, żeby ujawnić mu nazwisko, ale nie chciała okłamywać Adama i ukrywać się pod jakimś pseudonimem. Za bardzo go szanowała. - Chyba to wystarczy, żeby powstał udany portret.

Adam przypatrywał jej się z zaciekawieniem jeszcze przez chwilę. Kiedy w końcu zrozumiał, że nie dowie się niczego więcej, powolutku pokiwał głową.

- Ja też mam swoje tajemnice, droga Edwino, więc tym łatwiej zrozumieć mi twoje racje. Obiecuję, że nie będę nalegał, byś zdradziła mi swoje nazwisko. Może zrobisz to z własnej woli.

- Dziękuję - odparła sucho. Co on może ukrywać?

- Masz rodzinę? - spytała.

Adam zeszytniał. Przez całe życie umiał panować nad uczuciami. Skrywał je za nieprzeniknioną maską. Nie zamierzał teraz tego zmieniać.

- Moi rodzice zmarli, kiedy byłem dzieckiem. Nie mam bliższych krewnych.

- Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. To mi najbardziej odpowiada - odparł nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzał, i odwrócił głowę.

Edwina przyglądała mu się spod oka. Wyczuwała, że ta po-

zorna oschłość, cynizm i obraźliwa nonszalancja nie leżą w jego naturze. Adam pozował na człowieka znikąd. Nie miał ródzeństwa, ojca, matki... To poruszyło czułą strunę w sercu Edwiny. Ona też przecież jest sierotą. Dobrze wie, co to jest samotność.

- Dlaczego zaprosiłeś mnie do swojego domu? Wiem od Harriet, że do tej pory nie postępowałeś tak z modelkami.

- Inne modelki miały gdzie mieszkać. Ty nie. Poza tym jest to dla mnie pewna inwestycja. Nie chcę, żebyś zniknęła w połowie roboty, zanim skończę obraz. Rzecz jasna pozostaje jeszcze delikatna sprawa twojej reputacji. Dobrze rozumiem sytuację, w jakiej się znalazłaś. Liczę na to, że nie masz porywczych kuzynów, którzy zjawią się nagle, by zabrać cię do domu.

- Od dawna narażam moją reputację. Za późno na żale. Wszystko, co miałam, legło w gruzach. Teraz żyję na własną rękę - powiedziała cicho.

Niebieskie oczy Adama prześliznęły się po jej twarzy, a na jego ustach pojawił się ciepły uśmiech.

- Nie wracasz myślami do przeszłości, kiedy nie byłaś jeszcze złodziejką?

- Raczej nie. W ten sposób jest mi trochę łatwiej. Chyba już niczym nie przypominam tej dziewczyny, którą byłam przed przyjazdem do Londynu. Tamta Edwina nie istnieje. Jest za to inna, uwolniona od niepotrzebnych konwenansów... Pani swojego losu. Niepotrzebnie się o mnie martwisz, Adamie. Żaden gniewny kuzyn nie zapuka do drzwi twojej pracowni.

Milczała przez chwilę.

- Harriet uważa, że masz wielki talent - odezwała się cicho.

- Nie wierzysz w to?

- Wierzę. Ciągłe mam szkie, który zrobiłeś podczas naszego pierwszego spotkania, w gospodzie. Bardzo mi się podoba.
- Leciutko poklepała brokatową torebkę, którą dostała od jednej z dziewcząt pani Drinkwater. - Zatrzymam go na zawsze.

- Dlaczego? Rysowałem w pośpiechu, więc wyszedł taki sobie. Jeśli chcesz, to zrobię drugi, dużo lepszy.

- Wolę ten, na pamiątkę czasów, kiedy żyłam w nędzy i skrajnym poniżeniu. Nie chciałabym do tego wracać. Potraktuję to jako przestrożę. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Ile mi zapłacisz za pozowanie?

Adam zamyślił się głęboko. Prowadził liczne interesy i był znany jako zawzięty negocjator. Nigdy nie mówił swoim modelkom, ile naprawdę są dla niego warte. Nie rozprawiał o spodziewanych zyskach. Lecz w wypadku Edwiny wszystko się zmieniło...

- Co proponujesz? - spytał. - Dobrze wiesz, że zależy mi na twoim portrecie. Nie robię z tego żadnej tajemnicy. Przedstaw mi swoje warunki.

Edwina zawahała się z lekkim zakłopotaniem. Nie spodziewała się, że Adam zręcznie zrzuci odpowiedzialność na jej barki.

- Musimy to przedyskutować - powiedziała.

- Mądra odpowiedź.

- Pieniądze są remedium na wszystkie moje kłopoty. Z drugiej strony rozumiem, że do końca pracy zapewnisz mi dach nad głową i jakieś wyżywienie. To należy odliczyć od całego honorarium. Potrzebuję... Potrzebuję tyle, by mi wystarczyło na podróż do Francji.

- Zgoda - odparł bez wahania, chociaż zastanawiało go, skąd w tym wszystkim nagle znalazła się Francja. - Będę dla ciebie hojny, Edwino - powiedział łagodnie. - Szczerze przyznaję, że masz dla mnie nieprzeciętną wartość. Zapłacę ci na prawdę dużo. Po skończonej pracy dostaniesz tyle, że będziesz się mogła wybrać w podróż nawet dookoła świata.

Edwina dostrzegła zachwyty w jego oczach i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

-Dziękuję, ale... nie zamierzam wyjechać aż tak daleko. Francja zupełnie mi wystarczy. W zamian obiecuję być grzeczną modelką, siedzieć cicho i nie odrywać cię od malowania.

Adam pozwolił sobie na zwycięski uśmiech.

- Widzę, że potrafisz prowadzić negocjacje. Chcesz, byśmy podpisali oficjalny kontrakt, czy też porzucimy zbędne formalności i - pamiętając o twojej maskaradzie - poprzestaniemy na męskim uścisku dłoni? Co powiesz na tak zwaną dżentelmeńską umowę?

- Dżentelmeńska umowa bardzo mi odpowiada. Wierzę ci bez zastrzeżeń. Będę miała okazję poznać inne modelki?

- Raczej nie. Teraz wystarczy mi jedna.

- A ci wszyscy ludzie, którzy chcą u ciebie zamówić portrety?

- Muszą trochę poczekać. Mam pilniejsze zadania - mruknął, a w jego głosie pobrzmiwała namiętność.

Edwina gwałtownie uniosła głowę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak wiele ryzykuje, obcując z tym człowiekiem. Przecież właściwie go nie zna...

- Mówiłam ci już, że nigdy nie uważałam się za wyjątkowo

ładną - powiedziała. - Prawdę mówiąc, myślałam, że moja uroda - podobnie jak poglądy - jest... niekonwencjonalna.

- Nie będę zaprzeczał. Dla mnie jesteś niezwykle zjawiskiem, Edwino. Cieszę się, że nie próbujesz tego ukrywać przed światem, czego najlepszym dowodem była twoja zgoda na to, abym cię namalował. Mam nadzieję, że będziesz równie wielbiona przez publiczność jak przeze mnie.

Uśmiechnął się, widząc, że ów komplement sprawił dziewczynie przyjemność.

- Pilnuj się jednak, żeby pochwały nie zawróciły ci w głowie. Przestań się wiercić i siedź nieruchomo - dodał z lekką drwiną. Edwina miała w sobie tyle wewnętrznej energii, że trudno było jej zachować spokój przez pięć minut. - Zaczynamy jutro... z samego rana.

Edwina spojrzała nadąsana. Nie przywykła do tak władczego tonu.

- Mam nadzieję, że wbrew temu, co wszyscy mi mówili, nie zmienisz się natychmiast w dokuczliwego potwora?

Popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Wszyscy?

- No... może Harriet - przyznała Edwina. - Ostrzegała mnie, że masz niełatwy charakter i wybuchowy temperament.

- Harriet zawsze za dużo gada - mruknął lekceważąco. - Wkrótce przywykniesz do moich zwyczajów. Będziemy razem spędzać wiele czasu. - Nagle parsknął śmiechem. - Boisz się potworów?

Wzruszyła ramionami i roześmiała się tym samym charakterystycznym śmiechem, który Adam u niej wprost uwielbiał.

- Nie. Sama też bywam czasami potworna.

- Zmienna, nieprzewidywalna i szaleńczo uparta - dokończył Adam. - To już zdążyłem zauważyć. Podejrzewam, że sprawisz mi więcej kłopotów niż wszystkie moje poprzednie modelki razem wzięte.

- Tylko jeśli na to naprawdę zasłużysz.

- Dobrze, przyznaję, że czasem mnie ponosi, ale opinia Harriet jest niesprawiedliwa. Nie wolno ci wierzyć we wszystkie złośliwe plotki. Szczerze mówiąc... - tu zniżył głos i na jego twarzy z wolna pojawił się leniwy uśmiech - potrafię być łagodny jak baranek. A w zręcznych dłoniach mięknię jak wosk.

Edwina uśmiechnęła się z uprzejmym rozbawieniem, na pozór nie zwracając uwagi na uwodzicielski ton głosu Adama i wymowne spojrzenia.

- Obiecuję, że od tej pory będę trzymać ręce przy sobie - powiedziała znacząco. - A o twojej prawdziwej naturze porozmawiamy, kiedy cię lepiej poznam.

- Mogłem się domyślić, że młody złodziejasek o trudnym charakterze, głoszący pogardę dla wszelkich konwenansów, będzie nastawał na to, aby w pewnych sprawach zachować jak najdalej idącą rezerwę - gładko wyrecytował Adam.

- Jak możesz tak mówić?! - zawołała Edwina, marszcząc delikatne brwi. - Mój charakter jest bez zarzutu.

- Lubisz się kłócić - zauważył Adam. Z trudem powstrzymywał śmiech.

- Mimo to nadal chcesz mnie namalować. Jesteś pewny, że wytrzymasz ze mną tyle czasu? - spytała przekornie.

- Wytrzymam - zapewnił ją zdecydowanym tonem. - Choć na pewno czeka nas niejedna sprzeczka. Potrafię wejrzeć w przyszłość.

Roześmiał się. Jego śmiech sprawił, że Edwina poczuła się jakoś raźniej.

- Wiesz zatem, że za każdym razem będę górą w naszych potyczkach. Bez trudu zdołam cię przechytrzyć.

Adam przypatrywał jej się przez kilka długich sekund. Wiedział, że Edwina łatwo mu nie ulegnie - i już podświadomie czekał na nieuchronną walkę dwóch silnych osobowości i dwóch śmiałych umysłów. Lekko zacisnął usta, lecz nadal się uśmiechał.

- Muszę cię uprzedzić, że zawsze wygrywam ~ oznajmił z głębokim przekonaniem. Była w tym pewność siebie i wielkie doświadczenie, latami zdobywane w intymnych potyczkach z płcią przeciwną.

Edwina spokojnie odwzajemniła jego uśmiech.

- Zobaczymy - odpowiedziała krótko, uznając to za koniec rozmowy na ten temat.

Spojrzała w bok, na krajobraz za oknem powozu, ale nadal myślała o czymś zupełnie innym. Z nieobecny uśmiechem spoglądała w przestrzeń. Uświadomiła sobie, że pobyt z Adamem może być najciekawszym i najbardziej podniecającym okresem w jej życiu.

Jechali teraz przez przypominającą wieś okolicę, szeroką prostą aleją, wśród eleganckich willi z białymi kolumnami. Woźnica zatrzymał konie przed okazałym dwupiętrowym domem o ceglanej fasadzie. Edwina nagle poczuła, że się denerwuje. Co ją naprawdę czeka na tym etapie życia? Co kryje się za murami ogromnej budowli? Widywała już takie domy... w przeszłości, o której wciąż chciała zapomnieć.

- Tu... tutaj mieszkasz?

- Tak, to mój dom. Podoba ci się?

- Jest... wspaniały.

- Bardzo się cieszę.

- I... tutaj zostanę?

Adam uśmiechnął się z przekąsem.

- To chyba nie jest niemożliwe... pod warunkiem że sama zechcesz. Chodź, poznam cię z panią Harrison.

Jednak Edwina wciąż zwlekała. Adam przyglądał jej się w milczeniu. Była blada - tak blada, że znów na jej zgrabnym nosku pojawiły się ledwie widoczne złote piegi. Promienie słońca igrały w jej krótkich miedzianych włosach. Zielone oczy nabrały nieco ciemniejszego odcienia. Czegoś się bała.

- Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Przepraszam. Nic na to nie poradzę.

Adam zdziwiony uniósł brwi.

- Gorąco dzisiaj. Chyba nie zemdlejesz? - zapytał z udawaną troską, podszytą źle skrywaną kpina.

Edwina obdarzyła go jadowitym spojrzeniem.

- Nigdy nie mdleję.

Adam uśmiechnął się do siebie. Mógł się spodziewać takiej odpowiedzi.

- No dobrze. Nie denerwuj się już. Ze mną będziesz zupełnie bezpieczna. Pani Harrison to moja gospodyni. Chodź. Pokój już na ciebie czeka. Jutro pokażę ci atelier.

- Jakie atelier? - Edwina ze zdumieniem słuchała własnego zduszonego głosu. Nic jednak na to nie mogła poradzić.

- To miejsce, w którym pracuję.

Weszli do domu. Powitała ich pani Harrison - mała schludna kobietka o wesołym licu. Ubrana była na czarno,

z wyjątkiem kołnierzyka ze śnieżnobiałej koronki i podobnego czepka, który całkowicie zakrywał jej włosy. Z okrągłej pomarszczonej twarzy spoglądała para jasnoszarych oczu.

- To jest ów gość, proszę pana?

- W rzeczy samej, pani Harrison. Mam nadzieję, że wszystko gotowe.

- Jak najbardziej.

- Mam na imię Edwina.

- Och... Nie mogę zwracać się do pani po imieniu - zaproponowała pani Harrison, wyraźnie przerażona. - To bardzo niegrzecznie.

- Wszyscy tak robią. Proszę się nie przejmować.

- To prawda, pani Harrison - dodał Adam z nutką ironii w głosie. - Ze swojej strony ani przez chwilę nie wątpiłem, że Edwina ma powody, żeby ukrywać przed światem swoje nazwisko.

Pani Harrison jeszcze przez kilka sekund usiłowała protestować, ale w końcu dała za wygraną. Wcześniej oznajmiła swojemu pracodawcy, że postępuje w zgoła niecodzienny sposób, zapraszając na dłuższy pobyt zupełnie nieznaną damę. W odpowiedzi na to Adam uśmiechnął się niczym niesforny chłopiec i powiedział, że jego gość też będzie „niecodzienny”. Ujrawszy Edwinę, pani Harrison, chcąc nie chcąc, musiała się z tym zgodzić.

Teraz przyjaźnie patrzyła na dziewczynę. Zastanawiała się jedynie, co Edwina mogła zrobić ze swymi włosami. Tak jak mówił Adam, była zupełnie inna od poprzednich modelek. Drobną jak dziecko... Prawdę mówiąc, pani Harrison po-

czątkowo wzięła ją za dziewczynkę, dopóki nie spojrzała jej w oczy. Zobaczyła tam dumę, inteligencję - i ciche cierpienie, które sprawiło, że Edwina stała się dorosła jak na swoje lata. Pani Harrison kątem oka dostrzegła zadowolenie na twarzy swojego pana. Adam stał nieco bliżej Edwiny, niż było to konieczne.

- Odprowadź panią Edwinę do jej pokoju i każ podać napoje. Być może będzie chciała się odświeżyć przed kolacją - powiedział Adam, po czym zwrócił się do Edwiny:

- Gdybyś czegoś potrzebowała, pani Harrison wszystkiego przypilnuje.

- Tak jest, proszę pana. Wystarczy, że panienka po prostu mnie zawoła.

Pani Harrison wzięła niewielką walizkę Edwiny z rąk lokaja. Uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Proszę za mną, panienko. Jestem przekonana, że panienka z ochotą zażyje kąpieli po tej jeździe w zamkniętym powozie. Pogodę mamy jak złoto, lecz upał trochę męczy.

- To prawda - przytaknęła Edwina. - Marzę o kąpieli.

Nie mogła uwierzyć, że po półrocznym pobycie w St Giles, gdzie nikt nie słyszał o tak prostych przyjemnościach ciała, już drugi raz tego samego dnia czeka ją gorąca kąpiel...

- Niestety, mam kilka spraw do załatwienia i prawdopodobnie nie zdążę na kolację - odezwał się Adam. - Oczekuję cię zatem jutro, w mojej pracowni, punktualnie o siódmej rano. Nie za wcześnie dla ciebie? - spytał, oczekując ciężkiego westchnienia. Ku jego zdumieniu Edwina uśmiechnęła się promiennie.

- Wziąwszy pod uwagę nieludzkie godziny, które do nie-

dawna ściśle łączyły się z moim zajęciem, siódma rano będzie w sam raz.

Adam z trudem powstrzymał uśmiech podziwu. Stał jeszcze przez chwilę i patrzył za Edwiną. Pani Harrison poprowadziła ją w stronę białych marmurowych schodów, wiodących na pierwsze piętro.



Rozdział piąty

Kiedy następnego ranka Edwina w lawendowej sukni wyszła z sypialni, dom Adama wydał jej się wyjątkowo przestronny i słoneczny. Ściany miały delikatne odcienie szarości i bieli, wnętrza były komfortowe i eleganckie, meble gustowne. Podobnie jak przy większości domostw w tej okolicy w posiadłości Adama znajdowały się liczne budynki gospodarcze, stajnia i wozownia, usytuowane nieco bliżej drogi, prowadzone przez koniuszych i inną służbę. Sam dom pozostawał pod wyłączną opieką pani Harrison i jej podkomendnych.

Edwina zjadła sama w obszernej jadalni obfite śniadanie, a potem służący zaprowadził ją do pracowni Adama. Atelier mieściło się na najwyższym piętrze budynku. Dziewczyna minęła hol i pchnęła drzwi na końcu długiego korytarza. Jej oczom ukazał się niecodzienny widok. Pracownia była ogromna, wypełniona różnymi sprzętami niewiadomego przeznaczenia. Adam stał pod przeciwległą ścianą, czyszcząc pędzle.

Z rozpuszczonymi włosami opadającymi mu na czoło wyglądał inaczej niż wczoraj. Na nogach miał czarne trzewiki, obcisłe białe pończochy - wyraźnie uwidaczniające jego

muskularne łydki - i czarne obcisłe spodnie do kolan. Luźną białą koszulę poplamioną niebieską i pomarańczową farbą niedbale zatknął za szarfę, którą był przepasany. Na widok Edwiny porzucił swoje zajęcie i szybko podszedł do progu. Przywitał ją nieco kpiącym uśmiechem, szerokim gestem zaprosił do środka i zamknął drzwi.

- Jesteś więc - mruknął. - A już myślałem, że będę musiał siłą wyciągać cię z łóżka.

- Jesteś rozczarowany? Cóż... cała przyjemność po mojej stronie. Nie dam ci takiej satysfakcji - odpowiedziała słodkim głosem. - Jeśli łaskawie spojrzysz na zegar, to zobaczysz, że przyszedłam pięć minut przed czasem.

- Skoro tak twierdzisz... - Witaj w mojej pracowni. Możesz rozejrzeć się przez chwilę, żeby się zadomowić. Potem do pracy. Zanim skończymy, będziesz tu znała wszystkie kąty.

Edwina z wyraźnym obrzydzeniem zmarszczyła mały nossek. Adam roześmiał się.

- Co to za zapach? - spytała.

- Farby i terpentyna. Nie podoba ci się?

- Nie bardzo - przyznała. - Ale z czasem pewnie się przyzwyczaję.

- Po kilku dniach nic już nie będziesz czuła.

Adam wrócił do czyszczenia pędzli. Edwina powoli obeszła całą pracownię, przyglądając się wszystkim sprzętom i przyborom. Po jednej stronie były okna wychodzące na starannie utrzymany ogród. Przez świetlik w dachu wpadały promienie słońca. Na stołach leżały brudne szmaty, szkicowniki, stały słoiki z pigmentami i dzbanki pełne pędzli. Atelier było obszerne, dobrze oświetlone, ze skośnym sufitem. Wszędzie

stały dziesiątki... nie, setki obrazów. Portrety dam w bogatych sukniach i obwieszonych połyskującymi klejnotami, obrazy przedstawiające całe rodziny, czasem nawet ze zwierzętami, martwe natury, pejzaże... i kilka świetnych płócien o tematyce hipiczej. Patrzyła na to wszystko z rosnącym zdziwieniem. Jeszcze nigdy nie widziała tylu wspaniałych dzieł sztuki. Nie wierzyła własnym oczom.

Zwłaszcza jeden obraz, wiszący na sztalugach, przyciągnął jej uwagę. Podeszła do niego i z bliska przyjrzała się młodej ładnej kobiecie o złocistych włosach i błyszczących niebieskich oczach. Na jej ustach błąkał się lekki uśmiezek, jakby prowokujący i zarazem niewinny. Mocne barwy sprawiały, że portret niemal ożył na oczach Edwiny. Adam odłożył pędzle, przysiadł na stole, skrzyżował ręce na piersiach i leniwie machając nogą, z ciekawością patrzył na Edwinę.

- Ile czasu będziesz mnie malował? - zapytała, nie odrywając spojrzenia od obrazu.

- Kilka tygodni... może miesięcy. Zobaczymy.

- Tak długo? A mój portret będzie podobny do tego?

- Nie. Dużo lepszy.

- Trudno w to uwierzyć. Ta dama jest bardzo piękna. Kto to taki?

- Lady Annabel Ripley. Jej mąż jest szanowanym członkiem rządu Jego Królewskiej Mości.

Edwina nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła obrazu. Pod palcami poczuła gładką, śliską powierzchnię płótna pokrytego olejną farbą.

- To wspaniałe, gdy ktoś tak jak ty potrafi uchwycić całą urodę życia.

- Dziękuję za komplement - odparł miękko. - Powinnaś wiedzieć, że ja też czerpię z tego niemałą satysfakcję.

- Zupełnie nie znam się na sztuce, ale nawet w moich niedoświadczonych oczach jesteś prawdziwym mistrzem... wręcz geniuszem.

- To nieprawda. Odniosłem sukces, bo mam talent, lecz trudno nazwać mnie geniuszem. To raczej ja dostrzegam coś genialnego w ludziach i przyrodzie. Aby malować, wystarczy talent i uporczywa praca. Nie ma w tym nic wielkiego.

Zaskoczona Edwina odwróciła się w jego stronę. To był zupełnie inny Adam Rycroft. Gdzieś zniknął znudzony, cyniczny dżentelmen, a pozostał artysta przejęty swoją pracą, zwracający uwagę na grę światła i cieni. Taki Adam pociągał Edwinę jeszcze bardziej.

- W takim razie podaj mi swoją definicję wielkości.

- Nie potrafię. Mogę ją poczuć, dotknąć i powąchać, ale wiem, że nie jest moim udziałem.

Edwina jeszcze raz zerknęła na portret młodej dziewczyny. Nie zgadzała się z Adamem.

- Jak możesz być tak... niesprawiedliwy wobec siebie? Gdzie nauczyłeś się malować? Uczęszczałeś do jakiejś akademii?

- Tak. Od dzieciństwa chciałem być malarzem. Brakowało mi doświadczenia, więc pomyślałem sobie, że dobrze będzie czegoś się nauczyć od dawnych mistrzów. Poszedłem do St Martin's Lane. To była główna szkoła malarstwa w Londynie, dopóki dwa lata temu nie włączono jej do Royal Academy. Pracowali tam między innymi Joshua Reynolds i Gainsborough.

- Potem otworzyłeś własną pracownię?

- Nie od razu. Zanim zostałem znanym portrecistą, postanowiłem uzupełnić swoją edukację i posmakować jeszcze innej sztuki. Zwiedziłem wszystkie ważniejsze galerie Paryża, a później wybrałem się do Włoch... Do kolebki starożytnej cywilizacji.

- Wszyscy artyści tak robią?

Kiwnął głową.

- Prawie wszyscy. Po powrocie mogą korzystać z doświadczeń. Ten, kto nie widział wspaniałości Rzymu, skarbów Włoch i innych podobnych rzeczy, jest zwykłym nieukiem. Jak może rozprawiać o malarstwie? Jak odróżni kopię od oryginału lub falsyfikatu?

Edwina zmarszczyła brwi. Zastanawiała się nad jego słowami.

- Chyba rozumiem, o czym mówisz. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam. Gdzie pokazujesz swoje prace?

- W różnych galeriach i domach aukcyjnych. Twój portret zamierzam wystawić w Royal Academy. Ale mój dom też pełni pewną użyteczną funkcję. Mam tutaj małą prywatną galerię, w której prezentuję wybrane portrety i niektóre grafiki.

Edwina podeszła do niego z wyraźnym zaciekawieniem w oczach.

- Mogłabym ją zobaczyć?

- Oczywiście, ale nie teraz. Później napatrzysz się do woli.

: - Wszystkie modelki tu malujesz?

- Skoro chcesz wiedzieć, to przyznaję, że zamożniejsze damy maluję w innym, znacznie schludniej umeblowanym po-

mieszczeniu - odparł lekkim tonem. - Można to nazwać niemal komnatą, urządzoną na wzór pokoju w bogatej rezydencji. Dzięki temu są śmielsze. Dla mnie to ważne, bo wtedy łatwiej nimi kierować. Widzisz, Edwino... tu, w Londynie, pracuje wielu niezłych malarzy. Obowiązują prawa rynku. Muszę pokonać konkurencję.

Edwina postanowiła trochę się z nim podroczyć. Z uśmiechem wyduła usta, przechyliła głowę i przyjrzała mu się spod oka.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem, ale... wyjaśnijmy sobie pewną sprawę. Masz pracownię dla lepszych gości i dla tych dużo gorszych. Powstaje zatem proste pytanie: do której kategorii mnie zaliczasz?

Adam uśmiechnął się tym samym leniwym uśmiechem, którym podbił serce niejednej modelki. Edwina wstrzymała oddech.

- Do żadnej - odparł i powiódł przeciągłym spojrzeniem po jej delikatnej twarzy. Jego wzrok na dłużej spoczął na jej ustach. - Jesteś inna niż wszystkie. Uwierz mi, Edwino, wśród moich tak zwanych szacownych klientek jest wiele takich, które absolutnie nie zasługują na to miano.

- Wszystkie ci ulegają? Arystokratki i ładacznice?

- Zapewniam cię, że nie od razu - roześmiał się. - Muszę dbać o pozory. W tamtej pracowni jest nawet miejsce dla przyjaciół damy, która akurat mi pozuje.

- Nie peszy cię to? Nie przeszkadza?

- Nie. Wręcz przeciwnie, to mnie uwalnia od obowiązku rozmowy podczas malowania. Można rzec, że jestem człowiekiem publicznym, więc mój dom stanowi miejsce spotkań

wielu osób ze śmietanki towarzyskiej Londynu. Przychodzą do mnie moi znajomi i znajomi znajomych. Ale nie martw się... zawiadomiłem panią Harrison, że przez pewien czas nie życzę sobie żadnych niespodziewanych wizyt. Jeżeli ktoś chce się ze mną spotkać, musi się najpierw umówić.

- Na litość boską! - zawołała Edwina z udanym przerażeniem. - Pragniesz mnie zatrzymać wyłącznie dla siebie?

Adam uśmiechnął się, szczerze ubawiony jej słowami.

- Absolutnie. Wiem, że postępuję wbrew dobrym obyczajom, ale nie zamierzam nikomu cię przedstawiać, dopóki nie skończę pracy. Do tego czasu w całym Londynie będzie się roić od plotek, że Adam Rycroft ma jakąś nową, ogromnie tajemniczą żonę. Wartość obrazu znacznie wzrośnie.

- A ja już zawsze będę w opinii ogółu twoją kochanką - chłodno zauważyła Edwina. - Mam na to po prostu nie zwracać uwagi?

Adam uśmiechnął się nieco krzywo.

- Chciałbym rozproszyć twoje obawy, lecz Bóg mi świadkiem, że to niemożliwe. Niestety, tak się dzieje, że na ogół artysta mniej się martwi o skutki swoich ekstrawagancji - przyznał. - Przygotuj się na najgorsze.

Przez chwilę spoglądała na niego bez słowa.

- Boże! - jęknęła w końcu. - Toż z ciebie prawdziwy nikczemnik, Adamie! Widzę, że jeszcze wiele muszę się nauczyć.

- To prawda... i chętnie się podejmę roli nauczyciela. Mam jeszcze dwóch młodych uczniów. Nie zamierzam ich zaniedbywać, chociaż w tej sytuacji uznałem, że lepiej będzie, jeśli sobie zrobią niewielkie wakacje. Wrócą, kiedy ich wezwę.

Dziwny dreszcz przebiegł po plecach Edwiny. Z wolna

pojmowała, czym jest sztuka dla Adama. Na pozór spokojny, nawet jakby ospały, w środku kipiał energią i siłą. Drzemał w nim wulkan olbrzymich namiętności. Może to właśnie najbardziej ją w nim pociągało? Co kryje się za postawą artysty malarza? Czy ktoś go naprawdę poznał?

- Gdzie będziesz mnie malował?
- Tutaj. Tu się najlepiej czuję.
- A jak będę pozować? Na siedząco czy na stojąco?
- Na razie możesz usiąść.
- Jak to „na razie”?
- Dzisiaj jeszcze nie zacznę malować. Przedtem muszę wykonać kilka wstępnych szkiców. Robię tak z każdą modelką.

Edwina uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. W jej oczach była wyzywająca śmiałość pomieszana ze skromnością.

- Artyści znani są z tego, że lubią romanse, Adamie. Flirtowałaś już z jakąś swoją modelką? - spytała prosto z mostu.

Adam bardzo się zdziwił, a potem gniewnie zmarszczył czoło.

- Nie twoja sprawa.

Zgrabnie zeskoczył ze stołu, poszedł w kąt pracowni i wyciągnął fotel z wysokim oparciem. Postawił go na środku.

- Siadaj.

Jego posepny wzrok mógł przestraszyć niejedną ofiarę, ale Edwina przesłała mu promienny uśmiech.

- Jeżeli chodzi o mnie, to możesz sobie sypiać nawet ze wszystkimi. Byle nie ze mną. Pod tym względem potraktuj mnie jako wyjątek.

Adam bezceremonialnie złapał ją za rękę i pchnął w stronę fotela. Położył ręce na jego oparciu i pochylił się, niemal przyniatając ją swoim ciałem.

- W takim razie posłuchaj mojego ostrzeżenia, słodka panienczko - powiedział cichym, lecz wyraźnym głosem. - I lepiej dobrze się zastanów, zanim coś odpowiesz.

Schylił się jeszcze bardziej - tak, że jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Oczywiście, możesz zlekceważyć moje słowa, ale wtedy sama sobie będziesz winna... Sztuka miłości to nie gra dla amatorów. Ja swoją rolę znam, ale co z tobą? Ile razy już się z kimś kochałaś, Edwino?

- Nie byłam aż tak szalona - szepnęła zgodnie z prawem. --. Jak do tej pory nikt jej nawet nie pocałował, nie mówiąc o pieszczotach. Bliskość Adama sprawiała, że miała zawroty głowy. - Nie jestem taka.

- Nie mów więc, że cię nie ostrzegałem. Nie dopuszczam myśli o małżeństwie.

- Wolisz romanse?

- W dobrym romansie kochankowie niczego nie traktują serio.

- Rozumiem, że ci to wystarczy. Jeśli zaś chodzi o mnie, to leż się nie palę do małżeństwa. Pod tym względem jestem podobna do ciebie. Nie pozwolę, żeby mną ktoś pomiatał i mówił mi, co mam robić. Pragnę być wolna i niezależna... a tego nie dostanę od żadnego męża.

- Doszliśmy zatem do porozumienia. Mimo to uważaj na siebie, Edwino. Masz zaledwie osiemnaście lat, więc jesteś dzieckiem w porównaniu z większością moich dawnych part-

nerek. A poza tym brak ci mojego doświadczenia. - Oczy mu pociemniały. - Ta gra może być niebezpieczna. Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową.

Adam patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Był pod urokiem jej jasnych, przejrzystych oczu. Edwina miała długie rzęsy i zmysłowe usta, stworzone do całowania... Wyprostował się, zanim sprawy zaszły za daleko. Niemal braterskim gestem zwichrzył jej włosy, odszedł i wziął szkicownik. Zaczął rysować, jakby nic się nie stało. Musi przelać na papier swój obraz Edwiny... Chciał zrobić to jak najprędzej, zanim wizja zniknie.

Tymczasem ona z wolna doszła do wniosku, że pół roku temu, jak przystało na dobrze urodzoną pannę, nie pytałaby kawalera o jego romanse. Ale to było przed przybyciem do St Giles, zanim poznała „nauki” Jacka Pierce’a.

Poczuła jakąś obłądną, niesamowitą radość. Wciąż w wojowniczym nastroju, spod oka spojrzała na szczupłe palce Adama szybko wodzące węglem po papierze.

- Artyści mają słodkie życie - powiedziała z promiennym uśmiechem. - Prawie jak ich modelki.

Jakby dla podkreślenia swoich słów usadowiła się wygodniej na miękkim fotelu i podkuliła nogi. Pomyślała, że do tej pory pozowanie nie wymaga od niej wielkiego wysiłku. Ot, po prostu siedzi sobie, grzejąc się w promieniach słońca padających przez świetlik. Mogła odpocząć i napawać się widokiem pięknego mężczyzny pracującego z zapałem. Mężczyzny, który chce uwiecznić ją na płótnie...

Adam nie odpowiedział na jej zaczepkę, ale w głowie kłębiły mu się myśli. Rysując twarz Edwiny, starał się nie zwraca-

cać uwagi na uczucia wyzierające z jej oczu. Jak to się dzie-
-e, że jest jednocześnie niewinnym dzieckiem i uwodzicielską
młodą damą? Jeszcze przedwczoraj uważał ją za trzynastolet-
niego chłopca. Tyle się zmieniło w ciągu czterdziestu ośmiu
godzin... Co za przedziwna istota, myślał, dumna i wyrafino-
wana, o kuszącej urodzie...

Od kiedy ją ujrzał w obecnym wcieleniu, nie liczyło się
nic poza nią. Jako rasowy malarz pragnął uchwycić na por-
trecie jej charakter, wewnętrzną siłę, a jednocześnie delikat-
ność. Ale jak to zrobić, skoro na jej widok czuje mrowienie
w łądźwiach?

Skąd się to we mnie bierze? - myślał niemal z rozpaczą.
Wiedział jedynie, że jej pragnie... Że chce wziąć ją w ramiona
i zanieść do swego łóżka.

To będzie prawdziwy cud, jeżeli uda mi się utrzymać od
niej z dala do zakończenia pracy, pomyślał i schylił się nad
szkicownikiem.

Dwa dni później Adam zaczął malować. Kiedy rankiem
Edwina rażno wkroczyła do pracowni, zastała go nad szkic-
kami. Na stole stała filiżanka gorącej kawy. Adam otaksował
dziewczynę wzrokiem.

- Dzień dobry - powiedział krótko. - Wypałaś się?
- Tak, dziękuję - odparła Edwina.
- Jesteś już po śniadaniu?
- Tak.
- To świetnie. Zapowiada się długi dzień.

Chciał jak najszybciej rozpocząć pracę, więc pośpiesznie
przełknął kawę.

- Gdzie mam usiąść? - zapytała Edwina, rozglądając się po pracowni.

- Na kanapie... ale zaczekaj! - warknął, zanim zdążyła dojść na miejsce.

- Co się stało?

- Ten kolor... - mruknął, z dezaprobatą patrząc na lawendową suknię. - Do niczego. Mam coś, co będzie świetnie pasowało do twojej karnacji.

Podszedł do wielkiej szafy w rogu pracowni, w której trzymał kostiumy przeznaczone dla modelek. Otworzył ją i wyjął jakiś ubiór starannie zapakowany w cienki papier. Zerwał opakowanie i ukazała się cudna kremowa suknia z cienkiej satyny.

- Załóż to.

Dziewczyna westchnęła z zachwytem.

- Och, jakie to piękne... - powiedziała cicho. - Mam nadzieję, że się nie zniszczy... - Będzie na mnie pasować? - zapytała.

- Chyba tak. Powiedziałem Dolly, czego potrzebuję, więc przygotowała ją specjalnie dla ciebie.

Edwina spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to możliwe, że ktoś przygotował suknię w tak niewiarygodnie krótkim czasie?

- Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych. Przebierz się tam, za parawanem. Tylko szybko... Chciałbym jak najprędzej przystąpić do pracy.

Pobiegła za parawan. Chociaż osłonięta, wciąż czuła na sobie palący wzrok Adama. Próbowwała o tym nie myśleć. Ze zdziwieniem stwierdziła, że suknia pasuje jak ulał. Jej obcisłe

rękawy sięgały zaledwie do łokci, miała głęboki dekolt, dopasowany stanik i obfitą spódnicę układającą się w błyszczące fałdy. Niestety, była zapinana na plecach, a z tym Edwina nie mogła sobie poradzić.

- Gotowa? - zapytał Adam z wyraźnym zniecierpliwieniem.
- Nie mogę zapiąć haftek na plecach.
- Nie przejmuj się. Zaraz to zrobię.

Serce zatrzepotało jej jak oszalałe, kiedy Adam wszedł za parawan. Zanim zdążyła zaprotestować, bezceremonialnie odwrócił ją tyłem do siebie i zaczął zapinać haftki.

- Podejrzewam, że to cię trochę peszy, ale z czasem się przyzwyczaisz - mruknął.

Zapiął suknię tak zręcznie, jakby robił to już setki razy. Podejrzewała, że istotnie miał w tym spore doświadczenie.

- O nic się nie martw. Nie ma tu nikogo, kto mógłby nas podpatrzeć. A teraz siadaj.

Lekko popchnął ją w stronę kanapy. Kiedy usiadła, zaczął układać jej ręce i nogi w takiej pozie, w jakiej zamierzał ją namalować. Z niezwykłą delikatnością ułożył jej rękę na oparciu i ustawił twarz półprofilęm. Patrzył na nią zupełnie beznamiętnie, jakby nie była żywą ludzką istotą, ale przedmiotem - jednym z wielu stojących w pracowni. To ją trochę uspokoiło.

Wreszcie uznał, że znalazł odpowiednią pozę, odstąpił kilka kroków i baczny okiem przyjrzał się swojej modelce. Cieszył oczy jej postacią, świeżością i urodą. Przypominała skrawek cudownie splecionej koronki. Promienie słońca igrały w jej krótkich, mocno skręconych, błyszczących włosach. Niekształtna skóra barwy kości słoniowej przybrała teraz lekko

różowawy odcień. Ciało giętkie jak wierzba, a jednocześnie kruche i delikatne niczym polny kwiatek. Lekko pobladłe policzki i ogromne nefrytowe oczy, przesłonięte jakimś tajemniczym smutkiem, ale przez to głębsze i jeszcze piękniejsze... Adam westchnął, a potem stanowczym krokiem podszedł do sztalug i rozpoczął pracę.

Mijały kolejne dni. Rano, przed malowaniem, Adam zawsze wybierał się na krótką przejażdżkę po Hyde Parku. Potem na kilka godzin zamykał się w pracowni. Wieczorami dawał Edwinie wolną rękę, sam zaś wychodził do znajomych i przyjaciół. Najczęściej można go było spotkać w kawiarni Old Slaughter na St Martin's Lane, pośród innych artystów, poetów i pisarzy.

Wiele czasu poświęcał wciąż na szukanie Toby'ego. Snuł się gęstą siecią ulic i zaułków starego Londynu. Najczęściej wychodził wtedy, kiedy miał złe światło albo nie był w nastroju do malowania. Ale każda przerwa potęgowała jego rosnącą frustrację.

Na szczęście Edwina mu nie spowszedniała. Wręcz przeciwnie, interesował się nią coraz bardziej. Okazało się, że ma dobre wychowanie i lubi czytać. Podziwiał dobór książek, które pożyczala z jego okazałej biblioteki. Nie była tak speszona bogatym otoczeniem, jak można by się spodziewać po mieszkanke St Giles. Adam podejrzewał od początku, że jest kimś niezwykłym, już wówczas, gdy poznał ją jako Eda.

Służących traktowała grzecznie i zachowywała się tak, jakby już od dawna mieszkała u Adama. Najwyraźniej ten sposób bycia bardzo jej odpowiadał. Było w niej coś takiego, co nie-

zbiecie świadczyło, że pochodzi ze szlacheckiej rodziny. Adam mógł godzinami patrzeć na jej dumną postawę i ruchy pełne wrodzonej gracji.

Poza lekturą, której oddawała się z pasją, Edwina lubiła długie samotne spacerować po ogrodach Adama. Cieszyła się odzyskaną wolnością i przeprowadzką do świata, który na pozór leżał milion mil od St Giles. Czasami myślała o pięknej brunetce, którą widziała u boku Adama na stopniach teatru na Covent Garden. Wyczuwała jednak, że lepiej o nią nie pytać.

Początkowo doszła do wniosku, że praca modelki jest wyjątkowo łatwa. Po kilku dniach zrozumiała swoją pomyłkę. Ciężko jej było wysiedzieć godzinami w tej samej pozycji. Bolały ją plecy, bolała szyja, a najbardziej bolały pomruki Adama, kiedy tylko choć trochę chciała się poruszyć. Czasem, gdy narzekała, litował się na chwilę i zapewniał ją, że obraz będzie świetny. Jednak dużo częściej, pochłonięty pracą, nie zwracał najmniejszej uwagi na jej ciężkie westchnienia i nieśmiałe prośby. Zbывał to milczeniem lub najwyżej syczał zniecierpliwiony.

Nadal ją intrygował. Był dziwnym człowiekiem - dojrzałym, atrakcyjnym, nieco ekscentrycznym, by nie powiedzieć egzotycznym, i ciekawym świata. Ale zachował w sobie coś z małego chłopca. Każdego potrafił zarazić swoim entuzjazmem. Z różnych kultur przejął po maleńkiej części tego, co najlepsze, i stworzył zupełnie nową, fascynującą całość. Ale Edwina wyczuwała w nim ciemniejszą stronę charakteru, którą skrzętnie skrywał przed niepowołanymi.

Pewnego ranka wstała bardzo wcześnie, chcąc pozbyć się nieprzyjemnych snów - i z ukrycia obserwowała przejażdż-

kę Adama po parku. Jeździł ostro. W szarym świetle poranka, na czarnym ogierze, wydawał się jakąś złą postacią z baśni. Wkrótce zniknął jej z oczu jak uniesiony wiatrem, nisko pochylony nad grzywą rumaka - elegancja i siła połączone w całość.

Podczas pracy stawał się wymagającym władcą. Humory miał zmienne niczym pory roku. Czasami był uosobieniem świętej cierpliwości, nieskończenie uprzejmym i wyrozumiałym. Innymi razy niewiele się różnił od diabła. Edwina, wciąż siedząc sztywno na kanapie, nauczyła się czytać z jego twarzy. Lekkie ściągnięcie brwi, zaciśnięte zęby, stalowy błysk w oku - to zwiastowało burzę.

Złościł się, kiedy praca szła mu nieco gorzej. Jego gniew obracał się wtedy przeciw Edwinie. Traktował ją jak upartą, przygłupią dziewczkę. A że ona nie bała się ciętej odpowiedzi, więc po prostu zaczęli się kłócić. Wśród znajomych Adam Rycroft cieszył się opinią znakomitego artysty i dżentelmena. W pracowni, z pędzlem w dłoni i przed sztalugami, ujawniał swoje drugie oblicze. Tak jak mówiła Harriet - był strasznym tyranem.



Rozdział szósty

Trzy tygodnie po rozpoczęciu pracy, kiedy Edwina po godzinie sztywnego pozowania ośmieliła się lekko rozmasować obolałą szyję, rozległ się natychmiast gniewny okrzyk Adama:

- Siedź spokojnie!

- Bołą mnie ramiona - westchnęła.

Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Troszeczkę unieś głowę... Troszeczkę, powiedziałem! - burknął, bo zbyt gorliwie spełniła jego polecenie.

Spojrzał na nią ponuro. W odpowiedzi zmarszczyła brwi, lecz posłuchała go bez słowa. Odezwała się dopiero po kilku minutach.

- Chętnie bym się czegoś napiła.

Adam nie odpowiedział. Mieszał oliwkową farbę na palcie.

- Pani Harrison wstawiła do kredensu cały dzbanek zimnej lemoniady.

- Cicho, dziewczyno.

Edwina skrzywiła się.

- Nie rób min. Twarz ci się zmienia.
 - A jednak Harriet miała rację - cichutko powiedziała Edwina. Adam nadstawił ucha.

- Harriet? Pod jakim względem?
 - Uprzedzała mnie, że jesteś prawdziwym tyranem.
 - Co ty na to? Jestem przekonany, że do tej pory wyrobiłaś sobie o mnie zdanie.
 - W takim razie powtórzę: Harriet miała rację. W dodatku jesteś wybuchowy. Wszyscy artyści są tacy? - spytała lekkim tonem.

- Skąd mam wiedzieć, do diabła?
 - Zawsze myślałam, że wielu artyści, a zwłaszcza malarze, są grzeczni, cierpliwi, zabójczo dowcipni, no i przede wszystkim skłonni do rozmowy. W przeciwnym razie klienci omiiliby ich z daleka. Nawiasem mówiąc, są to cechy, po których można także poznać prawdziwego dżentelmena.

Adam z wolna tracił cierpliwość. U mężczyzny odwaga zawsze jest cnotą. U kobiety zmienia się w rodzaj szaleństwa. Ciemna linia, którą właśnie malował, wyszła nieco krzywo.

- Niech to szlag! - zaklął przez zaciśnięte zęby.
 - Coś popsujesz, Adamie? - troskliwie zapytała Edwina.
 - Tak - burknął. Rzucił pędzel na stół. - Powiniennem wiedzieć, że muszę uważać, kiedy nagle zaczynasz się wiercić i narzekać.

- To wcale nie moja wina - mruknęła. Zsunęła nogę z kanapy, czubkami palców dotknęła ziemi i kilka razy poruszyła stopą, żeby pozbyć się dokuczliwego mrowienia. - Po prostu byłeś nieostrożny.

- Wybacz - odparł z przekąsem. - Wybacz mi, choćby z te-

go względu, że kiedyś uważałem cię za pełną gracji, dobrze wychowaną młodą damę.

- Bardzo dziękuję za komplement, ale o ile sobie dobrze przypominam, to nigdy nie pretendowałam do takich zaszczytów. Mogę być pełna gracji i dobrze wychowana, ale damą nie jestem.

Adam ponuro spojrział na Edwinę, odwrócił się i dużymi krokami podszedł do drzwi, mamrocząc coś pod nosem. Wystawił głowę na korytarz i donośnie krzyknął na lokaja, żeby natychmiast przyniósł lemoniadę przygotowaną przez panią Harrison. Później z powrotem stanął przy sztalugach, wziął szmatkę i wytarł farbę z palców.

Edwina ochoczo skorzystała z krótkiego odpoczynku. Wstała z kanapy i przeciągnęła się jak kotka. Bolało ją całe ciało. Przypadkowo stanęła profilem do Adama. Natychmiast przerwał swoje zajęcie i zerknął. Uwielbiał na nią patrzeć, a w tej sukni wyglądała po prostu przepięknie. Napawał się jej młodzieńczą świeżością, urodą i wewnętrzną energią. Jej zachowanie - zawsze eleganckie - nie miało w sobie nic wymuszonego.

Zachowywała się po kobiecemu, lecz Adam wciąż znajdował w niej cechy obdartego ulicznika. Popatrzył na jej twarz, którą kiedyś uważał za twarz młodego chłopca. Aż dziwne, że wtedy nie zauważyłem tych subtelnych rysów i delikatnych kości... - pomyślał. W ciągu trzech tygodni spędzonych pod jego dachem Edwina wyraźnie odpoczęła i z większą ufnością spoglądała w przyszłość. Z jej oczu zniknął wyraz strachu i zagubienia. Pod opieką pani Harrison nabrała nawet nieco ciała.

Adam malował ją z pasją, lecz nagle uświadomił sobie, że właściwie wciąż nie wie o niej nic więcej niż w dniu, w którym „Ed” ukradł mu zegarek. Czasami widywał na jej pięknej twarzy wyraz zadumy. Tu chyba chodzi o jakąś tajemnicę, pomyślał.

Nagle Edwina odwróciła głowę. Adam nie zdołał umknąć wzrokiem. Podchwyciła jego spojrzenie. Zaczzerwieniła się i obdarzyła go leciutkim, zmęczonym uśmiechem.

- Wybacz, Edwino - powiedział Adam, podchodząc do niej. - Harriet miała rację. Bywają chwile, w których staję się prawdziwym tyranem. Wymagam od ciebie zbyt wiele.

- To nieprawda - odpowiedziała cicho, uszczęśliwiona, że Adam już się na nią nie gniewa. - Po prostu jestem zmęczona. Zaraz mi przejdzie.

- W takim razie ucieszysz się, kiedy ci powiem, że obraz jest już prawie skończony.

Jej twarz pojaśniała z radości.

- Mogę go zobaczyć?

- Jeszcze nie. Troszeczkę cierpliwości.

- Jesteś zadowolony?

- Będę, jak go skończę.

- Zawsze bywasz zadowolony ze swoich obrazów?

- Nie, ale z tego mogę być naprawdę dumny. Co zrobisz potem?

- Prawdopodobnie wyjadę do Francji. Zamierzałam to zrobić już pół roku temu, zanim okradli mnie z pieniędzy i nim spotkałam Jacka.

- Zamierzasz mnie opuścić, Edwino? - półgłosem zapytał Adam. Wyciągnął rękę i ostrożnie pogładził ją po policzku.

Mówił ściszym, uwodzicielskim tonem, z rozżaleniem. W jego oczach było tyle bólu, że Edwinie ścisnęło się serce. Zapragnęła nagle, by podszedł bliżej, żeby mogła się wtulić w te silne ramiona i być na zawsze bezpieczna. Chciała z nim dzielić chwile najwyższych uniesień. Jej ciało nie słuchało podszeptów rozsądku...

- Nie - zamruczała w odpowiedzi na pytanie Adama. Zarumieniła się i drgnęła pod jego dotknięciem. - To nie tak... Muszę pojechać do Francji. Nie mam innego wyjścia. Tam zamieszkać u krewnych... jeśli ich znajdę.

Adam spojrział na nią z troską.

- Masz tam krewnych? - spytał. - Na pewno?

- Tak... Nie wiem. Tak sądzę - odparła nieśmiało.

- Nie wiesz? Znasz chociaż ich nazwisko? Adres? - dopytywał się nerwowo.

- Słyszałam tylko, że moja mama pochodziła z Lyonu. Tam właśnie chcę rozpocząć moje poszukiwania.

- A nie lepiej najpierw dowiedzieć się czegoś więcej? Sama wyruszysz w taką podróż? Co będzie, jeśli ich nie znajdziesz?

- Wtedy osiadę gdzieś na stałe - odpowiedziała czystym głosem, bez cienia wahania.

- Jesteś trochę niemądra - ofuknął ją Adam. Złość w nim zbierała na myśl o tak dalekiej i niebezpiecznej wyprawie. - Jak sobie to wyobrażasz? Piękna dziewczyna, sama w obcym kraju, bez przyjaciół, bez nadziei na to, że znajdzie rodzinę? Przecież to czyste szaleństwo, Edwino.

- Nie będę bezradna. Znam język - odpowiedziała, chociaż w duchu się z nim zgadzała. Nie zamierzała jednak zmieniać swoich planów.

- Tak, wiem. Zwłaszcza kłąć potrafisz jak francuski urwis.
 - Możesz się ze mnie śmiać, że chcę jechać do Francji... ale to chyba najlepsze rozwiązanie. Inne są dużo gorsze - dodała ciszej.

- W takim razie, dlaczego nie chcesz, żebym ci chociaż trochę pomógł? Przez cały czas się zastanawiam, co cię skłoniło do takiego życia. Dlaczego jesteś tak zamknięta w sobie? Czego się boisz? Przed czym uciekasz? Zbudowałaś wokół siebie mur, którego nikt nie może przebić. Ale uważaj, bo za chwilę sama staniesz się nieszczęsnym więźniem. Kto cię ściga? Chyba nie tylko Jack Pierce, co?

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nie tylko - przyznała niechętnie, nie patrząc na Adama. Jego głos nabrał łagodniejszych tonów.

- Doznałaś krzywdy, to od razu widać. Krzywdy tak wielkiej, że postanowiłaś odciąć się od świata. W ten sposób chcesz się bronić. - Adam ukradkiem spojrział na Edwinę i zobaczył, że jest spięta. Postanowił przemówić jej do serca. - Zasługujesz na dużo lepsze życie. Nie zamykaj się do końca, Edwino. Pozwól, że cię zapytam jeszcze raz: Dlaczego uciekasz? Kto cię do tego zmusił?

- Mam swoją dumę... - odparła sztywno. - Nie zamierzam z niczego się tłumaczyć.

Adam westchnął ciężko i popatrzył na jej zacięte usta. Pustym wzrokiem spoglądała gdzieś w dal, ponad jego ramieniem. Była najpiękniejszą istotą, jaką spotkał w życiu. Ale nie potrafił do niej dotrzeć.

- Niepotrzebnie jesteś taka uparta, Edwino. Nie chcesz zrozumieć, że się o ciebie troszczę? Zrzuć ten ciężar. Zobaczysz,

że ci będzie łatwiej. Potrzebujesz męskiej opieki. Gdyby było inaczej, to nie szukałabyś pomocy u Jacka Pierce'a.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Adamie, ale nie musisz się o mnie martwić. Najlepiej o tym nie myśl. Po twardej lekcji, jaką dostałam w St Giles, nic już nie zdoła mnie zaskoczyć.

- Tak, tak... Wystarczy wspomnieć dzień, w którym się poznaliśmy. A gdybyś tak wtedy trafiła na kogoś innego? - spytał, spoglądając na nią smutno.

W duchu pluł sobie w brodę, że zapytał ją o rodzinę. Tym ją wystraszył. Nagle stała się zimna i niedostępna. Dotychczas wiedział o Edwinie tylko tyle, że ma krewnych we Francji. Nic więcej mu nie powiedziała. Mało tego, dalsze pytania sprawiały jej wyraźną przykrość. Adam nie zamierzał dręczyć jej dłużej. Doszedł do wniosku, że czas najlepiej leczy wszystkie rany. Muszę uzbroić się w cierpliwość, pomyślał. Mimo to nie zamierzał zapomnieć o tej sprawie. Chciał działać nadal, lecz dużo ostrożniej...

- Boisz się, że Jack Pierce może cię w końcu znaleźć?

- Tak. Jestem pewna, że nadal mnie szuka.

- W takim razie pozwól, że ci coś zaproponuję. Możesz zostać u mnie po zakończeniu pracy. Muszę wyjechać z miasta, mniej więcej na miesiąc. Przez ten czas mój dom jest całkowicie do twojej dyspozycji.

- Dziękuję. Już i tak zrobiłeś bardzo dużo. Przede wszystkim zabrałeś mnie z St Giles. Zjawiłeś się w ostatniej chwili, zanim doszło do najgorszego. Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności. Tak wielki, że sama nie wiem, czy go kiedyś spłcę.

- Nic mi nie jesteś winna, Edwino. To raczej ja czuję się

twoim dłużnikiem. A zatem... zostaniesz tutaj do mojego powrotu?

W tej chwili wszedł służący z tacą, na której stał dzbanek lemoniady i dwie szklanki. Edwina była zadowolona, że może czymś się zająć. Nalała zimnego napoju do szklanek i jedną podała Adamowi. Wzięła drugą, odwróciła się i powoli poszła w głąb pracowni. Z namysłem popijała lemoniadę. Dobrze zdawała sobie sprawę, że ze względu na skryte uczucia, jakie żywi do Adama, powinna jak najszybciej opuścić progi jego domu. Odejść wraz z ostatnim pociągnięciem pędzla. Wiedziała jednak, że to wywoła u niej przeraźliwe poczucie pustki. Niespodziewanie Adam stał się bardzo ważną częścią jej życia.

Obserwowała go, kiedy ją malował - a on, pochłonięty swoją pracą, prawdopodobnie nawet o tym nie wiedział. Znała na pamięć każdy szczegół jego urodziwej twarzy, każdy niesforny kosmyk włosów, opadający mu na czoło, ruchy brwi i głębokie, niekiedy nieodgadnione spojrzenie niebieskich oczu. Czasami nawet się uśmiechał... a wtedy krew zaczynała jej gwałtownie pulsować w żyłach.

Nadal nic o nim nie wiedziała. Chciała mu zadać setki pytań, ale milczała... bojąc się, że nie zdoła utrzymać na wodzy swoich uczuć, które kryły się niczym śpiący tygrys w ciemnym zakątku jej biednego serca. Westchnęła. Po co mam tu siedzieć, gdy go nie będzie? - pomyślała.

Odstawiła pustą szklankę i odwróciła się w stronę Adama. Wciąż stał oparty o parapet, rozkoszując się jej widokiem.

- Tak... dziękuję. Zostanę tutaj, póki nie wrócisz. Ale pamiętaj, chcę wyjechać, zanim pokażesz obraz w Royal Academy.

- Niby dlaczego? Staniesz się sławna w całym Londynie - powiedział miękko. - Ludzie będą szturmować salony księgarskie, by kupić reprodukcję mojego obrazu. Każda gazeta z Fleet Street zamieści wzmiankę na twój temat.

Popatrzyła na niego z nagłym przerażeniem.

- Dobry Boże, nie! Naprawdę tak będzie?

- Chyba nie życzysz mi porażki? - Adam parsknął śmiechem. - Już stałaś się przedmiotem plotek - dodał po chwili. - Dużo się mówi o „tajemniczej muzie”, która zamieszkała pod moim dachem. Niektórzy chcą naocznie się przekonać, czy przypadkiem nie jesteś niedźwiedziem o trzech głowach.

- Po co to całe zamieszanie? Nigdy nie szukałam sławy.

- To nie tak, Edwino... Boisz się, że ktoś cię pozna, prawda?

Popatrzył na nią czujnie.

- Tak.

Nagle uśmiechnęła się i zły nastrój prysnął.

- Szkoda, że nie namalowałaś Eda! - zawołała. - Brudny, wychudzony młokos w podartych łachmanach na pewno by nie budził niczych podejrzeń.

Odrzuciła głowę w tył i roześmiała się perliście. W jej oczach błyskały przekorne ogniki.

- Niestety, sądząc z tego, co jest w twojej pracowni... Głównie portrety dam tak skąpo odzianych, że niemal nic nie pozostaje dla ludzkiej wyobraźni... A zatem, sądząc z tego, masz dziwną awersję do nieletnich złodziei. Nie chciałbyś namalować młodego ulicznika?

Stała tuż przed nim, roześmiana i dumna. Wyglądała

tak pięknie i kusząco, że Adam zadrżał. Uśmiechnął się lekko i odszedł od okna. Powoli odstawił szklanę i znowu stanął przy swoich sztalugach.

- Łobuz z ciebie i tyle - mruknął z rozbawieniem podsztytm namiętnością. - Wracaj na kanapę. Musimy to skończyć.

Portret Edwiny stał gotowy na sztalugach. Adam ostrożnie ujął dziewczynę za rękę i podprowadził ją do obrazu. Potem niespiesznie - jakby rozbierał kobietę - zdjął zasłonę z płótna. Edwina przypatrywała się przez kilka sekund w milczeniu. Zobaczyła młodą damę w sutej kremowej sukni. Krótkie, skręcone loki otaczały na kształt aureoli piękną twarz. Malowana Edwina miała lekko wystające kości policzkowe i łukowato wygięte brwi, przypominające skrzydła wystraszonego ptaka.

Obraz był wspaniały. Była zaskoczona tchnącym z niego spokojem i czystością. Umiejętnie zastosowane światło kierowało uwagę widza na właściwy obiekt. Ale światło to pochodziło znikąd - było jak gdyby kwintesencją kobiecej niewinności.

- Co o tym myślisz? - mruknął Adam. Nie patrzył na portret, tylko na nią.

- To... to naprawdę ja? - spytała, nie mogąc oderwać oczu od płótna. Była naprawdę poruszona tym, co zobaczyła. - Tak wyglądam?

- Tak cię widzę.

- Ale... jest w niej tyle smutku... a zarazem piękna...

- Wiem. Namalowałem ją z natury - łagodnie powiedział Adam i uśmiechnął się do niej. - Zawsze wyczerał z niej jakiś

smutek, chociaż nie chciała zdradzić mi przyczyny. Tak, jest bardzo piękna. Tutaj masz rację, droga Edwino. Jesteś cudowna, oszałamiająca i całkiem odmienna od innych. Tak uroczej damy jeszcze nie spotkałem. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogłem cię namalować.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy słuchała tej przemowy. Uniosła głowę, jakby chciała sprawdzić, czy to prawda, czy tylko puste komplementy. Adam spoglądał na nią ciepło.

- To najmiłsza rzecz, jaką słyszałam w życiu. Dziękuję - szepnęła i niewiele myśląc, zarzuciła mu ręce na szyję.

Adam pochwyił ją w objęcia.

- Proszę bardzo - odparł półgłosem i zanurzył usta w jej pachnących włosach. Był wzruszony jej spontanicznym, szczerym i niewinnym gestem - a zarazem nie mógł uwierzyć, że po tylu tygodniach kłótni, przekomarzań, westchnień i przeprosin, które towarzyszyły jego pracy, nareszcie trzyma ją w ramionach.

Edwina dopiero po krótkiej chwili zorientowała się, co robi. Speszona, próbowała umknąć, lecz ze zdumieniem przekonała się, że Adam wcale jej nie puszcza. Wręcz przeciwnie, silniej przygarnął ją do siebie, aż dotknęła piersiami jego torsu. Adam spojrzał w dół... i zatrzymał wzrok na jej ustach.

- Nie odchodź - szepnął. - Zostań tu, gdzie jesteś.

Popatrzyli sobie w oczy. Adam nie poruszał się. Edwina nagle zdała sobie sprawę, że strasznie chce ją pocałować i... Boże! - pomyślała. Zaczyna mi się to podobać! Serce waliło jej jak młotem, jakimś nierównym, zwariowanym rytmem.

Nikt jeszcze jej nie całował, więc nie była przygotowana na tę falę rozkosznego ciepła, która zalała całe jej ciało, kiedy usta

Adama spoczęły na jej ustach. Czują jak gładzi ją po plecach... Rozsądek podpowiadał: „Dość! Uciekaj!” lecz inny, bardziej natarczywy głos popychał ją w ramiona Adama.

Wydawało się, że ich pocałunek trwa bez końca, ale Edwina ciągle było mało. Adam nie spieszył się i nie poganiał jej. Na pozór tylko smakował słodycz warg dziewczyny, chociaż w rzeczywistości liczył też na coś więcej. Pocałował ją jeszcze głębiej, mocniej i namiętniej, aż jęknęła.

A potem odchylił jej głowę. Za szybko... zdążyła pomyśleć, kiedy nagle poczuła jego usta na swojej szyi. Chwilę później znowu połączył ich pocałunek. Edwina oparła dłoń na pierś Adama. Pod palcami - pod cienką tkaniną białej koszuli - wyraźnie czuła bicie jego serca. Za moment znów objęła go za szyję i wpiła się ustami w jego usta. Przywarła do niego całym ciałem, jakby chciała, żeby w ten sposób obdarzył ją swoją siłą. Jeszcze raz jęknęła - i jej głos dotarł nareszcie do uszu Adama.

Czar prysnął. Adam zdał sobie sprawę z tego, co się stało... i odzyskał przytomność umysłu. Opuścił ręce, delikatnie objął Edwinę w talii i popatrzył na jej cudowną twarz. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ta smutna dziewczyna rozbudziła w nim taką burzę namiętności. W życiu poznał już wiele kobiet - ale jeszcze z żadną w ten sposób się nie całował.

Edwina, wsparta na jego ramieniu, z trudem łąpała oddech. Jakby z lekkim zażenowaniem zerkała na Adama.

- Dobry Boże... - wyszeptał poruszony. - Jesteś niezwykła. .. Mam nadzieję, że za bardzo cię nie przestraszyłem?

Istotnie była przestraszona, ale nie tyle jego zachowaniem, ile własną reakcją na to, co przed chwilą zaszło.

- To... to szaleństwo - powiedziała zduszonym głosem, jakby bardziej do siebie niż do Adama. - Niemożliwe...

Tymczasem on ze zdumieniem stwierdził, że opamiętał się w ostatniej chwili. Przecież niewiele brakowało, żeby zupełnie się zatracił i poddał namiętności. Wprawdzie Edwina podobała mu się od początku, ale poprzysiągł sobie, że nie ulegnie podszeptom serca. Kochał już mnóstwo pięknych kobiet, ale żadnej nie pragnął równie mocno jak tej, którą teraz trzymał w swych ramionach. Choćby dlatego musi odejść. Nie chciał jej zdobyć i porzucić. Zasłużyła na dużo więcej. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by na stałe związać się z jakąś kobietą. Teraz też nie zamierzał zmieniać swoich przyzwyczajęń. Poza tym nic o niej nie wie. W tej sytuacji poważny romans nie wchodzi w rachubę.

- Chciałem to zrobić od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem cię w pokoju Dolly... Kiedy z małego złodziejaska zmieniłaś się w piękną młodą damę... - powiedział urywanym głosem. - Lecz masz zupełną rację... To szaleństwo.

Czubkami palców pogładził ją po policzku. Edwina przy-
mknęła oczy. Podświadomie czekała na dalsze pieszczoty, ale Adam powiedział tylko:

- To był błąd.

Dziewczyna szybko odwróciła głowę. Zaczerwieniła się po uszy. Pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji, więc zupełnie nie wiedziała, jak ma się zachować.

- Nie chciałem, by do tego doszło - ciągnął Adam smutnym i bezbarwnym tonem. - To stało się pod wpływem chwili. Chyba dobrze, że poprzestaliśmy tylko na pocałunku. Gdybym zaciągnął cię do łóżka, zniszczyłbym coś, co dla mnie ma ogromną wartość - naszą przyjaźń.

W tym momencie głos mu nieco zadrżał, lecz jego twarz nadal nie zdradzała żadnych głębszych uczuć.

- Opamiętanie przyszło w samą porę - dodał - choćby ze względu na rozstanie. Jutro musimy się pożegnać.

Edwina gwałtownie uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Cień obawy przemknął po jej pięknej twarzy. Zielononiebieskie oczy przesłoniła mgła. Była bliska łez. Wyciągnęła rękę i wierzchem dłoni lekko musnęła jego twarz.

- Jutro... wyjeżdżasz? - spytała roztrzęsiona.

- Tak.

Adam łagodnie odsunął ją od siebie.

Jego ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że decyzja już dawno zapadła. Edwina zastanawiała się, co wzywa go na prowincję. Nie zapytała jednak o nic więcej. Przecież w gruncie rzeczy to nie ma najmniejszego znaczenia. Samotność zawsze jest taka sama, bez względu na powody.

- Bardzo cię proszę, nie utrudniaj i tak niełatwej sytuacji - powiedział Adam.

Edwina głośno przełknęła ślinę i spuściła głowę.

- Będę za tobą tęsknić - wyszeptała.

Adam czułym ruchem ujął ją pod brodę. Nagle zrozumiał, że ten wyjazd będzie najcięższą rzeczą w jego życiu. Lecz musi to zrobić. Tak będzie lepiej dla nich obojga. Ze ściśniętym sercem patrzył na posmutniałą twarz dziewczyny.

- Niedługo wrócę - obiecał. - Zostawię ci nieco pieniędzy i powóz do dyspozycji. Przyrzeknij tylko, że zaczekasz z wyjazdem do Francji. Dobrze?

- Dobrze.

Następnego ranka Edwina zesłała do holu, żeby pożegnać się z Adamem. Jego walizki już zostały wyniesione do karety. Obserwowała go, jak schodził z piętra. Był ubrany na ciemno, w szary surdut i czarne bryczesy, tylko pod szyją jaśniał mu śnieżnobiały żabot. Długie włosy związał na karku czarną wstążką, ale kilka loków jak zwykle spadało mu na czoło. Twarz miał poważną, skupioną, i mocno zaciśnięte usta. Niebieskie oczy chłodno spoglądały w przestrzeń. Edwina odprowadziła go na zewnątrz, aż do czekającej karety. Adam zatrzymał się i przez dłuższą chwilę spoglądał na dziewczynę.

- Smutno mi, że muszę wyjechać, Edwino, ale niestety, nie mam innego wyjścia, chociaż naprawdę chciałbym zostać.

- Mnie też jest smutno - powiedziała niespodziewanie spokojnym tonem. - Do widzenia, Adamie.

- Gdybym był ci potrzebny, pani Harrison wie, jak się ze mną skontaktować. Do widzenia, Edwino.

Zmarszczył brwi i zawahał się, niepewny, co powinien zrobić. Potem odwrócił się na pięcie i bez słowa wszedł do karety. A ona długo stała na podjeździe i patrzyła za znikającym powozem. Miała wrażenie, że jej serce pęknie. Modliła się, żeby nieobecność Adama trwała jak najkrócej.

Rozdział siódmy

Po długich tygodniach żmudnego pozowania w pracowni Adama dom wydał się Edwinie prawdziwą oazą spokoju i wypoczynku. Mimo to jej serce krwawiło z tęsknoty. Pani Harrison codziennie odprowadzała od progu tłumy gości, uprzejmie wyjaśniając im, że pan wyjechał. Edwina nie spotykała się dosłownie z nikim.

Dla zabicia czasu dużo więcej czytała i chodziła na długie spacerunki po Hyde Parku. Znalazła także nową, nieznaną jej dotąd przyjemność - zakupy. Nareszcie mogła sobie sama kupić coś z ubrania. Za część hojnego honorarium wypłaconego jej przez Adama nabyła kilka prostych, praktycznych sukienek, w sam raz na długą podróż na południe Francji.

Tego dnia cały poranek spędziła na Strandzie. Obładowana zakupami, nie spoglądała wokół siebie. Nic dziwnego, że nie dostrzegła zgrabnej karety, która ją mijała. Elegancka ciemnowłosa dama ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na wsiadającą do powozu Edwinę. Przecież to wspaniała granatowa powóz Adama Rycrofta... Dama dała znak i jej kareta stanę-

ta. Brunetka przez chwilę patrzyła za Edwiną, a potem kazała woźnicy ruszać.

Piękna pogoda wprawiała mieszkańców Londynu w błogi, nieco leniwy nastrój. Pewnego popołudnia Edwina wybrała się do Covent Garden. Nie potrafiła się powstrzymać, by nie zajrzeć do Dolly's Place, pogawędzić z Harriet i jeszcze raz podziękować pani Drinkwater za pomoc i opiekę. Bez żenady weszła do kasyna i została tam niezwykle ciepło przyjęta przez właścicielkę oraz jej podopieczne.

Edwina lubiła dziewczęta z Dolly's Place i nie gardziła nimi. Wiedziała, że niektóre pochodzą z biednych domów i że niejedna musiała uciekać przed zwyrodniałym ojcem albo kochankiem, który nieustannie zaglądał do butelki. Można by się spodziewać, że po takich przejściach dziewczyny będą smutne, zgaszone i zgorzkniałe. Nic bardziej mylnego. Ze śmiechem przyznawały, że dobrze im u Dolly. Pani Drinkwater opiekowała się nimi troskliwie, a jeśli któryś z klientów stawał się brutalny, to wykidajło bezceremonialnie wyrzucał go na ulicę.

Harriet przez kilka sekund w milczeniu patrzyła na zjawiskową postać, która stanęła w progu jej pokoju. A potem uśmiechnęła się z radością.

- Edwina!

- Zdziwiłaś się, że przyszłam? - wesoło zapytała Edwina.

- No pewnie! Nigdy nie myślałam, że tu jeszcze zajrzysz. Pozwól, niech ci się przyjrzę. Ho, ho... Świetnie wyglądasz. Chyba trochę przytyłaś? Ale to bardzo dobrze. Przedtem byłaś za chuda.

- Teraz jem codziennie, i to kilka razy. Śniadanie, obiad, kolacja... i takie są skutki! - roześmiała się Edwina.

- Kto by to pomyślał, że ten mały ulicznik, którego przyniósł Adam, okaże się tak śliczną i zgrabną dziewczyną?

- Nie przesadzaj... - zaprotestowała Edwina.

- Nie ma w tym przesady. Wyglądasz jak prawdziwa arystokratka - papłała Harriet, uśmiechając się. - Chodź... - Otoczyła przyjaciółkę ramieniem. - Mam wolne pół godziny. Pogadamy przy filiżance herbaty.

- Liczyłam na to.

- Opowiesz mi, jak ci się układa z wielkim Adamem Rycroftem. Umieram z ciekawości! W mieście roi się od plotek, że jego najnowsza muza to dziewczyna nieziemskiej urody. Wyobraź sobie, że niektórzy nawet przyjmują zakłady, kim jest owa tajemnicza piękność! Jak widać, Adam nadzwyczaj pilnie strzegł swojej tajemnicy. Wierz mi, kochanie, ludzie nie mogą się doczekać, żeby cię zobaczyć!

Edwina wybuchnęła śmiechem.

- Wkrótce ich ciekawość zostanie zaspokojona. To już nie potrwa długo.

Harriet zaprowadziła ją do przytulnego pokoiku, urządzonego na biało-niebiesko. Zanim jednak weszły do środka, Edwina zwróciła uwagę na młodą damę o ciemnych włosach, która właśnie zeszła z piętra i pomału zmierzała w ich stronę.

Kobieta była bardzo piękna, lecz jej uroda miała w sobie coś dziwnego. Brakowało w niej ciepła, a widać było wyrachowanie. Ta wyniosłe uniesiona głowa, dumne spojrzenie... Edwina nagle ją rozpoznała i odruchowo cofnęła się o pół kroku. Obca dama także spojrzała na nią i podejrzliwie zmrużyła

oczy. Potem bez słowa poszła dalej, do czekającego na ulicy powozu. Pozostał po niej mdły zapach perfum.

- Kto to był, Harriet? - zapytała Edwina, siadając naprzeciwko przyjaciółki.

Harriet nie odpowiedziała od razu. Najpierw nalała herbaty do dwóch delikatnych filiżanek z chińskiej porcelany.

- Barbara Mortimer - mruknęła. - Siostrzenica pani Drinkwater.

Spod oka popatrzyła na Edwinę.

- Tylko czasem nie pomyśl sobie, że tu pracuje. Nie, nie... Do tego by się nie zniżyła. Mieszka z matką w Chelsea, ale czasami wpada do ciotki w odwiedziny.

- Tamtego dnia... gdy się tu znalazłam, była z Adamem przed teatrem - powiedziała Edwina. - Są... razem?

Czuła, że chyba nie polubi pięknej siostrzenicy pani Drinkwater.

- To zależy. Panna Wyniosła chyba myśli, że tak jest - odparła Harriet. Z jej słów i miny wynikało, że także nie przepada za Barbarą Mortimer. - Kiedyś dla niego pozowała i od tamtej pory próbuje go usidlić, ale Adam trzyma ją na dystans. - Wychodzi z nią czasem ze względu na panią Drinkwater - dodała. - Mniejsza z tym. Teraz opowiedz mi o sobie. Jak to wszystko wytrzymałaś?

- Pytasz mnie, czy się nie nudziłam, siedząc codziennie na kanapie? To rzeczywiście ciężka praca - z roztargnieniem powiedziała Edwina, wciąż myśląc o Barbarze.

Pochyliła się nad stołem, by powąchać róże w srebrnym wazonie.

- A portret? Skończył go malować?

Edwina kiwnęła głową.

- I? - nie ustępowała Harriet. Z wyraźną ciekawością przy-
patrywała się przyjaciółce. - To dzieło sztuki?

- Adam na pewno jest zadowolony.

- Kiedy wystawi ten obraz?

- Nie mam pojęcia... Pewnie gdy wróci, czyli za jakieś dwa,
trzy tygodnie. Nie mówiłam ci, że wyjechał w podróż? Ma za-
miar zrobić wielki pokaz w Royal Academy.

- A to dopiero! Będiesz sławna, moja kochana. Cieszysz
się?

- Może trochę... - Edwina uśmiechnęła się. Pierwszy raz
od wyjazdu Adama poczuła się różniej. - Ale nie będę biernie
czekać na uwielbienie tłumów.

- Co chcesz zrobić?

- Wyjadę do Francji. Mam... tam rodzinę - odparła z wa-
haniem. Nie chciała, żeby Harriet pytała ją o coś więcej.
Opuszczam Londyn zaraz po powrocie Adama.

- To bliscy krewni?

- Nie. Prawdę mówiąc, nigdy ich nie widziałam. A tu nie
będę już miała nic do roboty... zwłaszcza po publicznym po-
kazie obrazu. Oczywiście nie wiem, co mnie jeszcze czeka,
i trochę się boję. Nawet zastawiałam się, czy nie zrezygnować
z tej podróży. Ale muszę wyjechać.

Harriet skierowała na nią pytające spojrzenie.

- Przed czym uciekasz, Edwino? - zapytała wprost. - Do-
myślałam się, że tu nie chodzi tylko o tego bandytę z St Giles,
prawda? Jest jeszcze jakiś inny powód.

- Masz rację - cicho przyznała Edwina. - Jest ktoś dużo
groźniejszy od Jacka.

Harriet powstrzymała się od dalszych pytań. Nie chciała wkraczać w prywatne życie przyjaciółki. Ale ku jej zdziwieniu, Edwina nie poprzestała na tej odpowiedzi, lecz mówiła dalej.

- Uciekam od człowieka, który chciał pojąć mnie za żonę, Harriet. Od człowieka, który ma bogactwo i władzę, lecz jest okrutny, chciwy i tak stary, że na dobrą sprawę mógłby być moim dziadkiem. Nienawidzę go. Uciekam także od mojego stryja - i zapewniam cię, że mam powody. Od pewnego czasu się ukrywam, bo nie chcę, żeby mnie znalazł. Niestety, stryj jest wielkim miłośnikiem sztuki i często bywa na wystawach malarstwa. Jestem pewna, że prędzej czy później zobaczy mój portret w Royal Academy. Dlatego muszę jak najszybciej stąd wyjechać.

- Rozumiem - z zadumą powiedziała Harriet. - Stryj jest twoim prawnym opiekunem?

- Tak.

- Musi być bardzo złym człowiekiem, skoro uważasz go za groźniejszego od Jacka Pierce'a. Ale do Francji jest daleko... Czeka cię trudna podróż, Edwino. Mam nadzieję, że znajdziesz schronienie u swoich krewnych. Nie odwodzę cię od tej decyzji, chociaż jestem pełna obaw. Chciałabym, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Harriet postanowiła skierować rozmowę na lżejszy temat.

- Powiedz mi, jak ci się układa z Adamem? Już znalazłaś się pod jego niewątpliwym urokiem? - spytała, obserwując reakcję przyjaciółki.

Edwina oczywiście spłonęła rumieńcem.

- Owszem... podoba mi się - wyznała z wahaniem. - Chyba nie może być inaczej...

- Chyba nie może! - roześmiała się Harriet. Potrafiła śmiać się z całego serca, w zaraźliwy sposób. Nawet kiedy się tylko uśmiechała, pokazywała równe białe zęby. - Ale podoba ci się jako człowiek czy jako artysta? Powiedziałas to w taki sposób, jakbyś mówiła o Tower lub o katedrze Świętego Pawła.

- Tak to zabrzmiało? Dziwne... Nie zgadzam się z tobą, Harriet. Adam jest wspaniały. Taki... - urwała, bo nie mogła znaleźć słowa. Wreszcie westchnęła cicho.

- Jest w nim powiew jakiejś przygody i niezwykłości... To chyba mnie najbardziej w nim pociąga. A poza tym zawsze był dla mnie dobry, uprzejmy i miły...

- Oczywiście! - zawołała Harriet przekornie. W jej oczach widać było rozbawienie. - Już on potrafi być czarujący... jeśli zechce. Ale jest znany z humorów i temperamentu. Nad tym ostatnim zresztą wcale nie stara się panować. Bywa uparty, niecierpliw i wymagający do przesady. Jednak niemal każda kobieta w Londynie marzy, aby się z nim przespać. Niektóre chcą pozować nago, byle tylko je malował.

Edwina słuchała tego bez zażenowania. Pół roku temu pewnie by uciekła, ale teraz spokojnie patrzyła na Harriet. Uśmiechnęła się.

- Ty także nie byłeś wyjątkiem - odparła.

- Tak, to prawda - ochoczo zgodziła się Harriet. - Nie zaprzeczam, że lubię mężczyzn - zwłaszcza takich, którzy przypominają greckie posagi. Ale nie powiedziałas mi, co z Adamem. Co on czuje do ciebie?

- Ciagle zachwyca się moją urodą... i nic więcej.

Harriet spojrzała na nią bystro. Coś w głosie Edwiny zwróciło jej uwagę. Jakiś niepokój... może rozczarowanie?

Edwina w lot zrozumiała nieme pytanie przyjaciółki.

- Najbardziej kocha swoją pracę - wyjaśniła. - W jego życiu nie pozostaje wiele miejsca na inne sprawy... a już najbardziej na prawdziwą miłość. Bardzo trudno jest związać się z kimś takim.

Miłość? Na litość boską! A kto tu mówi o miłości? Kochałam tylko raz, Edwino - i powiem ci, że po tamtych doświadczeniach nikt mnie już na to nie namówi. Drugi raz nie dam się złapać w pułapkę. Miłość potrafi wszystko zniszczyć. Jest dzika i obeszładniająca. Spala cię od środka. To nie dla mnie. Wystarczy mi ta odrobina szczęścia, którą dziś czerpię z pracy.

Powiedziała to na pozór obojętnie, ale Edwina wyraźnie wyczuła gorzką nutę w jej głosie. Popatrzyła na nią ze współczuciem i zauważyła, że w oczach Harriet pojawił się cień smutku.

- Co prawda nie wiem, kim był ten człowiek, Harriet - odezwała się łagodnie - ale od razu widać, że musiałaś go bardzo kochać.

Harriet kiwnęła głową i głośno przełknęła ślinę, bo coś ją drapało w gardle.

- Tak, moja droga... - westchnęła. - Ale wyleczyłam się z tego w dniu, w którym bezceremonialnie wysłał mnie na ulicę.

- Och, to okropne... Tak mi przykro.

Harriet wzruszyła ramionami.

- Niepotrzebnie. To nie był najgorszy człowiek. Myślał jednak tylko o sobie i miał pretensje do całego świata. Jak większość mężczyzn kroczył własną drogą. Zniknął mi z oczu, kie-

dy zaczęłam pracować w Dolly's Place. Myślę, że wciąż żeruje na naiwności niedoświadczonych dziewcząt. Ja też dałam się złapać na jego wzdychania, urodę i elokwencję. Złamał mi serce - ot, i tyle. Nigdy mu nie wybaczę tego, co mi zrobił - dokończyła ciszej.

Edwina była wzruszona jej wyznaniem. Ujęła ją za rękę.

Opowieść Harriet głęboko zapadła jej w serce. Nie potrafiła sobie wyobrazić zrozpaczonej dziewczyny, która pewnego dnia zawitała do Dolly's Place. Przecież Harriet zawsze była tak radosna i pełna życiowej energii...

W pokoju zapadła cisza. Kilka sekund później weszła pokojówka, żeby zabrać tacę. Edwina wstała.

- Chyba już pójdę, Harriet. Nie chcę ci przeszkadzać.

- Cieszę się, że przyszłaś, Edwino - odpowiedziała Harriet rażno. Już zapomniała o przygnębieniu. Odprowadziła przyjaciółkę do drzwi.

- Nie uciekniesz do Francji bez słowa pożegnania, prawda?

Edwina uśmiechnęła się i uściskała ją serdecznie.

- Na pewno nie ucieknę. Masz na to moje słowo, Harriet.

Do widzenia.

Stangret pomógł jej wsiąść do powozu. Zamknęła drzwiczki i pomachała na pożegnanie.

Edwina była w ogrodzie. Ścinała róże i wkładała je do koszyka, który niosła na przedramieniu. W pewnej chwili zjawiła się pani Harrison z wiadomością, że w holu czeka młoda dama - panna Barbara Mortimer. Edwina zaskoczona spojrzała na gospodynię.

- Na pewno przyszła do mnie, a nie do Adama?

- Powiedziała, że chce się widzieć z damą, którą przedtem widziała na spacerze w parku.

- Rozumiem - odparła Edwina. Rzeczywiście, rano wybrała się na krótką przechadzkę, ale nie miała pojęcia, że jest obserwowana. Zawahała się, bo miała mieszane uczucia względem Barbary Mortimer. - Wciąż czeka w holu?

- Zaprowadziłam ją do saloniku na parterze.

- Dziękuję. Zaraz ją przyjmę. Niech pani poprosi Norę, żeby przyniosła herbatę, dobrze?

Zaniepokojona Edwina wróciła do domu. Starła się zapanować nad nerwami. Nie miała pojęcia, co tutaj sprowadza piękną siostrzenicę pani Drinkwater. Zostawiła koszyczek w sieni i zdecydowanym krokiem weszła do saloniku. Panna Mortimer siedziała na brzeżku miękkiego fotela z wysokim oparciem. Patrzyła w stronę drzwi. Na widok Edwiny wstała i obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem.

Edwina była nieco speszona jej zachowaniem. Barbara istotnie była bardzo piękna i dobrze zdawała sobie sprawę ze swojej urody. Elegancka jak zawsze, ubrana była we wspaniałą suknię ze złotozielonego jedwabiu.

- Przepraszam, że kazałam pani czekać, panno Mortimer - odezwała się Edwina. - Proszę usiąść.

Wskazała ten sam fotel, na którym przed chwilą siedziała Barbara.

- Mam na imię Edwina.

Z kamiennym spokojem usiadła na kanapie. Panna Mortimer zajęła miejsce po drugiej stronie stolika. Była trochę rozczarowana, bo nie dostrzegła w zachowaniu Edwiny żadnego napięcia. Jak taka przybłęda może beczelnie grać rolę pani

domu? - pomyślała. Adam nie spotykał się z nią już od miesiąca. .. Nie przyjmował gości, tłumacząc, że pracuje nad nowym obrazem. Tymczasem londyńczycy od kilku tygodni zastanawiali się, kim jest jego najnowsza modelka - tajemnicza dziewczyna o niezemskiej urodzie. Barbara też nie była mądrzejsza od innych, aż do pewnego dnia, w którym zobaczyła ciemny powóz Adama na Strandzie. Zainteresowała się piękną pasażerką. Potem przypadkowo spotkała ją u swojej ciotki. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli osobiście sprawdzi, o co tu chodzi. Chciała bliżej poznać ową dziwną damę, która sprawiła, że Adam odsunął się od przyjaciół... i przyjaciółek.

- Dużo się mówi o tym, że Adam ma nową żonę - zaczęła bez ogródek. - Chyba należy wierzyć tym pogłoskom. Pozuje pani dla niego?

Edwina siedziała sztywno, lecz zmusiła się do uśmiechu. Na pozór nie zwracała najmniejszej uwagi na obcesowy ton swojej rozmówczyni.

- Raczej pozowałam. Obraz jest już skończony. - Uniosła brwi. - Jak więc wypadłam w pani oczach, panno Mortimer?

Barbara z namysłem pokiwała głową i uśmiechnęła się zdawkowo.

- Szczerze mówiąc, zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałam. Jest pani... niecodzienna - i przyznaję, że bardzo piękna.

- Dziękuję. - Edwina była zaskoczona tym niespodziewanym komplementem. - Myślę o pani to samo.

Barbara jedynie chłodno się uśmiechnęła.

- O ile się nie mylę, to właśnie panią widziałam wczoraj

w Dolly's Place, prawda? - Obrzuciła Edwinę oschłym spojrzeniem. - Jest pani jedną z dziewcząt mojej ciotki?

Edwina uśmiechnęła się z lekką wyższością.

- Nie, panno Mortimer. Wpadłam tam jedynie na chwilę, żeby podziękować pani Drinkwater za okazaną mi wcześniej uprzejmość. Przy okazji pogawędziłam trochę z przyjaciółką.

Barbara milczała przez chwilę. Do tej pory była przekonana, że nowa modelka Adama jest zwykłą kurtyzaną. Odpowiedź Edwiny trochę ją zbiła z tropu. Z niechęcią myślała o tym, że nie ma do czynienia ze zwykłą, niezbyt ładną dziewczyną z ulicy, ale z dobrze wychowaną damą. Z zadumą popatrzyła spod oka na Edwinę. Kim jest ta kobieta? I dlaczego Adam trzymał ją w ukryciu? A może mu się spodobała? Może już mieli ze sobą romans?

Do niedawna Barbara z oczywistą pogardą traktowała inne dziewczęta, wychodząc z założenia, że żadna oprócz niej nie ma dostępu do serca Adama. Teraz ze strachem pomyślała o tym, że jej pozycja została zachwiana. Postanowiła, że w drodze powrotnej do domu w Chelsea znów zajrzy do ciotki i wypyta o wszystko na temat Edwiny. Przecież, na litość boską, ktoś musi coś wiedzieć...

- Dobrze zna pani Adama? - spytała Edwina. - Jesteście przyjaciółmi?

W dalszym ciągu zachowywała się grzecznie, spokojnie i z rozwagą. Wprawdzie znała Barbarę z opowiadań Harriet, ale wołała zachować to dla siebie.

- Dla nikogo nie jest tajemnicą, że łączy mnie z Adamem coś więcej niż zwykła przyjaźń - ze znaczącym uśmiechem zapewniła ją panna Mortimer. Zamierzała do końca walczyć

o Rycrofta. Stawka jest zbyt duża, by ustąpić placu nieznannej rywalce. - Znam go lepiej niż inni... i to właśnie dlatego chciałam spotkać kobietę, którą Adam od dawna ukrywa w swoim domu - dodała znacząco. - Nie wątpię, że wasze obecne stosunki cechuje pewna zażyłość.

Edwina obserwowała ją bardzo uważnie - i może nawet z lekkim napięciem - ale w jej głosie nadal nie było ani śladu niepewności lub zdenerwowania.

- To prawda - odpowiedziała uprzejmie. - Po tylu dniach spędzonych razem... To chyba nieuniknione. Przypuszczam, że w tym czasie nie bywał u pani?

- Nie. - Głos Barbary pobrzmiwał smutkiem, zabarwionym cichą złością. Była jednak na tyle mądra, żeby nie ujawniać prawdziwych uczuć. Nie chciała palić za sobą wszystkich mostów.

- I to pani sprawiło przykrość? - natychmiast zapytała Edwina.

Atmosfera w przytulnym saloniku nagle zrobiła się napięta. Obie kobiety przez chwilę patrzyły sobie w oczy. W zielononiebieskich oczach Edwiny malował się jednak nieugięty spokój, a oczy Barbary nagle pociemniały i można w nich było dostrzec nienawiść. Z trudem tłumiła gniew, mimo to wciąż mówiła tym samym wyważonym, zimnym jak lód głosem.

- Zastanawiałam się, dlaczego Adam odmawia wszelkich wizyt. Wiem jednak nie od dzisiaj, że bywa pochłonięty pracą. Wtedy najlepiej mu nie przeszkadzać.

- To prawda. W domu panuje wówczas całkowity spokój. Jest tylko pani Harrison i kilku służących.

Ta uwaga, wypowiedziana niewinnym tonem, sprawiła, że

Barbara gwałtownie uniosła głowę. Jej usta zacisnęły się w wąską linię.

- Adamowi potrzebna żona, a nie „kilku służących” - zauważyła sucho. - Powiem mu o tym, kiedy wróci do Londynu. Mam nadzieję, że dokona słusznego wyboru.

Edwina z niezmaconym uśmiechem popatrzyła na jej gniewną minę.

- Święte słowa - powiedziała spokojnie - bo gdyby się pomylił, byłaby to niepowetowana strata dla nas wszystkich. Tak utalentowany i czarujący człowiek mógłby się zamęczyć z niechcianą kobietą.

- Podejrzewam, że źle mnie pani zrozumiała.

- Ani trochę - ostrzej odparła Edwina.

Oczy Barbary ściemniały jeszcze bardziej. Przypominały teraz dwie brązowe chmury, nabrzmiałe zapowiedzią burzy.

- Bądź ostrożna, Edwino. Znam Adama już od dawna. Nie pozwolę, żeby ktoś mi go odebrał.

- Jestem tego zupełnie pewna - bez cienia zmieszania odpowiedziała Edwina. Mimo gróźb Barbary nie dała się sprowokować. - Wypada tylko schylić głowę przed taką determinacją. Życzę szczęścia.

- Miała z nim pani romans?

- Nie - wyniosłe zaprzeczyła Edwina. - Nie miałam. Połączyła nas jedynie zbieżność interesów. Adam łaskawie mi zaproponował, abym została jeszcze trochę na czas jego wyjazdu. Wyprowadzę się, kiedy wróci.

Po tych słowach twarz Barbary nieco złagodniała. Panna Mortimer pozwoliła sobie na uśmiech, podniosła się z fotela i sięgnęła po rękawiczki.

To dobrze - powiedziała. - Cieszy mnie, że się rozumiemy. Nie pragnę pani krzywdy.

Edwina także wstała.

- To bardzo miło z pani strony. Dziękuję za troskliwość.

W tej samej chwili do saloniku weszła Nora z herbatą. Edwina uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję, Noro. Postaw tacę i odprowadź pannę Mortimer do wyjścia. Niestety nie zostanie dzisiaj na herbacie. - Spojrzała na gościa. - Do widzenia, panno Mortimer.

Barbara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zła jak osa, sztywno kiwnęła głową i poszła za służącą.

Edwina została sama. Nagle opuściła ją cała pewność siebie. Zmęczona opadła na kanapę. W myślach jeszcze raz przeżywała rozmowę z Barbarą. Przecież nigdy nie zamierzała być jej rywalką. Panna Mortimer jest zazdrosna o Adama. A przecież wszystko wskazywało na to, że Adam nie odwzajemnia uczuć pięknej siostrzenicy pani Drinkwater. Edwina nie zamierzała się w to wtrącać. Postanowiła jak najszybciej usunąć się ze sceny. Serce jej się krajało na myśl o rozstaniu z Adamem. Wiedziała, że już go pewnie nie zobaczy...

Miło jej było słuchać męskich pochwał po długich miesiącach spędzonych w St Giles w nędznym przebraniu ulicznika. Widziała zachwyty w oczach Adama za każdym razem, kiedy na nią patrzył. Lecz nie powinna o nim myśleć, a ostatnio zdarzało się to bardzo często. Śniła na jawie, choć już powinna zacząć przygotowania do podróży. Ale świadomość, że niedługo może na zawsze się rozstać, była bolesna, chociaż Francja oferowała jej upragniony spokój.

Barbara w zamyśleniu wyszła z Dolly's Place. Jak na tę porę dnia na Covent Garden było wyjątkowo cicho i spokojnie. Może dlatego niemal od razu spostrzegła jakąś podejrzaną postać, czyhającą w ciemnym kącie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do kasyna.

Była zła i rozczarowana, bo nie dowiedziała się od ciotki niczego więcej o Edwinie. Pani Drinkwater powiedziała jej za ledwie tyle, że dziewczyna padła ofiarą pobicia. Adam przyniósł ją z ulicy nieprzytomną, z zakrwawionym czołem. Ale Barbara była zbyt uparta, żeby na tym poprzestać. Zanim wyszła, pozornie od niechcienia wzięła na spytki jedną z dziewcząt. Ze zdumieniem usłyszała od niej, że Edwina udawała chłopca. Jak to? Śliczna młoda dama w brudnych łachach ulicznika? To wystarczyło, żeby jeszcze bardziej pobudzić jej ciekawość.

Już wcześniej widywała barczystego mężczyznę, który z uporem patrzył na drzwi do Dolly's Place. W pierwszej chwili myślała, że czeka na którąś z dziewcząt. Ale nie... Wystarczyło spojrzeć na jego zarośniętą gębę, postrzępiony ubiór i koślawy cylinder z piórem, aby wiedzieć, że ktoś taki na pewno nie ma prawa wstępu do przybytku pani Drinkwater. Niewiele myśląc, Barbara przeszła na drugą stronę ulicy i wdała się z nim w rozmowę. Po chwili wiedziała już, że tajemniczy człowiek nazywa się Jack Pierce i szuka chłopca imieniem Ed.

Jack odszedł z Covent Garden wściekły jak wszyscy diabli. Ze złości ścisnęło go w dołku. Jak to możliwe, że od razu nie odkrył tajemnicy Eda? A to mała suka... Nie dość, że wy-

strychnęła go na dudka, to jeszcze uciekła. Nie, nie... - powtarzał w myślach zawzięcie. Tak łatwo jej nie pójdzie... Nim doszedł do końca Fleet Street, ochłonał z gniewu. Postanowił na chłodno od początku przemyśleć sytuację. Zatem „Ed” mieszka teraz u malarza, niejakiego Adama Rycrofta...

Gdyby wierzyć tej kobiecie, która przed chwilą z nim rozmawiała, to właśnie ów Adam poszukiwał kaleki Toby'ego. I to z tym malarzem wdał się w utarczkę na Covent Garden. A że Jack miał zwyczaj wiedzieć to i owo o różnych sławnych ludziach, słyszał też, że Adam Rycroft jest malarzem znanym. To połechtало jego ambicję. Postanowił na własną rękę zająć się sprawą Toby'ego.

Wyszczerzył zęby w złym uśmiechu. Kto wie? - pomyślał zimno. Może strata Eda wyjdzie mi tylko na dobre? Toby na pewno będzie dużo lepszą zdobyczą...

Taplow Court. Adam z wysokości siodła spoglądał na posępne, średniowieczne gmaszysko czerniejące na szczycie wzgórza, na ciemne mury i zamglone okna. Posiadłość sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Teraz należy wyłącznie do niego. Przed laty mieszkała tu jego matka, zanim wyszła za mąż i przeprowadziła się do Devonshire. Po tragicznym pożarze, w którym sześćioletni Adam stracił ukochanych rodziców, ten ponury budynek stał się jego domem.

Od tamtej pory chorobliwie nie cierpiał tego straszego miejsca. Nie zamierzał tu wracać. Odstręczały go złe wspomnienia. Wzdrygnął się i próbował myśleć o czym innym. Przecież kiedyś wyjechał stąd, by dać odpór demonom dręczącym jego umysł.

Prawdę mówiąc, nigdy się nie otrząsnął po śmierci rodziców. To wydarzenie pozostawiło w nim głęboką, niezabliźnioną ranę. Między nim a ojcem istniała szczególna więź, której Silas, dwadzieścia lat starszy, nie potrafił, a może też nie chciał zrozumieć. A zrozpaczony chłopiec nie znalazł pocieszenia w pustych, milczących komnatach starego dworu Taplow, pełnych tajemniczego echa i złowrogich cieni. Silas wcale się nie cieszył pobytom malca. Wręcz przeciwnie, dokuczał mu na każdym kroku. Adam nie zaznał od niego miłości i ciepła. Między nimi nie było uczucia ani porozumienia.

Nawet po tylu latach Adam wciąż pamiętał, z jakim obrzydzeniem spoglądał na kuzyna. Silas był lubieżnikiem i sadystą. Znęcał się nad wszystkimi, nie wyłączając krewnych. Dużo pił, a później za lada przewinienie zamykał chłopca w ciemnym pokoju. Czasami wymyślał inne kary. Zawsze cieszył go widok ludzkiego poniżenia. Czerpał z tego wręcz jakąś chorobliwą przyjemność.

Adam głęboko go nienawdził. Początkowo drżał przed nim i kulił się z przerażenia, kiedy go tylko zobaczył w pobliżu. Jednak z czasem strach ustąpił złości. Osamotniony chłopiec nie miał gdzie szukać pomocy. Wystraszona służba w obawie przed karą udawała, że nie dostrzega wybryków pana.

Cicha i łagodna siostrzyczka Silasa, dziesięcioletnia Olivia, była całkowicie zdominowana przez brata, ale po kryjomy zaprzyjaźniła się z Adamem. Nie umiała mu jednak pomóc. Prawdziwą opieką otoczyła go Dolly. Tylko ona miała dość odwagi, żeby sprzeciwić się Silasowi. Adam bardzo się temu dziwił, potem jednak odkrył, że jej obowiązki wykra-

czały poza normalną pracę gospodyni i że nocami grzała łożę jego kuzyna.

Dopiero kiedy zmęźniał i stał się dużo wyższy nawet od Silasa, prześladowania ustały. Nie zniknęła jednak wzajemna nienawiść. Adam dziękował Bogu, kiedy wreszcie mógł pójść do szkoły z internatem i poświęcić się swojej największej pasji - malarstwu. Zdominowany przez innych, od wczesnego dzieciństwa nauczył się skrętnie ukrywać uczucia. Nie dopuszczał nikogo do swych myśli. Z nikim się nie dzielił marzeniami. Wydawał się człowiekiem wypranym z emocji - ale one wciąż w nim były, bolesne i trwałe, zepchnięte na skraj świadomości.

Teraz przebywał w Taplow Court już niemal od miesiąca, starannie przeglądając księgi rachunkowe i objeżdżając posiadłość w towarzystwie rządcy. Spotykał się z chłopami i starał się wejść w rolę właściciela. W zasadzie już był gotów wrócić do Londynu i do pięknej Edwiny. Boże, jak za nią tęsknił! Myślał o niej od wielu tygodni. Marzył, żeby znowu ujrzeć jej cudowne oczy... Ponaglał wszystkich, żeby skończyć najważniejsze sprawy i nareszcie wyjechać z Taplow Court.

Co ja wyprawiam? - pomyślał nagle i wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. Zachowuję się jak wariat. Ale po chwili w wyobraźni znowu ujrział Edwinę. Jej widok był dla niego symbolem jakiejś nowej, przedziwnej wolności, której zasmakował po raz pierwszy w St Giles, kiedy pewien złodziejaszek skradł mu zegarek. Adam przymknął oczy i oddał się marzeniom. Zamajaczyła przed nim zwiewna postać niezwyklej czarodziejki.

- Edwino... - szepnął z bólem, gdyż uświadomił sobie, że

dziewczyna wkrótce ma zamiar go opuścić. Ciekawe, co teraz robi? - Westchnął i z roztargnieniem odgarnął włosy z czoła. Znów zamknął oczy i próbował przywołać każdy, nawet najdrobniejszy, fragment jej twarzy. Znał ją doskonale. Malował i całował...

Postanowił zakończyć swoje tutejsze sprawy i wracać do Londynu. Prosił Boga, by Edwina dotrzymała swojego przyrzeczenia i nie wybrała się w długą podróż do Francji przed jego powrotem. Jednocześnie próbował w jakiś rozsądny sposób określić swoje uczucia. Nic mu nie pasowało. Wciąż bał się słowa „miłość”. A zatem co? „Zażyłość”? Tylko to przyszło mu do głowy. Gdy skończył ją malować, miał płonną nadzieję, że zdoła się uwolnić od uzależnienia. Ale Edwina była dla niego jak narkotyk. Im dłużej miał ją przy sobie, tym bardziej jej pragnął.

Zawrócił konia i pojechał do odległego o cztery mile Oakwood Hall, gdzie mieszkał sir Henry Marchant. Chciał mu złożyć wizytę i spytać o losy bratanicy. A może już wróciła? Co za ironia losu... - wpadło mu do głowy. Obaj poszukujemy zaginionych krewnych... On sam, mimo wysiłków, nadal nie miał żadnych pewniejszych wiadomości na temat Toby'ego.

Poza tym sir Henry Marchant był jego dłużnikiem. Z papierów wynikało, że brat Henry'ego, zmarły Gordon Marchant, w obliczu bankructwa i zupełnej ruiny zwrócił się po pożyczkę do kuzyna Silasa. Ten wręczył mu równo trzydzieści tysięcy funtów, ale w zamian policzył lichwiarski procent. Dług miał zostać spłacony w ciągu półtora roku.

Niestety, Gordon Marchant wkrótce został zabity w dziwnych okolicznościach - dostał nożem w serce, a morderca ni-

gdy nie stanął przed sądem. Silas zaproponował Henry'emu umorzenie długu w zamian za rękę młodziutkiej córki Gordona. Henry, jako prawny opiekun Heloise, bez ceregieli przystał na ten warunek. Heloise nie podzielała jego entuzjazmu. Wymknęła się stryjowi i zniknęła bez wieści.

Termin dobiegał końca, a kwota zawarta w umowie nie została spłacona, więc Adam zamierzał wprost spytać sir Henry'ego, co zamierza z tym zrobić. Sprawa domagała się szybkiej decyzji, bo według słów rządcy pan Marchant nie należał do najbogatszych ludzi, choć posiadał wspaniałą kolekcję dzieł sztuki. Oczywiście posiadłość była więcej warta, lecz Adam nie hołdował zwyczajom Silasa i nie zamierzał wyrzucać Henry'ego z domu.

Adam w ponurym nastroju wracał z Oakwood Hall. Jego oczy ciskały błyskawice. Był wściekły na kuzyna Silasa. Od dawna podejrzewał, że ten stary łajdak niczym się nie różni od zwykłego bandyty, tyle tylko, że stał ponad prawem jedynie dlatego, że miał wielkie pieniądze, potęgę i wpływy. Adam zacisnął pięści. W uszach wciąż słyszał opowieść Henry'ego Marchanta. Gdyby mógł, to własnymi rękami zawłókłby Silasa na miejsce kaźni i oddał pod topór kata.

Rozdział ósmy

Kiedy Edwina wróciła z przechadzki po parku, pani Harrison wyszła jej naprzeciw z radosną nowiną, że właśnie przybył Adam. Uszczęśliwiona dziewczyna nawet nie spytała, gdzie ma go szukać. Zdjęła czepek, rzuciła go w wyciągnięte dłonie pani Harrison i jak na skrzydłach pobiegła prosto do pracowni. Ostrożnie otworzyła drzwi. Nie chciała, żeby Adam od razu ją zauważył. Pragnęła choć kilka sekund popatrzeć na niego z ukrycia - i napawać się widokiem, za którym tęskniła od wielu tygodni.

Adam stał przed obrazem. Odrzucił zasłonę i z namysłem spoglądał na portret Edwiny. Po chwili wyczuł jej obecność i odwrócił głowę. Przez moment bez słowa patrzyli sobie w oczy. Edwina wciąż miała lekko zaczerwienione policzki po wieczornym spacerze. Z błyszczącymi oczami czekała, żeby Adam odezwał się pierwszy.

On zaś spoglądał na nią spokojnym wzrokiem, z kamiennym wyrazem twarzy. Przyglądał się jej niebieskiej sukni i włosom rozświetlonym delikatnym blaskiem słońca. Patrzył na jej ogromne oczy i zmysłowe usta. Wydała mu się jakaś...

doroślejsza. Ogarnęła go fala niespokojnych uczuć. W myślach usiłował porównać ją z portretem. Ostatni raz widzieli się miesiąc temu. Teraz miał wrażenie, że ta młoda kobieta jest mu jakaś obca. Podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Wejdz, Edwino. Nie stój tak w progu.

Edwina pozwoliła, by wziął ją za rękę i wprowadził do środka. Teraz, gdy była bliżej, zauważyła wyraźne oznaki znużenia na jego twarzy. Miał nieco ostrzejsze rysy, jakby trochę wychudł. Ciemna opalenizna wskazywała, że dużo przebywał na słońcu. Ale w dalszym ciągu był szaleńczo przystojny, wysoki, o zmierzwionych włosach. Emanowała z niego taka męska siła, że serce Edwiny zabiło mocniej. Spłonęła rumieńcem i spuściła oczy, zażenowana własną reakcją. No, cóż... Widok Adama Rycrofta nieuchronnie budził w niej nieznanne dotąd myśli.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. Ujął dziewczynę pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- Tak?

- Tak. Ciągłe chcesz jechać do Francji? A może jednak zmienisz zdanie?

Uparcie pokręciła głową. Adam tylko pozornie wydawał się spokojny. Wyczuwała w nim jakieś napięcie, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Podejrzewała, że to ma związek z jego wyjazdem.

- Skoro tak, to musimy natychmiast porozmawiać - odparł, starannie dobierając słowa. Edwino, nie potrafię znieść myśli o rozstaniu. Nie chcę, żebyś odeszła. Proszę cię, nie wyjeżdżaj.

Edwina szeroko otworzyła oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, nie dając odpowiedzi. Była wyraźnie zdziwiona.

- A możesz mi powiedzieć, co cię do tego skłania? - wykrztusiła wreszcie.

- Oczywiście. Nawet nie chcę myśleć, co się z tobą stanie, gdy będziesz tak daleko... tysiące mil ode mnie - zakończył z uczuciem.

- Co takiego? - szepnęła, widząc w jego oczach niezwykłą namiętność, której do tej pory nie dostrzegała.

- Proszę cię, byś została... Tutaj.

- To znaczy... z tobą?

- Tak, do wszystkich diabłów!

-Adamie... Czy mam to zrozumieć jako propozycję? Chcesz, żebym zamieszkała z tobą jako... jako kochanka? - zapytała z wahaniem. Ostatnie słowo z trudem przeszło jej przez gardło.

- Tak. Będziesz moją panią, w każdym znaczeniu tego słowa, Edwino - odparł poważnie. - Naprawdę, sama nie wiesz, ile dla mnie znaczysz. Ostatni miesiąc, który spędziłem bez ciebie, był dla mnie prawdziwym piekłem. Chyba nie czujesz się obrażona?

Edwina popatrzyła na niego i w milczeniu pokręciła głową. Na dobrą sprawę nie wiedziała, czego od niego oczekuje, ale to była dla niej zupełna niespodzianka. No tak, Adam ceni sobie wolność, więc rozumiałe, że nie zamierza prosić jej o rękę. Skąd zatem ten nagły smutek i rozczarowanie?

- Adamie... - zaczęła. Odeszła parę kroków i uniosła rękę do gardła. - To, o co mnie prosisz... jest całkiem niemożliwe. Nie rób tego. Muszę wyjechać. To już postanowione.

- Dlaczego musisz? - spytał schrypniętym głosem, podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Spojrzał na nią

namiętnym, przenikliwym wzrokiem, przesywającym na wy-
lot. - Nie możesz spędzić reszty życia na ciągłej ucieczce. Dla-
czego chcesz opuścić Londyn i osiąść wśród obcych?

Urwał nagle i westchnął ciężko, widząc w jej oczach nara-
stające przerażenie.

- No dobrze... - powiedział dużo spokojniejszym tonem. -
Twoja matka pochodziła z Francji. Tam się wychowała. Ale ty
nawet nie znasz tego kraju!

- Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie szukać ojczyzny - od-
parła Edwina. - Przestań. Przecież znasz powody, dla których
naprawdę powinnam wyjechać. Nie kłóćmy się o to znowu.
Dobrze wiemy... co będzie, jeżeli zostaną.

Patrzył na nią tak rozplomienionym wzrokiem, że Edwina
odruchowo przycisnęła rękę do piersi, jakby chciała uspokoić
gwałtownie bijące serce.

- A cóż w tym złego? Edwino! Nie widzisz, co się ze mną
dzieje? Pragnę cię... Otwarcie to przyznaję i proszę cię, żebyś
zajęła miejsce u mojego boku. To tylko pierwszy mały krok na
dłuższej i nieznannej drodze. Wiem, że przynajmniej w części
podzielasz moje uczucia. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

- Jesteś diabelnie pewny siebie.

- Nie zaprzeczaj! Czujęm to w twoich pocałunkach... i wi-
dę w twoich oczach. Od początku odczuwam potrzebę, że-
by się tobą zająć. Już dawno nie doznałem podobnych emocji.
Inne kobiety były mi zawsze obojętne. Ty jedna poruszyłaś
we mnie jakąś czułą strunę... Na twój widok mam w głowie
zamęt. Myśli mi się płaczą. Przez cztery tygodnie szalałem
z tęsknoty i wróciłem tutaj tak szybko, jak mogłem...

Wziął głębszy oddech.

- Posłuchaj... Jesteś dla mnie niezwykłym zjawiskiem podjął po chwili. - Nie mogę cię stracić. Myślisz, że to tak łatwo rozstać się z piękną muzą? Jeśli nie chcesz zrozumieć tego, co we mnie tkwi, to przynajmniej pomyśl o nowym obrazie! Znow będę cię malował. Jeżeli wyjedziesz, zostanie ze mnie wrak człowieka. .. - dokończył dużo cichszym, przygnębionym głosem.

Bez zmrużenia powiek patrzył jej prosto w oczy. Obiecywał jej więcej, niż mogłaby przyjąć.

- A co potem? - spytała. - Wtedy, kiedy się mną znudzisz? Przecież po pewnym czasie zjawi się nowa „muza”, której chętnie poświęcisz swój czas i uwagę. Co wtedy ze mną będzie? - zapytała cicho.

Adam opuścił ręce. Zmarszczył brwi i gniewnie błysnął oczami.

- Jesteś dla mnie kimś więcej, Edwino. Tu nie ma mowy o zwykłych, przyziemnych uczuciach. Chcę, żebyś była przy mnie w każdej chwili życia. Trudno mi to wyrazić... Nie zamierzam szafować słowami typu „miłość”, bo wiem, że w ten sposób wprawię cię w zakłopotanie. To w tej chwili nieważne. Zasłużyłaś na więcej. Wyznam ci jednak teraz, że z nikim mi nie było tak dobrze, jak z tobą. Powiedz zupełnie szczerze: naprawdę chcesz wyjechać?

Popatrzyła na niego, jakby zamierzała na zawsze zapamiętać szczegóły jego twarzy. Pomału opuszczała ją dawna odwaga. Nagle spuściła oczy i potrząsnęła głową, chcąc w ten sposób odpędzić niepotrzebne myśli.

- Nie potrafię się bronić - powiedziała półgłosem. - Mogę się jedynie odwołać do twojego honoru. Nader łatwo zakochać się w tobie, Adamie. A to byłoby raczej głupie, nieprawdaż?

Adam przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Jego twarz nie zdradzała najmniejszych emocji.

- Jestem gotów ze wszystkich sił bronić twojej reputacji. Dobrze wiem, co oznacza moja propozycja. Ale jesteśmy do siebie podobni. Nagminnie łamiemy wszelkie konwenanse. Najważniejsza jest wolność. To dla nas najcenniejsze. Gdyby było inaczej - gdybyś nie była sobą - poprosiłbym cię o rękę. Ty jednak od początku bez przerwy podkreślałaś, że chcesz być niezależna. Umiem to uszanować.

Jak to? Więc Adam jednak dopuszczał do siebie myśl o ślubie? Z wrażenia nie mogła wykrztusić słowa. Adam tymczasem wciąż czekał na jej odpowiedź. Stał tuż przed nią, wysoce i prosty jak świeca, z nieodgadnionym wzrokiem. Edwina westchnęła i już otwierała usta, gdy przypomniała sobie niedawną rozmowę z panną Mortimer. Wolałaby o tym nie mówić, ale teraz przecież wszystko się zmieniło... Jeśli Adam naprawdę chce, by z nim została, należy do końca wyjaśnić pewne sprawy. Choćby to, jaki jest jego prawdziwy stosunek do Barbary.

- A nie pomyślałaś o panie Mortimer? - spytała. - Pod twoją nieobecność złożyła mi wizytę i oświadczyła wprost, że nie zrezygnuje z ciebie.

Adam zeszytywniał. Patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Oczekiwania panny Barbary Mortimer kłóca się z moimi - powiedział oschle. - Jak już zapewne wiesz, muszę jej okazywać pewne względy, bo jest siostrzenicą Dolly. Czasami ją zabieram na bal lub do teatru. To wszystko. Nigdy nie dałem jej do zrozumienia, że nasza znajomość wykracza poza przyjaźń. Teraz to także trochę się zmieniło. Nie istnieje dla

mnie żadna kobieta oprócz ciebie. O Barbarze możesz zapomnieć. Przemyślałaś to wszystko, co ci powiedziałem?

Edwina kiwnęła głową.

- Pamiętaj, że właściwie nic o sobie nie wiemy?

Tak, pamiętam. Ale to nie ma znaczenia. Chcemy być razem. Tylko to się liczy.

- A co będzie, kiedy mój portret zawisnie na ścianie w Royal Academy? Co będzie, jeśli twoja muza zostanie rozpoznana przez kogoś, kto pół roku temu zmusił ją do uciezki? Mogę cię zapewnić, że nie chodzi mi o Jacka - dodała z niepokojem w głosie.

- Boisz się? A zatem obraz nie pójdzie na wystawę. Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Niech portret wisi sobie tu, w pracowni... albo gdzieś indziej.

Edwina popatrzyła na niego ze wzruszeniem. Zdawała sobie sprawę, ile nadziei wiązał z obrazem i co dla niego znaczyło takie wyrzeczenie.

- Nie. Na to ci na pewno nie pozwolę - odpowiedziała stanowczo. - Mów, co chcesz, ale i tak wiem, co naprawdę czujesz.

Adam nie mógł powstrzymać się od śmiechu. W ten sposób trochę rozładował napięcie.

- No dobrze... Skoro tak stawiasz sprawę, to schowam ciebie. Pojedziesz na wieś, do mojego drugiego domu.

Edwina otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Masz drugi dom?

Adam pokiwał głową.

- Duży?

- Ogromny.

- Rozumiem - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. • -

Ale ten pomysł mi się nie podoba. Nie będę sama siedziała w pustym domu. Pozostanę mużą, obiektem dociekań znajomych i sąsiadów. Niech sobie plotkują.

- Chcesz stawić czoło światu? Na pewno cię nie opuszczę. Najwyższa pora zapomnieć o przeszłości i cieszyć się pełnią życia.

- Prawdę mówiąc, twój pomysł mi się nie podoba - mruknięła Edwina. Mimo woli spojrzała na usta Adama i poczuła, że krew szybciej krąży w jej żyłach. - To zupełnie szaleństwo.. Byłabym strasznie głupia, naiwna i słaba, gdybym zgodziła się na romans.

- Masz rację - odparł Adam. Pochylił się i złożył leciutki pocałunek na jej szyi.

- A z ciebie zwykły hultaj i podstępny łajdak - szepnęła jeszcze ciszej.

- Z tym też się mogę zgodzić - zamruczał, wdechając słodki, różany zapach bijący od jej skóry.

- Co będzie jeśli...?

Adam uniósł głowę. Miał zamglone oczy.

- Jeśli... - powtórzył machinalnie.

Na policzkach Edwiny wykwitł lekki rumieniec.

- No wiesz... Jeśli znajdę w ciąży?

Błysnął białymi zębami w iście wilczym uśmiechu.

- Wtedy będziesz musiała zostać moją żoną i na zawsze porzucić mrzonki o wolności oraz innych głupotach, które do tej pory zaprzętały twoją śliczną główkę.

Jej serce zabiło mocniej.

- Chyba tak... - westchnęła z radosnym uśmiechem. - Powiedz mi, Adamie... Kiedy ci pozowałam - o tam, na kanapie... Choć przez chwilę myślałeś o tym, by mnie uwieść?

- Jestem pewny, że nie masz mi nic do zarzucenia. Nawet święty na moim miejscu tak by się nie zachował. Ale niemal gryzłem palce z tłumionej namiętności. Zawsze cię pragnąłem. .. i nadal pragnę.

Edwina wyciągnęła rękę i czule pogładziła go po policzku.

- Nie byłam na to przygotowana.

Adam, nie odrywając oczu od jej twarzy, wycisnął namiętny pocałunek na jej dłoni.

- W takim razie mam obowiązek skłonić cię do tego, żebyś odstąpiła od dalszej obrony. Pokażę ci, co zrobię.

Edwina stała tuż przed nim, drobniutka i szczupła - i niesłychanie piękna. Adam przez dłuższą chwilę na nią patrzył. Potem wziął ją na ręce i bez wysiłku zaniósł na kanapę. Tam z niezwykłą siłą przycisnął ją do piersi, jakby tym prostym gestem chciał zastąpić słowa. Zaczęli się całować. Edwina bezwiednie rozchyliła usta, całkowicie oddając się w ręce Adama. Był przecież ekspertem w sztuce uwodzenia... Jęknęła, nieprzygotowana na falę uczuć, która ją zalała po pierwszym pocałunku. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego. Krew płonęła jej w żyłach.

Adam uniósł głowę i popatrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Burza namiętności zabarwiła rumieńcem jej policzki. Spojrzeli sobie w oczy.

- Jesteś piękna.

- Ty też - odszepnęła. Piersi jej nabrzmiały pod jego dotykiem.

Uśmiechnął się.

- Mężczyźni nie są piękni - mruknął.

- Ty jesteś - odparła z uśmiechem. - Jesteś silny i dobry.

Aż trudno uwierzyć, że mogłeś naprawdę poczuć coś właśnie do mnie.

Dotknął palcem jej brody.

- Moje drogie dziecko - zaczął mentorskim tonem. - Mam już dwadzieścia dziewięć lat i wiem, czego pragnę.

Wplótł dłonie w jej krótkie włosy, przygarbnał do siebie i złożył na jej ustach kolejny pocałunek, tym razem mniej szarmancki, a bardziej gwałtowny, pełen żaru.

Dla Edwiny to wszystko było całkiem nowe. Czuła się jak jeniec własnych reakcji, które wymknęły się jej spod kontroli.

- Zostań ze mną, Edwino - wymruczał, nie odrywając ust od jej twarzy. Czuła jego gorący oddech. - Powiedz, że zostaniesz.

Umysł Edwiny wrócił z dalekiej podróży. Dziewczyna odsunęła się lekko od Adama i spojrzała mu prosto w oczy. Wszystko przestało mieć dla niej znaczenie. Liczył się tylko on, Adam Rycroft. Francja odpłynęła gdzieś hen, hen... za horyzont.

- Zostanę - szepnęła - i poczuła się tak szczęśliwa, jak nigdy dotychczas.

Adam delikatnie pocałował ją w usta.

- Dziękuję - odparł cicho. - Żadnych więcej obietnic, żadnych zobowiązań. Zobaczymy, do czego nas to doprowadzi. Wszystko jest możliwe. Z wolna oplótł ją ramionami. Edwina wsparła głowę na jego szerokiej piersi. Zaproponował jej o wiele więcej, niż mogła się spodziewać. Bez ogródek powiedział, że chce mieć z nią romans, ona zaś nie poczuła najmniejszego wstydu. Nie była obrażona jego propozycją. Owszem, gdzieś ze środka przemawiał do niej cichy głos rozsądku, że nigdy nie powinna do tego dopuścić i że źle zrobiła,

nie wyjechawszy przed powrotem Adama. Ale uczucia były silniejsze.

- Wiesz co? - spytała. - Chciałabym cię o coś prosić. Lepiej załatwmy to teraz, bo potem może być za późno.

- Słucham - powiedział Adam poważnym głosem.

Na pięknej twarzy Edwiny pojawiła się konsternacja.

- Będziesz mi wierny? - zapytała cicho.

Dużo słyszała o jego poprzednich romansach, ale w tym wypadku...

- Dobrze wiem, że nie możesz opędzić się od kobiet. Wszystkie cię uwielbiają.

Przez chwilę Adam przypatrywał jej się bez słowa. Potem uściśnął ją odrobinę mocniej i pocałował w czoło.

- Nic na to nie poradzę - mruknął rozbawiony. Jednak zdawał sobie sprawę, ile to dla niej znaczy, więc natychmiast spoważniał. - Ale jeśli twoje pocałunki uznać za miarę uczuć, to pod tym względem ty także nie jesteś wyjątkiem.

Uśmiechnęła się.

- Chyba nie... Kiedy chcesz, umiesz być czarujący. Żadna kobieta, która ma krew w żyłach, nie będzie długo myśleć o oporze. Dużo słyszałam o twoich wyczynach. Wiem, że ci będzie trudno od razu zrezygnować z dawnych przyzwyczajęń, ale... nie chcę się tobą dzielić - dodała zupełnie serio. - Na to się nigdy nie zgodzę. Jeśli mamy być razem, to tylko dla siebie. Jeśli kiedyś mnie zdradzisz, natychmiast odejdę. Co ty na to?

Adam popatrzył w jej cudowne oczy.

- Zgoda - odparł spokojnie, bez cienia wahania. - Na moim miejscu żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nawet by nie spojrzął na inną kobietę.

- Dziękuję. W takim razie, wszystko już załatwione.

Wstała i wyciągnęła rękę do Adama. Pochwycił ją gorliwie w obie dłonie.

- Chodźmy. Ten smakowity zapach dochodzący z domu oznacza, że już najwyższa pora na kolację. Spacerowałam w parku ponad dwie godziny. Umieram z głodu!

Adam błysnął zębami w znaczącym uśmiechu.

- Ja też - mruknął. - Ale po kolacji przyjdzie pora na naszą małą uroczystość.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Doskonale umiała odczytać jego myśli.

Nieco później znaleźli się w przytulnej sypialni Adama. Srebrny blask księżyca wpadał przez odsłonięte okna i kładł się bladą poświatą na ogromnym łożu osłoniętym baldachimem. W przyćmionym świetle skóra Edwiny wydawała się biała. Adam wziął dziewczynę w ramiona i delikatnie położył na miękkim materacu.

- Boże, jesteś tak piękna... - wyznał szeptem niewiele głośniejszym od tchnienia. Jeszcze zwlekał przez moment, sycąc oczy niezwykłym widokiem. Edwina także patrzyła na niego. Chyba nie ma na świecie żadnego mężczyzny, który w tej chwili byłby szczęśliwszy ode mnie... - pomyślał Adam. Widział przed sobą ciemne, zamglone oczy Edwiny i jej kuszące, rozchyłone do pocałunku usta... Nie potrafił się przed tym obronić.

Edwina była naprawdę piękna - młoda, świeża, chętna i niewinna... godna miłości i pożądania. Adam chciał, by została już przy nim na zawsze. Wsparty na łokciu, drugą ręką

pieszczotliwie gładził ją po jedwabistej skórze. Musnął palcami drobne, ale okrągłe i jędrne piersi. Była niczym boginka z lasu wychowana wśród światła i cieni. Schylił się i pocałował ją w to samo miejsce, w którym przed chwilą trzymał rękę. Poczował woń kobiecego ciała, miękkich włosów i ciepłego oddechu.

Pod jego dotykiem Edwina wyprężyła się jak kotka. Jeszcze nie zaznała takiego uczucia. Było cudowne... i niespotykane. Uśmiechała się lekko, z zamkniętymi oczami i odchyłoną głową. Poddała się zabiegom Adama, wiedząc, że w sprawach miłości był bardziej doświadczony od niej.

Adam z napięciem czekał na to, co się stanie. Widząc uśmiech na twarzy Edwiny, odetchnął z ulgą. Teraz mógł już bez przeszkód pomyśleć o karesach. Miał wrażenie, że jego ciało płonie. Jego pieczyoty stały się nieco śmielsze. Bez pośpiechu, jak przystało na doświadczonego kochanka, odkrywał sekrety Edwiny. Wprawnymi dłońmi wodził po jej brzuchu, udach oraz łonie... aż usłyszał cichy jęk rozkoszy.

Edwina zanurzyła się w otchłań ekstazy. Cały świat przestał dla niej istnieć, z wyjątkiem Adama. Pierwszy akt ich miłości był dziki i gwałtowny niczym letnia burza. Drugi już spokojniejszy, choć także namiętny.

Wreszcie zdyszana, spocona Edwina zwinęła się w kłębek i mocno wtuliła w ramiona Adama. Pierwszy raz w życiu poczuła się w pełni potrzebna - i zarazem bezpieczna. Nie wiedziała, że to możliwe. Tyle szczęścia naraz... Ale wyraźnie zdawała sobie sprawę, że postąpiła wbrew podszeptom zdrowego rozsądku. Jednak nie dbała o to. Nie odczuwała wstydu ani nie miała wyrzutów sumienia.

Słyszała miarowy rytm serca Adama. Nagle uświadomiła sobie, że jest zakochana. Spadło to na nią niespodziewanie. Kochała go duszą i ciałem - ale nie miała dość odwagi, żeby mu o tym powiedzieć. Dlaczego? Po prostu bała się odpowiedzi. Jeszcze nie była pewna jego prawdziwych uczuć.

A później przyszła pora na refleksję. Jak to się stało, myślała zdumiona, że ten mężczyzna, który miał w życiu tyle kobiet, sprawił, że w jego objęciach poczułam się tą jedyną? Przycisnęła usta do jego ciepłej piersi i westchnęła ciężko. Chciała, żeby przeszłość uległa zapomnieniu... i żeby Adam myślał już tylko o niej. Ale nie ma na to najmniejszego wpływu. Może jedynie wierzyć, że dalej będzie równie cudownie. Może też po prostu cieszyć się każdą chwilą i nie troszczyć się o to, co przyniesie przyszłość.

Pierwsze promienie słońca z trudem przebijały się przez zasłonięte okna. Wąska smuga jasnego światła padła na Edwinę. Adam pocałował w głowę śpiącą dziewczynę. Wciąż pozostawał pod wrażeniem minionej nocy. Nie był przygotowany na to, że miłość z tą uroczą, pełną werwy i niewinną istotą przyćmi jego wcześniejsze doświadczenia. A przecież znał najpiękniejsze kobiety Londynu i Europy... W porównaniu z Edwiną wszystkie wypadały blade. Z żadną z nich nie przeżył takich uniesień.

Dopiero teraz zauważył, że ona też już się obudziła. Zadumanym wzrokiem patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- O czym myślisz? - zapytał.

Odwróciła głowę i napotkała jego badawcze spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, o niczym - westchnęła z uśmiechem.

Usiadła powoli. Jeszcze odczuwała skutki nocnych pieszczoł. Nie bacząc na to, że jest zupełnie naga, klęknęła na łóżku przed Adamem i nieśpiesznym ruchem odgarnęła z czoła wilgotne włosy. W panującym w sypialni półmroku Adam wydawał jej się jeszcze większy i silniejszy. Uśmiechnęła się, widząc, że mimo zmęczenia znów obrzucił ją namiętym spojrzeniem. Chociaż miała dowody na to, że niewątpliwie był dojrzałym, pełnym witalnych sił mężczyzną, w tej chwili - z pukłem ciemnych włosów opadającym mu na czoło - przypominał małego chłopca. Pochyliła się ze wzruszeniem i złożyła krótki pocałunek na jego ustach. Potem znów usiadła na piętach.

- Dałeś mi tyle szczęścia... - powiedziała lekko drżącym głosem. - Nigdy przedtem tak się nie czułam. Prawdę mówiąc, nawet do głowy mi nie przyszło, że kobieta może zaznać tak wiele radości. Adam przetoczył się w jej stronę i wsparł głowę na łokciu. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby krew żywej zaczęła jej pulsować w żyłach. Rozkoszny dreszcz przebiegł po plecach. Adam przez kilka sekund patrzył jej głęboko w oczy, a potem przeniósł wzrok na lekko zaokrąglone piersi i jeszcze niżej, na wąską talię... Edwina siedziała tyłem do okna, więc twarz miała ukrytą w cieniu.

- Jak się czujesz? - zapytał w końcu.

Zaczerwieniła się.

- Trochę dziwnie - zachichotała. - Nie przywykłam do takich zabaw. To był mój pierwszy raz... - przyznała z wyraźnym zakłopotaniem.

Adam uśmiechnął się, zupełnie rozbrojony jej zachowaniem.

- Wiem. Jestem tym zaszczycony.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- To bardzo dobrze.

- Szczęśliwa? - spytał. Poglądził ją po policzku i wplótł pacy w jej krótkie włosy.

Z błyskiem w oku przytaknęła mu energicznym ruchem głowy.

- Niczego nie żałujesz?

- Nie, niczego.

Adam powoli przesunął palcem po ręce Edwiny, podziwiając jej subtelne kształty.

- Wiesz, że jesteś niezwykle piękna? - mruknął. - Przypominasz mi tancerkę... albo młodą sarnę. Zawsze czujną, piękną, lecz ostrożną... stale gotową do ucieczki.

Usiadł i oparł się plecami o wezgłowie. Jedną nogę podciągnął pod siebie i oparł rękę na kolanie. Nie spuszczał wzroku z Edwiny. Lekko zmrużył powieki - i poważnie, w zamyśleniu, spjrzał w jej wielkie ciemne oczy.

- Gdyby chodziło o inną kobietę, to po tak długim czasie wiedziałbym o niej prawie wszystko. Znałbym jej przeszłość i upodobania. Powiedziałyby mi też, czego nie lubi. Ale ty jesteś całkiem inna: uwodzicielska, tajemnicza. Nie należysz do żadnej znanej mi kategorii. Nic o tobie nie wiem.

Edwina poruszyła się. Było jej nieswojo. Niespokojnie spojrzała na Adama.

- To miało być pytanie?

- Nie, chociaż jestem gotowy na wszystko, Edwino. Wiem, że uciekłaś przed kimś do Londynu. Wciąż uciekasz?



Rozdział dziewiąty

Pytanie padło niespodziewanie. Łzy błysnęły w oczach Edwiny, lecz gdy się odezwała, jej głos był twardszy niż zwykle.

- Nie chcę wracać do tamtych wspomnień. Daj mi zapomnieć o przeszłości.

- A jednak spróbuj mnie zrozumieć, Edwino... W pełni szanuję twoje prawa - odparł Adam pojednawczym tonem, bo choć mówiła smutno, był w tym pewien posmak nagany.

Sama pomyśl... Dzisiejszej nocy coś się zmieniło w naszym życiu. Coś pięknego się zaczęło. Nie psujmy tego tajemnicą. Jeżeli nie chcesz, to nie będziemy wdawać się w szczegóły, ale odpowiedz na pytanie: czy pokłóciłaś się z rodziną? Nie da się tego już naprawić?

Przez chwilę siedziała sztywno, z pobladłą twarzą. Popatrzyła na niego szklistym wzrokiem.

- To nie była tylko zwykła kłótnia - powiedziała bezbarwnym głosem. - Coś gorszego.

Adam ostrożnie ujął ją za rękę i przyłożył usta do jej palców.

- Widzę, że to cię denerwuje - szepnął. - Dajmy spokój.

Spojrzała w dół, na jego rękę - na długie, szczupłe palce,

zamknięte na jej dłoni. Wzrok jej stwardniał pod wpływem niechcianych wspomnień. Adam nie wiedział, ile przeszła... ile kiedyś wycierpiała - i to od własnego stryja. Gdzieś w sercu czuła, że nadeszła pora, aby powiedzieć całą prawdę. Któż, jak nie Adam miał pełne prawo, żeby dokładnie znać jej przeszłość? Po tym wszystkim, co dla niej zrobił... A tajemnica mogła przecież w każdej chwili zniszczyć ich kruchy związek. Edwina jeszcze trochę się wahała, choć w gruncie rzeczy już wiedziała, co powinna zrobić. Pierwszy raz w ciągu tych wielu samotnych miesięcy znalazła kogoś, kogo mogła obdarzyć pełnym zaufaniem. Postanowiła mu się zwierzyć.

- Nie... - Pokręciła głową. - Chcę, żebyś o tym wiedział.

Adam zmarszczył brwi.

- Nic mi nie musisz mówić.

- Wiem, ale nie zamierzam dopuścić do tego, aby ów sekret stanął między nami.

Przerwała, żeby naciągnąć na siebie kołdrę.

- Pozwól, że najpierw ci opowiem trochę o moim ojcu - zaczęła po krótkim milczeniu. - Bardzo mnie kochał i otaczał najczulszą opieką. Niestety, wciąż popadał w długi. Był człowiekiem o złotym sercu, ale miał skłonność do hazardu. Wciąż się zakładał - o cokolwiek. O wydarzenia polityczne, o to, kto wygra na wyścigach... Słowem, o wszystko. Stałe liczył na to, że następnym razem karta odwróci się na jego korzyść.

Westchnęła ciężko.

- Wreszcie stanął niemal u progu ruiny. Wtedy pożyczył sporą sumę od pewnego dżentelmena, dając pod zastaw swoją posiadłość. Kiedy zmarł, ów wierzyciel zwrócił się

bezpośrednio do mnie z żądaniem spłaty długu. Odpowiedziałam mu, że to nie moja sprawa. Nie zamierzałam płacić za zmarłego.

- Byłaś jego spadkobierczynią?

- Nie. Zgodnie z prawem majątek miał przejść na syna, a jeśli nie, to na najstarszego z krewnych. W tym przypadku był to mój stryj.

- W takim razie wierzyciel musiał iść do niego.

- Tak też postąpił po rozmowie ze mną. Stryj, a zarazem mój opiekun, okazał się bardziej uległy - ciągnęła coraz smutniej, nie potrafiąc ukryć goryczy. - Do śmierci ojca nie wiedziałam, że wciąż zazdrościł mu majątku. Na wieść o długach wpadł w czarną rozpacz.

- Jest bogaty?

Pokręciła głową.

- Raczej średnio. Nigdy się nie ożenił, ale za to jest wielkim miłośnikiem sztuki. - Uśmiechnęła się do Adama. - Na pewno byś się z nim dogadał. W swojej kolekcji ma kilka cennych malowideł. Niektóre dostał jeszcze od mojego dziadka. Podejrzewam, że chętnie byś je zobaczył.

- Jaki jest ten twój stryj? To znaczy... jako człowiek?

- Twardy jak stal - i okrutnie zimny. Nie ma w nim ani krzty miłości. Skrzętnie ukrywa swoje uczucia, jakby uważał, że są niestosowne. Tuż po spotkaniu z wierzycielem powiedział mi, że ów dżentelmen darzy mnie wielką estymą. Wiedziałam o tym, lecz nie przypuszczałam, że między nimi dojdzie do umowy. Wierzyciel zgodził się umorzyć dług w zamian za moją rękę. Zrezygnował nawet z posagu. Stryj uważał to za świetną propozycję, ale ja byłam przerażona. Nie

wierzyłam, że mógł mnie sprzedać. Mój „oblubieniec” był mi najzwyczajniej wstrętny.

- Dlaczego? Czym ci zawinił? - spytał Adam. Z upodobaniem patrzył na siedzącą przed nim Edwinę. Wyglądała niczym leśna nimfa, ledwo okryta cienkim płótnem. Opowiadając, zaróżowiła się z przejęcia.

- Och... - Namyslała się przez chwilę. - Chyba na pozór rzeczywiście stanowił dobrą partię. Miał pieniądze i szlachecki tytuł. Ale to były, tak jak mówię, jedynie pozory. Nie potrafię dobrać odpowiednich słów, żeby go opisać. Zgrzybiały brutal i lubieżnik. Wszyscy znali jego wybryki.

- Ile miał lat?

Wzruszyła ramionami.

- Co najmniej pięćdziesiąt.

- Naprawdę stary - mruknął Adam, z trudem powstrzymując się od śmiechu, chociaż Edwina zasługiwała na współczucie.

- Do tego brzydki.

- Zatem nie chciałaś go poślubić?

- Oczywiście, że nie.

Wzdrygnęła się na wspomnienie okrutnej twarzy i lubieżnych ust Silasa Clifforda.

- Chyba już nigdy nie otrząsnę się ze wstrętu do niego. Widział we mnie jedynie zastaw, który odbierał w zamian za pieniądze. Dobrze wiedziałam, że nie mogę liczyć na jego litość. Kiedy stryj powiadomił mnie o planowanym ślubie, po prostu się rozpłakałam. Błagałam go, żeby mnie nie zmuszał do tego małżeństwa. Nawet w tej chwili mam go przed oczami... Stał przede mną z rękami na piersiach i surowym wyrazem

twarży. Był zimny, oschły i odległy. Nie okazał mi żadnych względów. Poczulałam się jak w pułapce. Wtedy przestałam płakać... i o nic już nie prosiłam. Postanowiłam uciec. Najpierw obmyślałam dokładny plan ucieczki. Byłam bardzo ostrożna, na pozór uległa, ale w duchu twarda i zdecydowana. Nie zamierzałam biernie czekać na wyroki losu. Przebrałam się za chłopca i wzięłam z domu dość pieniędzy, żeby mi starczyło na wyjazd do Francji. Pewnej nocy wykradłam się przez okno. Nikt mnie nie widział. Byłam pewna, że wszystko pójdzie dokładnie po mojej myśli... ale niestety, nie przyszło mi do głowy, że zanim dotrę do Londynu, zostanę okradziona. Złodziej zabrał mi wszystkie pieniądze, więc nie mogłam już jechać do Francji. Wtedy spotkałam Jacka. Obiecał mi znaleźć jakąś pracę. Uwierzyłam mu i... i... reszty ci nie muszę mówić.

Od pewnej chwili Adam uważnie ją obserwował. Coś go dęczyło... Nie potrafił jednak znaleźć rozwiązania. Wyrażnie czuł, że w długiej opowieści Edwiny istnieje jeszcze jakieś drugie dno... Kilka razy wydawało mu się, że odpowiedź ma na wyciągnięcie ręki. Wytężał umysł - i natrafiał na zupełną pustkę. Nie umiał uchwycić niesfornej myśli.

Edwina siedziała ze złożonymi dłońmi. Zrobiła się jakby mniejsza, tylko ogromne oczy po dawnemu błyszczały w jej smutnej twarzy. Adam wyczuwał jej wahanie. Chciała mu jeszcze coś powiedzieć, lecz nie wiedziała, jak do tego podejść...

- Tylko dlatego stamtąd uciekłaś? - spytał, żeby jej trochę pomóc.

Zwlekała z odpowiedzią. Spuściła oczy i oblizała usta. Potem jednak uniosła głowę i spojrzała na niego rozplomionym wzrokiem.

- Nie - odparła cicho. - To był drugi powód.
- A pierwszy?
- Byłam... byłam przekonana... i nadal jestem... że mój ojciec zginął z ręki stryja.

Adam zaniemówił. Przyglądał jej się bez słowa.

- To bardzo poważne oskarżenie, Edwino. Wiesz, czym jest bratobójstwo?

- Wiem.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Ani na moment nie spuszczał jej z oka. - Masz jakieś dowody?

Zaczerpnęła tchu.

- Najpierw słyszałam, jak się kłócili przed wizytą u wierzyciela. Nigdy nie żyli z sobą w wielkiej zgodzie, ale tym razem była awantura. Niestety, nie wiem, o co im poszło. Ojciec był bardzo zdenerwowany. A potem stryj przywiózł jego zwłoki.. Od tamtej pory zachowywał się bardzo dziwnie. W ogóle nie chciał ze mną rozmawiać, a gdy zmusiłam go do tego, wpadł w złość i zaczął na mnie krzyczeć. Nigdy takiego go nie widziałam.

- Jeśli naprawdę zabił twego ojca, mogłaś postawić go przed sądem. Dlaczego nie poszłaś z tym do królewskiego urzędnika? Dlaczego nie złożyłaś oskarżenia?

- Nie miałam żadnych wyraźnych dowodów. Dobrze wiedziałam, że ich nie znajdę. Mój stryj jest sprytny. Na pewno tego dopilnował. Nagła śmierć ojca wywołała falę plotek i domysłów wśród naszych znajomych. Jednak mordercy nigdy nie ujęto i po pewnym czasie zamieszanie ucichło. Mój stryj dużo zyskał na śmierci ojca. Odziedziczył wspaniały stary dom w Hertfordshire i wielką posiadłość. Kiedyś po pro-

stu uwielbiałam to miejsce, bo tam przeżyłam najszcześniejsze chwile mojego dzieciństwa. Ale potem wszystko się zmieniło. Gdybym posłuchała stryja i wyszła za sąsiada, miałabym tytuł hrabiny i rozległe koneksje wśród najbardziej wpływowych rodzin w całym kraju. W tym upatrywał swojej szansy.

Adam wciąż patrzył na nią w milczeniu, ale w głowie kłębiły mu się niespokojne myśli. Zbladł jak ściana, kiedy oczami wyobraźni ujrzał coś ciemnego, jeszcze o zamglonych kształtach, lecz rosnącego z każdą chwilą.

- Jak zginął twój ojciec? - zapytał zwodniczo spokojnym tonem, będącym zaprzeczeniem tego, co przeżywał.

Edwina nie zauważyła żadnej zmiany w jego zachowaniu.

- Jak już mówiłam, wybrał się z wizytą do domu wierzyciela. Zabrał ze sobą brata... To znaczy mojego stryja. Podobno został napadnięty jeszcze przed końcem podróży.

- Szukano sprawców?

- Nie. Prawdę mówiąc, sprawa dość szybko przycichła.

- Jak się nazywa twój stryj?

- Sir Henry Marchant.

Adam wciąż zachowywał się spokojnie, chociaż z całej siły zacisnął szczęki.

- A ty? Jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

- Edwina Marchant... Heloise Edwina Marchant.

Tego Adam się nie spodziewał. Był tak zdumiony, że z trudem zadał następne pytanie.

- A jak brzmi nazwisko tego dżentelmena, którego miałaś poślubić? - wykrztusił, chociaż odpowiedź nasuwała się sama.

- Silas Clifford, hrabia Taplow.

Adam był błydy jak ściana. Zaciśnął usta i wbił szklany wzrok w przestrzeń. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Z osłupieniem popatrzył na dziewczynę. Nie mieściło mu się w głowie, że ta młoda dama, którą bezwstydnie uwiódł, była zaginioną bratanicą Henry'ego Marchanta - panną, która uciekła Silasowi sprzed ołtarza.

Poczuł wstyd i głęboką pogardę dla siebie. Zerwał się z łóżka i zaczął pośpiesznie naciągać ubranie.

Edwina przyglądała mu się ze zdumieniem. W jej oczach pojawił się cień strachu.

- Adamie? Co się stało? O co chodzi?

Znieruchomiał i zebrał w sobie wszystkie siły, żeby zmusić się do spokoju.

- Ubieraj się - powiedział pozbawionym emocji głosem. - Zawiadomię panią Harrison, żeby jak najprędzej spakowała twoje rzeczy.

- Ale dlaczego? Myś... myślałam...

Adam przymknął powieki i głośno przełknął ślinę. Coś go drapało w gardle. Ponownie spojrzął na dziewczynę.

- To był błąd, Edwino. Postąpiliśmy bardzo niewłaściwie - odparł. - Ale to wszystko moja wina. Ja cię do tego namówiłem. Zasłużyłem na najgorszą chłostę.

- Co?... O czym ty mówisz? - zapytała Edwina z cichą rozpaczą. Nic z tego nie rozumiała. Była zupełnie zbita z tropu nieoczekiwanym zachowaniem Adama. Zapadła chwila napiętego milczenia. Adam w pośpiechu kończył się ubierać. Edwina obserwowała go ze łzami w oczach. Czy to był ten sam człowiek, który przed chwilą dał jej tyle szczęścia?

- Adamie... - powtórzyła, z trudem panując nad głosem. -

Co się stało? Na litość boską, powiedz coś do mnie! Dokąd mnie odsyłasz?

- Do domu.

- Do domu? - Edwina zbladła. Te dwa krótkie słowa, wypowiedziane stanowczym tonem, zawierały w sobie wyrok. Oslupiała spojrzała na Adama. Była bliska paniki. Czuła rozdzierający ból, lecz nie chciała poddać się rozpacz. Adam spoglądał na nią nieruchomym wzrokiem, usta miał zaciśnięte w niemal białą linię.

- Wracasz do stryja - powiedział lodowatym tonem, wkładając podkoszulek. - Nie możesz tutaj zostać. Dla swojego dobra musisz wrócić do Hertfordshire i pogodzić się z rodziną.

Krew odpłynęła z policzków Edwiny, kiedy dziewczyna zrozumiała prawdziwe znaczenie tej decyzji. Ogarnął ją nagły gniew, zmieszany z przerażeniem, więc wyprostowała się gwałtownie i skierowała na Adama wściekłe spojrzenie.

- Jak to?! - krzyknęła - chcesz mnie odesłać po tym wszystkim, co ci przed chwilą powiedziałam? Nie liczysz się z moimi uczuciami? Nie zrobisz tego. Nie pozwolę! Nie masz do tego najmniejszego prawa! - wołała niemal z płaczem.

W głębi serca czuła, że coś tu się nie zgadza... że to wszystko nie ma żadnego sensu...

- Mogę, Edwino. Nawet muszę.

- To chociaż powiedz mi dlaczego?!

Chwilę czekała na odpowiedź. Tak mocno zaciskała drżące pięści, aż paznokcie wbiły jej się głęboko w ciało. Jednak Adam uparcie milczał.

- Nie kłopotz się moimi sprawami, Adamie - odezwała się

cierpkim tonem. - To nie ma z tobą nic wspólnego. A poza tym nie jestem twoją służącą. Nie możesz mi rozkazywać. Nie pojedę do Hertfordshire. Odmawiam.

- W takim razie zabiorę cię tam siłą - odparł. Usiadł i założył buty.

Edwina jak oparzona wyskoczyła z łóżka, w dalszym ciągu okryta jedynie cienką kołdrą.

- Jak to, siłą? Chcesz mnie do tego zmusić?

- Jeśli nie będzie innego wyjścia...

- Tak? A niby w jaki sposób?

- Zobaczymy.

- Jesteś piekielnie pewny siebie. Może zanieziesz mnie do powozu?

Na chwilę przestał się ubierać i spojrzał na nią ponuro.

- Może.

- Och... Jak śmiesz tak w ogóle mówić?! - krzyknęła rozłoszczona. Nie rozumiała jego gniewu i nagłej zmiany zachowania. - Stryj Henry na pewno nie chce mnie widzieć! Z wzajemnością!

- Doprawdy, trudno mu się dziwić po tym, jak go potraktowałaś - oschle zauważył Adam.

- Ach, ty potworze! Nie uciekłam od niego bez powodu! Nic o tym nie wiesz! Jesteś obcy!

Adam stanął tuż przed nią, groźny i wysoki. Na jego twarzy nie było ani śladu niedawnej wesołości. Prawdę mówiąc, bił się z myślami. Z jednej strony nie chciał stracić Edwiny, lecz z drugiej wiedział, że powinien odwieźć ją do Oakwood Hall. Przecież sama mówiła, ile wspaniałych wspomnień łączy ją z tym miejscem... A stryj Henry? Dlaczego zmuszał ją

do małżeństwa z Silasem, chociaż miał wszelkie powody ku temu, żeby go nienawidzić? Nic dziwnego, że dziewczyna postanowiła uciec.

- Z tego, co mi wiadomo, pan Marchant żałuje swego zachowania i chciałby się z tobą pogodzić.

Po tych słowach Edwina zaniemówiła z wrażenia. Pokój zawirował jej przed oczami.

- Znasz mojego stryja?

Adam kiwnął głową. W dalszym ciągu zaciskał zęby.

- Nie bój się, nie wyjdiesz za Silasa Clifforda - powiedział rzeczowym, niemal oficjalnym tonem. - Silas nie żyje - dodał sucho.

Założył surdut i podszedł do Edwiny. Popatrzył na nią chłodno.

- Teraz, gdy znam już twoje imię i nazwisko, jak mam się do ciebie zwracać?

- Tak jak przedtem: Edwino.

- Twój stryj też tak mówi?

- Tak. „Heloise” wybrała dla mnie matka... po swojej matce. Ojciec nie lubił tego imienia, więc po śmierci mamy nikt już go nie używał.

Adam tylko przytaknął z roztargnieniem, jakby jej nie słuchał. Edwina była zrozpaczona jego zachowaniem, ale odważnie uniosła głowę.

- Nie wrócę tam.

Błysnął oczami.

- Nie będziemy o tym dłużej dyskutować. Ubieraj się, Edwino. Koniec rozmowy - oznajmił stanowczo. Odwrócił się i długim, zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi.

W ciągu jednej chwili setki myśli przebiegły przez głowę dziewczyny. Dawne wspomnienia stały się z rzeczywistością. Z gniewnym okrzykiem podbiegła do Adama, złapała go za rękę i zmusiła, żeby się zatrzymał.

- Nie, nie, mój drogi... Mylisz się. To jeszcze nie koniec. Chcesz mnie z powrotem oddać w ręce człowieka, który zamordował mojego ojca? Który zamierzał sprzedać mnie jak zwykłą krowę?

- Henry Marchant nie zabił twojego ojca, Edwino. Wiem to na pewno. A teraz zacznij się ubierać. Pójdę sprowadzić powóz.

Edwina nie wiedziała, czy może mu wierzyć. Z wolna zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy. Winny lub nie, stryj Henry w dalszym ciągu nie budził jej sympatii.

- Nic mnie to nie obchodzi - mruknęła. - Nie pojedę. - W jej zielonych oczach migotały gniewne błyskawice. - Jeszcze dziś się od ciebie wyprowadzę i już nigdy mnie nie zobaczysz.

Adam zmierzył ją zimnym jak lód spojrzeniem. Był błądy z wściekłości.

- Tylko spróbuj - warknął przez zaciśnięte zęby. - Na pewno cię znajdę.

- Stać cię na to?

- Dłużej mnie nie denerwuj, Edwino. Zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Jeśli wciąż będziesz mi się sprzeciwiać, to zobaczysz, że w porównaniu ze mną Silas Clifford zasłużył na miano świętego - w jego głosie zabrzmiała groźba. - Zapamiętaj to sobie na przyszłość.

Edwina cofnęła się odruchowo, przestraszona jego słowami i wyglądem. Nie wierzyła własnym uszom. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że nagła zmiana sytuacji wy-

zwoliła w Adamie długo tłumione namiętności, które do tej pory powstrzymywał siłą woli.

Powoli opuściła rękę i odsunęła się o kilka kroków.

Adam wyszedł z sypialni. Edwina przez chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi. Nagle wszystkie rozsypane elementy układanki trafiły na swoje miejsca. Och, jaka ja byłam głupia! - zaszlochała. Mimo woli zdradziła swą tożsamość człowiekowi, który osobiście znał stryja Henry'ego i Silasa Clifforda. Mało tego - zrobiła to właściwie bez zachęty, z własnej nieprzymuszanej woli! Jak mogłam być aż tak naiwna... - rozpaczała. I w dodatku wyobrażałam sobie, że jestem w nim zakochana... Z wolna zaczęła się ubierać. W jej sercu nie pozostało nic oprócz pogardy dla siebie... i Adama.

A przecież tak niedawno nie posiadała się ze szczęścia. Wszystko wydawało się jej takie proste... Teraz musi się porządkować nieugiętej woli Adama Rycrofta. Świat się zmienił - tylko dlatego, że zdradziła swoje nazwisko.

Adam Rycroft, którego przedtem znała, odszedł gdzieś na zawsze. Zamiast niego zjawił się zupełnie obcy człowiek, zimny i nieprzystępny. Nie chciała z nim mieć nic do czynienia. Nie chciała być zdominowana przez tyrana, który mówił jej, co powinna, a czego nie powinna robić. Przymus powrotu do domu dotkliwie zranił jej dumę, a cios ten w dodatku zadał mężczyzna, któremu zaufała. A zraniona duma wymaga srogiej zemsty.

W pierwszej chwili, zniechęcona i pełna pogardy dla Adama, zamierzała ponownie uciec. Obawiała się jednak, że znajdzie ją Jack i z powrotem wciągnie do ponurego świata zbrodni. Wreszcie zwyciężył zdrowy rozsądek. Postanowiła wrócić

do Oakwood Hall i robić dobrą minę do złej gry. W ten sposób mogła zyskać na czasie.

Adam powiedział jej, że Silas Clifford nie żyje. Mimo zdenerwowania w duchu podziękowała za to opatrności, uszczęśliwiona, że z jej życia zniknęło przynajmniej jedno zagrożenie. Skąd jednak Adam wiedział, że stryj Henry nie jest mordercą swojego brata? Przecież powiedział to z zupełnym przekonaniem. Jeśli to prawda i stryj rzeczywiście jest niewinny, to chyba muszę go przeprosić za niesłuszne podejrzenia, pomyślała Edwina. Jej duma znowu ucierpiała. Dziewczyna obawiała się, że jeszcze chwila, a z rezolutnej panny zmieni się w zwykłego tchórza, ze strachem patrzącego w przyszłość.

Starannie wyszczotkowała włosy. To pomogło jej trochę zapanować nad zdenerwowaniem, zebrać myśli i utrzymać emocje na wodzy. Wciąż była pod wrażeniem nagłej i gwałtownej reakcji Adama, lecz postanowiła przynajmniej przez jakiś czas powstrzymać się od nieprzemyślanych działań. Kiedy ochłonie, przyjdzie pora na szczegółowe wyjaśnienia, pomyślała. Mimo to czuła się bardzo nieszczęśliwa. Złość była dla niej jedyną obroną przed rozpaczą.

Adam zostawił Edwinę w sypialni i poszedł szukać pani Harrison. Ledwie panował nad wściekłością. Przede wszystkim był zły na Edwinę, że tak długo utrzymywała swoje nazwisko w tajemnicy. Lecz był też zły na siebie, że tak bezczelnie wykorzystał jej nadmierną ufność. Przecież powinien wiedzieć, czym to grozi... Jak mogłem być tak ślepy? - myślał. Przecież już podczas pierwszego spotkania w St Giles był zafascynowany osobowością „Eda”. Nie, to nie tak, przyznał z niechęcią. Wiedziałem, że mam do czy-

nienia z kimś odważnym i dumnym, a jednocześnie niewinnym... I co z tego wyszło?

Z gorzkim cynizmem pogratulował sobie sprytu. Najpierw zwabił dziewczynę do siebie, a potem najwyczejniej w świecie uwiódł ją... i wystawił na żer ludzkiej złośliwości. Jeżeli sprawa się rozniesie, nic nie powstrzyma wstrętnych plotek. Będą wytykać ją palcami - a już najgorsi zawistnicy zamkną jej wstęp do „towarzystwa”.

Aby uniknąć tej sytuacji, musi wrócić do rodziny i jak najszybciej zyskać przebaczenie stryja. Wtedy poproszę o jej rękę, myślał Adam. Musiał dopełnić wszelkich formalności, żeby naprawić swoje błędy. Tylko w ten sposób mógł ją zwrócić światu. Wiedział, że po tym, co się stało, czeka go trudna i niewdzięczna walka.

Pluł sobie w brodę, że do tego doszło, lecz nie miał czasu na sentymenty.

Edwina była już gotowa. Zebrała w sobie całą odwagę, jaka jej jeszcze pozostała - i dumnym krokiem zeszła na dół. Adam już czekał na nią w holu.

Zdażył ochłonać z pierwszej złości. Z napięciem patrzył na dziewczynę. Widział jej twarz, częściowo ocienioną czepkiem, bardzo bladą i ściągniętą. Ruchy Edwiny były skape i aż do bólu precyzyjne. Adam skrzywił się w duchu na ten widok. Wyglądało na to, że po namyśle postanowiła wrócić z nim do Oakwood Hall, ale nie zrezygnowała ze swoich pretensji. Na pewno dużo ją to kosztowało. Pod tym względem mógł ją jedynie podziwiać. Szczerze żałował swojego zachowania, bo w głębi ducha zdawał sobie sprawę, że jest przyczyną jej naj-

gorszych zmartwień. Na przyszłość chciał jej zaoszczędzić podobnych *rozterek*.

- Bardzo mi przykro, że tak wyszło, Edwino. Gdybym od razu wiedział, kim naprawdę jesteś, już dawno oddałbym cię w ręce stryja.

Popatrzyła na niego z ukosa. Jej piękne zielone oczy połyskiwały zimnym blaskiem niczym dwa sztylety.

- Nigdy nie powiedziałabym ci całej prawdy, gdybym się domyślała, co chcesz zrobić. Szczerze doceniam twoją troskę - powiedziała ze zjadliwą kpiną w głosie - chociaż doprawdy nie rozumiem, co próbujesz przez to osiągnąć. Jesteś najbardziej zakłamanym i bezdusznym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Wiesz co? W zasadzie cieszę się, że stąd odjeżdżam. Pójdę dosłownie wszędzie, byle dalej od ciebie,

Pokręciła głową.

- To prawdziwy cud, że wytrzymałam z tobą tak długo. Wynika z tego, że jestem silna, ale niestety bardzo głupia.

Popatrzyła przed siebie, na otwarte drzwi i na stojący na podjeździe powóz, który miał ją zabrać do Oakwood Hall. Była pełna najczarniejszych przeczuc.

- Jeśli pozwolisz, wolę jechać sama.

- Nie bądź śmieszna - burknął Adam lekko zachrypłym głosem, w którym wciąż słychać było ślady zdenerwowania. - Szukasz dodatkowych przygód? Młoda kobieta, sama na pustej drodze, w towarzystwie jedynie woźnicy... Smakowity kąsek dla wszystkich bandytów i wykołajeńców.

-Naprawdę? - spytała lodowatym tonem, nieczuła na ostrzeżenia. - Jeśli uważasz, że przy tobie zaznam poczucia

bezpieczeństwa, to się grubo mylisz. I tak już dużo ci zawdzięczę - dodała ironicznie. - Nie chcę być ciężarem.

Nie zamierzała przyznać się do tego, że jest smutna i zadowolona.

- Żałuję tylko, że tak głupio dałam się omotać.

Adam uniósł brwi.

- Kto z nas był głupszy? Ty czy ja?

- W zasadzie to bez różnicy - rzuciła od niechcienia. - Chcesz się mnie pozbyć, więc zaręczam, że potrafię sama wrócić do stryja Henry'ego. Opieka mi niepotrzebna.

- W to nie wątpię..., ale niestety, postanowiłem cię pilnować. Znam cię na tyle, aby wiedzieć, że znikniesz w labiryncie ulic, zanim powóz dojedzie do pierwszego rogu. Jeżeli nie dbasz o swoją przyszłość, to miej na względzie chociaż stryja. Wiesz, jak przeżywa twoją ucieczkę?

- Nic mu nie jestem winna.

- Nie? A co z Oakwood Hall? Już nie pamiętasz, ile ciepłych wspomnień łączy cię z tym starym dworem? Widziałem go i muszę przyznać, że zupełnie ci się nie dziwię. Można zakochać się w tym miejscu. Ale co będzie, jeśli nowy hrabia Tallow także zażąda spłaty długu? Nie martwisz się tym?

Edwina wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Ani trochę. Stryj Henry zawsze może sprzedać kilka obrazów ze swojej kolekcji. Są bardzo cenne, więc na pewno zdoła zebrać kwotę, która wystarczy na pokrycie długu nawet z procentami. Z drugiej strony zawsze istnieje możliwość, że następca zmarłego Silasa Clifforda chętniej przystanie na ugodę.

Imię Silasa nie wzbudziło żadnych emocji u Adama. Przyglądał jej się zamyślonym - można powiedzieć, niemal czu-

łym wzrokiem. Doszedł do wniosku, że nie wolno im zmarnować tego, co się stało minionej nocy. Przecież to nie była tylko jakaś przelotna przygoda! Z nagłą tęsknotą pomyślał o uściskach Edwiny, o jej słodkich ustach, gorących pocałunkach. .. Nie może jej teraz stracić. Chce żyć tylko dla niej i odpokutować za swe przewinienia. Oby jak najprędzej została jego żoną! Musi działać bez żadnej zwłoki.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Henry Marchant wyrazi zgodę na ich małżeństwo. Był także przekonany, że po pewnym czasie zdoła się pogodzić z Edwiną. Martwiły go jedynie niepewne stosunki stryja z bratanicą. Gdyby bowiem Edwina za wcześniej dostała propozycję małżeństwa, mogłaby postąpić po swojemu - i stanowczo odmówić wszelkich negocjacji. A była uparta, zadziorna i silna. Adam nie chciał mieć takiej przeciwniczki.

Dotatkową trudnością był tu niewątpliwie jego nowy tytuł i majątek odziedziczony po kuzynie Cliffordzie. Na razie Adam wolał nic nie mówić Edwinie, gdyż dobrze znał jej zdanie o zmarłym Silasie. Najpierw stryj, reszta potem, zdecydował w duchu. W obecnym stanie ducha dziewczyna nie nadawała się do tak poważnych rozmów. Niemal wszyscy mężczyźni, których dotąd znała, jakby upierali się, żeby zniszczyć jej życie i młodość. Choćby z tego powodu tak bardzo ceniła własną niezależność - jednak Adam chciał skłonić ją do zmiany zdania.

- Wiem, że jesteś uparta jak koziół - mruknął. - Daj mi słowo, że nie będę miał z tobą kłopotów w drodze do Hertfordshire.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą na ulicę. Tam przystanął, żeby poczekać na odpowiedź.

Prawdę mówiąc, Edwina nosiła się z myślą o ponownej ucieczce, ale bała się, co będzie, gdy Adam ją znajdzie. W gniewie bywał po prostu straszny. Wołała go nie drażnić.

- Liczyłam na łut szczęścia, lecz coś mi się zdaje, że mam strasznego pecha. Nie będę uciekać.

Lekko zmarszczyła brwi i zerknęła na Adama. Zastanawiała się, dlaczego tak nagle zapragnął usunąć ją na zawsze ze swego życia. Przecież wydawało się, że coś do niej czuje. Że to coś poważnego... Dlaczego ją skrzywdził? Popatrzyła na niego i po krótkim milczeniu powiedziała:

- Jeszcze wczoraj prawileś mi najśłodsze słówka i zapewniałeś mnie, że nigdy się nie rozstaniemy. Dziwnie to okazujesz... Gdybyś naprawdę chciał być ze mną, to nie zachowywałbyś się w ten sposób. Czyżby ostatnia noc była dla ciebie zupełnie bez znaczenia? A może już cię nie obchodzę?

Chciała odejść, ale Adam chwycił ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie.

- Edwino... - zaczął pełnym napięcia głosem. - Są pewne sprawy w moim życiu, z których niełatwo rezygnuję. Dobrze wiesz, jak bardzo zależy mi na tobie. To, co robię, podyktowane jest nie tylko koniecznością, ale także głęboką troską o twoją przyszłość. Możesz mi wierzyć, że nie kłamię. Mam nadzieję, że jeszcze wszystko obróci się na dobre.

Przerwał i westchnął z głębi piersi.

- Jeżeli mamy być ze sobą razem, to najpierw musisz wrócić do swojego stryja. Znam go i dobrze wiem, co przeżywał po twojej ucieczce. Pamiętaj, o nic cię nie oskarżam - miałeś swoje powody, żeby postąpić tak, jak postąpiłaś. Ale teraz sytuacja uległa całkowitej zmianie, a twój stryj wciąż szaleje

z bólu i niepokoju. Mogę go zrozumieć, bo sam też bardzo martwię się o Toby'ego. Muszę cię zabrać do Hertfordshire. A kiedy już nieco ochłoniesz i będziesz skłonna mnie wysłuchać, wtedy wszystko ci wytłumaczę. Bądź pewna, że na niczym tak mi nie zależy jak na twoim szczęściu.

Ale Edwina dumnie potrząsnęła głową, nie przyjmując jego argumentów.

- Za jaką cenę? - zapytała. - Mówisz mi o szczęściu? W Oakwood Hall na pewno go nie znajdę. Choć z dwojga złego... - dodała znacząco. - Wprawdzie zostało mi niewiele dumy, ale spróbuję strzec jej do końca. Możesz mnie zmusić do powrotu - wycodziła niskim, złowieszczym głosem. - Pod tym względem jestem zdana na twoją łaskę. Ale w przyszłości nie zamierzam zadawać się z takim potworem. Nie będę twoją konkubiną. Ani teraz, ani potem.

Odwrociła się do niego plecami i podeszła do pani Harrison, która w tej samej chwili stanęła w drzwiach frontowych. Gospodyni Adama niechętnie rozstawała się z panną Edwiną. Wprawdzie nie pochwałała życia bez ślubu, ale nigdy otwarcie nie krytykowała postępów swojego pana. A Edwina była wręcz uwielbiana przez całą służbę. Jej uśmiech i ciepły głos, którym zwracała się do wszystkich, zapadały głęboko w serce. W jej obecności dom wydawał się pełen słońca i wszyscy raźniej brali się do pracy. Pani Harrison oczywiście nawet się nie domyślała, co złego zaszło między Edwiną a jej panem, ale wiedziała, że w najbliższych dniach w domu będzie o wiele ciszej i smutniej.

Edwina serdecznie pożegnała się ze starą gospodynią i w milczeniu poszła do powozu. Adam nieśpiesznie podą-

żył za nią. Mimo zdenerwowania z upodobaniem patrzył na jej rozkołysane biodra, proste plecy i szeleszczącą jedwabną spódnicę. Potrząsnął głową z niekłamanym podziwem. Mimo zwiewnej postaci i delikatnych ruchów Heloise Edwina Marchant miała w sobie o wiele więcej siły niż niejeden twardy mężczyzna.

- Usiądź wygodnie - powiedział łagodnie, pomagając jej wsiąść do powozu. Edwina uniosła głowę i nie odpowiedziała mu. Adam usiadł naprzeciwko niej i też zapadł w posępne milczenie. Usta miał mocno zaciśnięte. Swoim ponurym nastrojem jeszcze bardziej ją drażnił. Jej złość rosła, w miarę jak z każdą milą coraz bardziej oddalali się od Londynu. Dopiero kiedy pokonali już ponad połowę drogi, myśli o Adamie powoli zaczęły odpływać i zastąpił je niepokój związany z osobą stryja Henry'ego. Tymczasem cel podróży był coraz bliżej. Edwina starała się nie patrzeć na Adama, ale wciąż czuła czysty, świeży zapach jego wody kolońskiej. Mimo wszystko zachowywała się całkiem obojętnie, z niezwykłą godnością. Do tej pory żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Rozdzielał ich zimny mur milczenia,

Adam siedział wygodnie rozparty na kanapie i zupełnie otwarcie przyglądał się swojej pięknej, lecz teraz odległej i zimnej towarzyszce. Nie próbował przełamać dokuczliwej ciszy, wyraźnie czuł gniew bijący od Edwiny.

Powóz jechał dość równą, ocienioną drzewami drogą. Adam z leniwym zadowoleniem obserwował grę świateł i cieni migoczących na twarzy dziewczyny. W jasnej sukni obszytej kunsztowną koronką wyglądała po prostu uroczo - opalaną, na wskroś niewinna... i podniecająca jak wszyscy

diabli. Ciasna przestrzeń zamkniętej ze wszystkich stron karety potęgowała wrażenie intymności. Adam aż się uśmiechnął w duchu. Nawet w tej chwili jej widok budził u niego niebezpieczne myśli. Musiał jednak bardzo ostrożnie rozgrywać tę partię, chociaż wiedział, że to na pewno nie będzie łatwe.

Powóz podskoczył na jakimś wyboju i Edwina wyrwana z zamyślenia spojrzała na Adama. W pierwszym momencie nie zauważyła niczego szczególnego w jego posępnej twarzy, ale po chwili napotkała śmiałe spojrzenie niebieskich oczu - i zaczerwieniła się jak piwonia. Bez najmniejszego trudu zrozumiała, co się za tym kryje. Przytulny powóz wydał się jej jakoś mniej bezpieczny.

Szybko spojrzała przez okno na krajobraz z wolna przesu-
wający się wzdłuż drogi. Przez pewien czas słychać było jedynie turkot kół i ciężkie stąpanie końskich kopyt. Z coraz większym trudem zносиła milczenie. Wreszcie, mniej więcej po czterech godzinach jazdy, postanowiła się odezwać. Zanim jednak znalazła odpowiednie słowa, ponad drzewami zobaczyła znajome wieże i wysokie kominy Oakwood Hall.



Rozdział dziesiąty

Powóz zatrzymał się przed różowym frontonem domu stojącego w połowie drogi między Taplow Court a wsią Taplow. Adam wyskoczył pierwszy i wyciągnął rękę, żeby pomóc Edwinie. Spiorunowała go wzrokiem. Oparła dłoń na kłamec i sama wysiadła z powozu. Żwir zachrząścił pod jej nogami. Przez chwilę stała nieruchomo, walcząc ze wzruszeniem, które zupełnie nieoczekiwanie ogarnęło ją na widok znajomych murów. Tak... z tym miejscem łączyło ją najwięcej wspomnień.

Spoglądała na miękki zielony kobierzec rozległych trawników porośniętych stokrotkami, na strzeliste drzewa i różnobarwne kwiaty w przyległym ogrodzie oddzielającym tę część posiadłości od zewnętrznego świata. Jesień nadała liściom kolor miedzi i ciemnego złota. Lekki wiatr z szelestem strącał je na ziemię i szumiał wśród gałęzi. Na ścianach domu wiły się ciemne pnącza. Pozornie wszystko wyglądało tak jak kiedyś - ale to było tylko złudzenie. Edwinie zaczerpnęła tchu. Czekwała, aż przyjdzie stryj Henry.

Usłyszała go długo przedtem, zanim się pojawił. Szedł równym dudniącym krokiem, brzmiącym jakby złowieszczco, żwirową ścieżką biegnącą wokół domu. Wreszcie wyłonił się zza węgła. Edwina obserwowała go uważnie. Kiedy ją zobaczył stojącą u boku Adama, najpierw zatrzymał się jak wryty. Przez moment wpatrywał się w nią jak w zjawę. Potem na jego surowej twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz, którego Edwina nie umiała odczytać. Oczy stryja błysnęły chłodnym blaskiem. Opanował się i energicznym krokiem podszedł w stronę gości. Jak zwykle był ubrany na ciemno, ale z wykwinną elegancją - w czarny surdut i szarą kamizelkę. Złota szpilka połyskiwała w starannie zawiązanym krawacie. Ojciec Edwiny nie należał do najwyższych, był natomiast barczysty, może nawet krępy. Stryj Henry znacznie przewyższał go wzrostem i nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. W tej chwili przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w bratanicę.

Zmrużył powieki z wyraźną niechęcią. Bez względu na to, co o nim myślała Edwina, nie był zupełnie pozbawiony ludzkich uczuć i naprawdę się okropnie martwił jej ucieczką. Kiedy zobaczył ją całą i zdrową, ogarnęła go fala wzruszenia. Wystarczyło mu jednak krótkie spojrzenie na jej nadąsaną minę, by ostygł w swej radości. Nawet teraz, po wszystkim, co się stało, Edwina zachowuje się jak udzielna księżna. Nie przeszkadza jej, że sprowadziła hańbę na całą rodzinę. Wciąż chodzi z dumnie uniesioną głową.

- A zatem wróciłaś - stwierdził.

Edwina zeszytniała, słysząc te słowa wypowiedziane oschłym, nieprzyjemnym tonem. Nie było żadnego powitania, pytań ani okazywania głębszych uczuć. Miała ochotę za-

niknąć oczy i zakryć rękami uszy, byle tylko dalej go nie słuchać. Dlaczego zawsze zachowuje się w ten sposób? Naprawdę nie mógł jej okazać choć trochę miłości?

- Jak widzisz, stryju - odpowiedziała, nie bacząc, że zabrzmiało to niemal obraźliwie. Nagle poczuła ucisk w gardle. Jakiś ciężar leżał jej kamieniem na sercu. Była na siebie zła, że po drodze do Oakwood Hall nie wyrwała się spod opieki Adama i nie uciekła. Kamienna twarz stryja nie wyrażała tych wszystkich uczuć, o których jej opowiadał Adam. Owszem, to prawda, że posiwiał i miał nieco głębsze zmarszczki wokół ust i oczu... Może to właśnie były oznaki zmartwienia? Nie, nie... - westchnęła. To na pewno niemożliwe.

- Zrobiłaś to z własnej woli? - spytał Henry.

- Wręcz przeciwnie. Zostałam tu sprowadzona niemal siłą. Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, wołałabym zostać w Londynie - odparła, rzucając niechętne spojrzenie na Adama. Domyślała się, że będzie na nią zły za tę odpowiedź, ale chciała mu dokuczyć, choćby za to, jak ją ostatnio potraktował. Nie dbała o jego uczucia.

Henry pokiwał głową.

- Rozumiem. - Ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na stojącego kilka kroków z tyłu Adama. Hrabia Taplow przyglądał mu się bez wzruszenia, z nieprzeniknioną twarzą. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, a cała sylwetka wyrażała poczucie władzy, które Henry Marchant zauważył już przy ich pierwszym spotkaniu, podczas rozmowy na temat dawnego długu.

Negocjacje poszły o wiele lepiej, niż się spodziewał. Nowy hrabia okazał się dużo sympatyczniejszy od swoje-

go poprzednika. Henry ofiarował mu dwa cenne płótna ze swoich zbiorów, ale ich wartość i tak była o kilka tysięcy funtów niższa od zaległej kwoty, którą Gordon pożyczył od zmarłego Silasa Clifforda. Adam Rycroft ochoczo przyjął podarunek i uznał to za spłatę długu. Swoją decyzję potwierdził nawet na piśmie.

- Oczekuję, że przyjmie pan ode mnie wyrazy najgłębszej wdzięczności za sprowadzenie mojej bratanicy - powiedziała Henry oficjalnym tonem. - Gdyby nie pan, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Edwina ma mi wiele do wyjaśnienia.

Adam podszedł i spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem. O ile w przypadku Edwiny potrafił zmusić się do wręcz anielskiej cierpliwości, o tyle nie zamierzał patyczkować się z jej stryjem. Prawdę mówiąc, nie pałał zbytnią sympatią do tego człowieka - chociaż podczas poprzedniej rozmowy zauważył jego szczerą niepokój o bratanicę. Choćby dlatego spodziewał się, że powitanie będzie bardziej radosne - i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

-Sir Henry... - zaczął. - Niech pan raczej podziękuje opatrności, że pańska bratanica wróciła cała i zdrowa. Przyznam się, że poznałem Edwinę już kilka tygodni temu, nie wiedziałem jednak, że to ona. Dopiero dzisiaj zdradziła mi swoje prawdziwe nazwisko. W tej sytuacji, nie mieszkając przywożem ją do pana. Możemy wejść do środka? Chciałbym zamienić z panem słówko, zanim odjadę.

We troje weszli do wielkiego domu. Henry krótkim ruchem głowy odprawił trzy służące, które gapiły się na Edwinę. Najwyraźniej cieszyły się z powrotu młodej pani która tajemniczo zniknęła z Oakwood Hall wkrótce po

tragicznej i zagadkowej śmierci Gordona Marchanta. Po ich odejściu w holu przez chwilę panowała napięta cisza. Wreszcie Henry usłyszał trzaśnięcie kuchennych drzwi i nie panując już nad zdenerwowaniem, z zagniewaną miną odwrócił się w stronę bratanicy.

- Zdajesz sobie sprawę z wszystkich kłopotów, które ściągnęłaś na ten dom i na moją głowę?! - wybuchnął. - To niesłychane, żeby dziewczyna w tak haniebny sposób sprzeciwiała się woli starszych! Ośmieszylaś mnie i uciekłaś bez słowa wyjaśnienia! W całym majątku panowało ogromne poruszenie. Pomyśl tylko! Byłaś samotna, w świecie pełnym złych ludzi, dzikusów i bandytów. Jak taka delikatna, siedemnastoletnia panna może poradzić sobie...

- Jakos mi się to udało - chłodno przerwała mu Edwina.

W jej głosie było tyle jadu, że sir Henry cofnął się odruchowo. Coś mrocznego i tajemniczego migotało w jej przepastnych zielonych oczach. Z zakłopotaniem spojrzął na bratanicę. Dobrze wyczuwał, że jej słowa wynikają z bolesnych przeżyć... Może z cierpienia? Co przeżywała z dala od domu? Uciekła pełna nienawiści - i ta nienawiść mimo wszystko gdzieś w niej pozostała. Ale co jeszcze? Wyraźnie widział, że nastąpiła w niej jakaś dziwna zmiana. Edwina stała się silniejsza. .. Można by wręcz powiedzieć, że stwardniała.

W dzieciństwie nie zaznała krzywdy. Ojciec jej zawsze ustępował, więc wyrastała na upartą egoistkę. Henry poprzyśiągł sobie, że nie popełni błędu brata, lecz nie wiedział, jak postępować z rozpieszczoną siedemnastoletnią panną. Kiedy próbował ją do czegoś zmusić, to wychodziło jeszcze gorzej. Tak było też z Silasem Cliffordem.

- Jeżeli można, pójdę prosto do mego pokoju - zimno powiedziała Edwina. - Jeżeli wciąż należy do mnie.

Popatrzyła na schody wiodące na piętro.

- Oczywiście. Znajdziesz w nim wszystko w tym samym stanie, w jakim było w dniu twojej ucieczki.

- Dziękuję.

Odwrociła się, chcąc odejść, ale Henry zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

- Wyraziłeś się dostatecznie jasno, więc teraz pozwól, że ja też coś powiem - oznajmił beznamiętnie. - Chcę, abyś mi przyrzekła, że już nie uciekniesz. Straciłem sporo czasu i pieniędzy, próbując cię odszukać. Następnym razem - chociaż przyznaję to z niemałym żalem - radź sobie sama. Od wszystkiego umyвам ręce.

- Grozisz mi, stryju?

- Nie. Chcę, żebyś wiedziała, na czym stoisz. A zatem?

- Masz moje słowo, że nie ucieknę.

- To dla mnie prawdziwa ulga.

Henry odwrócił się na pięcie i wszedł do gabinetu, oczekując, że Adam pójdzie za nim. Edwina także chciała odejść, ale tym razem powstrzymał ją głos Adama.

- Za pozwoleniem, jeszcze chwileczkę, Edwino.

Od wyjazdu z Londynu odezwał się do niej po raz pierwszy. Edwina obrzuciła go ołowianym spojrzeniem.

- Skoro już musisz... - odparła z wyraźną niechęcią.

Zmarszczył brwi.

- Tylko wszystko utrudniasz.

- Och, naprawdę? - zapytała kpiąco. - W takim razie, dla czego mi to robisz? Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? Wiesz, co

to dla mnie znaczy? Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Znie-
nawidziałam cię do końca życia.

To były bardzo ostre słowa, podyktowane słusznym gniewem, lecz Adam widział łzy w jej oczach. Ale bardzo starała się nie rozpłakać. To przypomniało mu, że przecież jest córką dżentelmena. Choćby dlatego nie powinien traktować jej jak dziewczki przygarniętej gdzieś na ulicy.

- To nieprawda, Edwino - powiedział łagodnie, nie zwracając uwagi na jej nadasaną minę. - Przykro mi, że tak mówisz, bo w moich oczach nadal jesteś cudowną, młodą piękną kobietą. Najwspanialszą, jaką spotkałem w życiu. - Westchnął głęboko i delikatnie, opuszkami palców, pogładził ją po twarzy. - Minionej nocy w moich ramionach nie było w tobie krzty nienawiści. Połączyło nas wspólne pragnienie... i wciąż czuję smak twoich pocałunków, Edwino.

Dziewczyna popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Przez dłuższą chwilę nie mogła wykrztusić słowa, bo w głębi serca zdawała sobie sprawę, że wszystko, co powiedział Adam, jest szczerą prawdą. Zdezorientowana, przygnębiona, pośpiesznie odwróciła głowę.

- Pewnego dnia na pewno mi przebaczysz - cicho powiedział Adam. - Wkrótce zapomnisz o nienawiści.

- Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna - burknęła ze złością. Nie bardzo wiedziała, jak się obronić. Odwróciła się, ale Adam złapał ją za rękę i gwałtownym szarpnięciem obrócił w swoją stronę. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Puść mnie - syknęła, próbując się wyrwać.

- Przestań, Edwino. Dość już tego - odezwał się spokojnie, ale rozkazującym tonem. Znał ją na tyle, aby wiedzieć, że

pod tą delikatną powłoką kryje się stalowe wnętrze. - Z czasem jeszcze mi podziękujesz. Za dzień lub dwa złożę ci wizytę... Mam nadzieję, że do tej pory odzyskasz lepszy humor. Zapewniam cię, że zrobiłem to wyłącznie dla twojego dobra. Z drugiej strony należą ci się wyjaśnienia. Porozmawiamy o tym.

Edwina, rozwścieczona jego władczym tonem, wyrwała rękę z jego dłoni i cofnęła się o kilka kroków.

- Wynoś się, Adamie. Przeklinam dzień, w którym cię poznałam.

Zanim doszła do schodów, zabrzmiał za nią nadal spokojny głos Adama.

- Pamiętaj, Edwino... Za dzień lub dwa wrócę tu do ciebie.

Chciała mu odpowiedzieć, że to zbytnia fatyga i żeby się nie kłopotał niepotrzebnymi wizytami - ale w głowie miała taki zamęt, że nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

W pokoju czekała na nią Maggie - piastunka, opiekunka, przyjaciółka i powierniczka. Miała prawie sześćdziesiąt lat, ale zachowała szczupłą, niemal dziewczęcą sylwetkę. Stała pośrodku prosta jak świeca i jak zawsze zabójczo elegancka. Ciemne włosy przetykane siwizną okrywał biały koronkowy czepek. Pod szarymi oczami miała głębokie cienie świadczące o tym, że ostatnio bardzo się martwiła. Mimo to ze złożonymi dłońmi spokojnie czekała na Edwinę.

- Tak się cieszę... - powiedziała na wstępie. - Tak się cieszę, że wreszcie wróciłaś do domu. Nawet nie chcę myśleć, co by na to wszystko powiedziała twoja biedna matka.

- Gdyby wciąż żyła, Maggie, nie doszłoby do tego. Nie musiałabym nigdzie uciekać.

- Pewnie masz rację. Ale na szczęście, dzięki Bogu, jesteś już bezpieczna. Moje biedne dziecko... - dodała i zamknęła Edwinę w gorącym uścisku. Potem odsunęła się na długość ręki i spojrzała na nią badawczo. - Jak się czujesz?

- Bywało gorzej. - Edwina poczuła łzy pod powiekami. Była szczerze wzruszona tak ciepłym przyjęciem ze strony dawnej piastunki. Dobrze wiedziała, że Maggie ją kocha - i odpłacała jej tym samym. Miała wyrzuty sumienia, że przez swoją ucieczkę przysporzyła niektórym domownikom tylu zmarłych. Maggie na pewno mocno to przeżyła. Zasługiwała na coś więcej... na jakieś miłsze pożegnanie niż pośpiesznie skreślona kartka, którą Edwina zostawiła na nocnym stoliku.

- Wiele się nauczyłam. Na szczęście wyszłam z tego cało.

- Dzięki Bogu, że jesteś w domu - powtórzyła piastunka. Bardzo za tobą tęskniłam. Przez cały czas myślałam o tym, co się z tobą dzieje.

- Przepraszam, Maggie - ze wstydem powiedziała Edwina i jeszcze raz serdecznie uściskała swoją przyjaciółkę. - Wiem, że źle się zachowałam wobec ciebie. Ale ty powinnaś najlepiej mnie zrozumieć. Musiałam uciec.

Maggie z bólem serca przypomniała sobie, ile gorzkich łez wylała jej biedna podopieczna, zanim podjęła decyzję o ucieczce. Stryj Henry przecież usilnie nalegał, żeby wyszła za Silasa Clifforda. Edwina nie wiedziała, jak się przed tym bronić. Początkowo zupełnie odsunęła się od ludzi. Snuła się po domu blada i zapłakana. Maggie żałowała, że sama nie ma dość odwagi, aby stanowczo wstawić się za nią u sir Henry'ego. Wiedziała jednak, że to grozi zwolnieniem. A co wtedy? Co nieszczęсна Edwina zrobiłaby bez niej?

- Wiem, kochanie. Nikt tego ci nie wypomina. Ale trochę za długo byłaś poza domem. Mam nadzieję, że teraz już z nami zostaniesz.

- Chyba tak. Mam wiele poważnych pytań do stryja Henry'ego. Tak, wiem, że hrabia Taplow nie żyje, Maggie, więc z tej strony niczego nie muszę się obawiać.

Edwina zdjęła czepek i przeszła się po pokoju. Zadowolona stwierdziła, że stryj mówił prawdę. Nic tu się nie zmieniło.

Maggie obserwowała ją ze zmarszczonym czołem.

- Wydajesz mi się trochę inna, Edwino - powiedziała w końcu. - Zauważyłam to, jak tylko stanęłaś w progu.

- Tak, jestem inna, Maggie. Zmieniłam się. - Edwina usiadła na stołku przed toaletką i zerknęła na poważną twarz spoglądającą na nią z lustra. - Wiele przeżyłam... Nie zawsze były to szczęśliwe chwile. Ale przez to zyskałam wolność. Czuję się niezależna. Od tej pory nikt nie będzie mi dyktował, co mam robić... Nikt - a już na pewno nie stryj Henry.

- Dobrze wiem, że stryj trochę się na ciebie gniewa, ale musisz mu wybaczyć. Strasznie przeżywał twoją ucieczkę. Rozesłał ludzi po całym hrabstwie. Niektórzy byli jeszcze dalej. Ciągłe cię szukał. Jestem przekonana, że twój powrót sprawił mu ogromną ulgę.

Edwina uśmiechnęła się z przygnębieniem.

- Naprawdę? Powitał mnie dość chłodno.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś? Baliśmy się, że już nie wrócisz... Że przydarzyło ci się coś okropnego...

Oczy dziewczyny pociemniały z gniewu, kiedy przypomniała sobie niedawną rozmowę z Adamem.

- Wcale nie chciałam wracać, Maggie. Od początku zamierałam wyjechać do Francji i tam odszukać krewnych mojej mamy. Niestety, pewien mój znajomy nagle dowiedział się, kim jestem, i zmusił mnie do powrotu.

Tu Edwina opowiedziała starej piastunce o swoim spotkaniu z Adamem, o portrecie, który miał wkrótce zawisnąć w szacownych murach Royal Academy, i o niespodziewanym powrocie do Oakwood Hall.

- Ach, rozumiem... Ciekawe - zauważyła Maggie, zagadkowo patrząc na swoją wychowankę. - To wiele wyjaśnia.

Edwina popatrzyła na nią w lustrze.

- Na przykład?

- Chodzi mi o tego dżentelmena z twojej opowieści... Całkiem niedawno był tu, w Oakwood Hall. Miał jakąś pilną sprawę do sir Henry'ego. Skoro mieszkałaś z nim przez tyle czasu... to nic dziwnego, że się zmieniłaś. Widywaliście się codziennie. Taka znajomość bardzo często kończy się uczuciem.

- Adam... jest inny od wszystkich ludzi, których przedtem znałam - z namysłem przytaknęła Edwina. - Ale, Maggie... Trzeba na niego uważać. .

Zamilkła, nie panując nad swymi myślami. Przed oczami stały jej jak żywe wydarzenia ostatniej nocy. Bezsukutecznie próbowała je odpędzić. Wciąż widziała głupią, naiwną dziewczynę, która przez krótką chwilę była przekonana, że naprawdę kocha i jest kochana. Na własną prośbę dała się uwieść... i porzucić. Zemdlitła ją na tę myśl. Popatrzyła na siebie w lustrze. Na jej twarzy malowało się wyraźne napięcie, kiedy walczyła z niechcianą myślą.

- Adam Rycroft ma szczególne podejście do kobiet - powiedziała powoli, niechętnie, nie panując nad rozgoryczeniem. - Na ogół bywa czarujący, a zarazem beczelnie arogancki. Jest przekonany, że wystarczy jeden jego uśmiech, aby zdobyć każdą kobietę.

Maggie z niepokojem zerknęła na jej zaczerwienioną twarz. Wyczuwała, co się teraz dzieje w sercu Edwiny.

- A ty?

- Co ja?

- Też padłaś ofiarą tej jego beczelności?

- Tak - cicho przyznała Edwina. - Ale nie powinien mnie tutaj przywozić.

- Nie pomyślałaś, że zrobił to tylko ze względu na ciebie? Że się o ciebie troszczy?

-W takim razie okazuje to w nader osobliwy sposób - z przejściem odparła Edwina. Wstała i oparła się o ramę łóżka, krzyżując ręce na piersiach. Od chwili, kiedy Adam na dobre postanowił zabrać ją do domu, na próżno próbowała znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie jego decyzji. Wciąż uważała że ją zdradził. Jej nienawiść była równie silna jak miłość - ta miłość, o której nie mogła zapomnieć.

Cień złości przemknął po jej uroczej twarzy.

- Dzisiaj poznałam jego prawdziwe oblicze. To zwykła bestia. Sama więc widzisz, Maggie, że mam powody, aby czym prędzej zakończyć znajomość z tym dżentelmenem.

Maggie odwróciła się, by ukryć uśmiech.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Zupełnie mnie nie przekonałaś.

Po krótkiej rozmowie z gospodarzem Adam opuścił Oakwood Hall, nie pożegnawszy się z Edwinę. Wsiadł do powozu i kazał woźnicy ruszać do Taplow Court.

Stryj Henry wezwał Edwinę na dół, do jadalni. Przyszła bez sprzeciwu. Nawet nie wyglądała na mocno zagniewaną. Była spokojna, wręcz chłodna i opanowana.

Stryj stał przy oknie, z rękami założonymi na plecy, i patrzył na ogród. Głęboko zamyślony, z ukosa spojrzął na Edwinę, jakby jej widok sprawiał mu przykrość. Zachowywał się jak zwykle, to znaczy oschle, i zdaniem Edwiny nieprzyjemnie.

- No i co? - spytał. - Nic nie zmieniło się w twoim pokoju?

- Nie - odparła. - Dziękuję, stryju.

Podeszła do niego nieco bliżej.

- Co ci powiedział Adam?

- Niewiele - mruknął Henry zgodnie z prawdą. Adam Rycroft uważał, że to raczej Edwina powinna opowiadać o swoich perypetiach. Rozmowa była zaskakująca. Sir Henry dowiedział się z niezwykłym zdumieniem, że nowy hrabia Taplow ma słabość do Edwiny i chciałby się z nią ożenić. Jest gotów zrezygnować z wszelkiego posagu, ale stanowczo zabronił mówić o tym Edwinie. Henry długo zastanawiał się nad tą propozycją. Dobrze pamiętał niechęć swojej bratanicy do poprzedniego hrabiego Taplow. Nie chciał jednak pokłócić się z nowym sąsiadem, więc przystał na wszystkie warunki Adama.

Rycroft zażądał, aby na razie utrzymać w tajemnicy, że to on jest nowym hrabią Taplow. Sam zamierzał o tym

powiedzieć Edwinie, wołał jednak zaczekać, aż dziewczyna choć trochę ochłonie. Henry obiecał mu, że będzie milczał. Uważał jednak, że taka postawa Adama jest co najmniej dziwna.

Teraz odwrócił się od okna i ciężkim wzrokiem popatrzył na bratanicę. Pierwszy raz od powrotu widział ją bez czepka, więc przez dłuższą chwilę ze zgrozą spoglądał na jej krótkie włosy. Wprawdzie trochę odrosły od czasów St Giles, ale wciąż były czymś osobliwym u młodej dziewczyny.

- Dobry Boże! Coś ty zrobiła z włosami?

Edwina wplotła palce w miedzianozłote loki.

- Musiałam je trochę obciąć. Wymóg chwili.

- Wyglądasz niczym jakiś chłopak. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co się z tobą działo przez te wszystkie tygodnie, ale mam nadzieję, że byłaś dyskretna. Tylko domownicy wiedzą, że uciekłaś. Był jeszcze Silas Clifford, ale to na szczęście mamy już za sobą. Pozostałym mówiłem, że wyjechałaś do znajomych na zachód kraju. Prosiłem Boga, żeby prawda nigdy nie wyszła na jaw. Wolałbym nie widzieć twojego nazwiska w brukowcach.

- Ja też, stryju - odpowiedziała sucho.

- Adam Rycroft poinformował mnie, że zobaczył cię w domu swojej przyjaciółki. Podobno zgodziłaś się pozować mu do portretu. Obraz jest już skończony i za moją zgodą pan Rycroft chce go wystawić w Royal Academy.

Edwina powoli podeszła do niego. Jej stopy niemal grzęzły w puszystym dywanie. Przesunęła palcami po wypolerowanym stole i ogarnęła wzrokiem wszystkie znajome przedmioty.

- Ach, tak... - westchnęła. - I co? Udzieliłeś mu swojej zgody, stryju?

Sir Henry kiwnął głową.

- Tak, choć przyznaję, że z pewnym wahaniem. Niechętnie myślę o tym, że przez kilka tygodni wysiadywałaś na kanapie w pracowni malarza. Już sam pomysł, by portret mojej bratanicy wisiał gdzieś na ścianie ku uciesze gawiedzi, wydaje mi się absurdalny.

Ta nieoczekiwana skromność u srogiego stryja wywołała mimowolny uśmiezek na twarzy Edwiny. Zaraz jednak spoważniała.

- Dziwię się, że to słyszę właśnie od ciebie, stryju, gdyż wiem, ile czasu sam spędzasz, patrząc na obrazy. Nie wstydzę się tego portretu. Jest naprawdę wspaniały.

- Sarkazm nie pasuje do ciebie, Edwino - surowo napomniął ją sir Henry, a potem dodał nieco łagodniej:

- Z tego, co mi wiadomo, dużo czasu spędziłaś z Adamem Rycroftem. Co o nim myślisz? Co to za człowiek? Jakie wywarł na tobie wrażenie?

Edwina popatrzyła przez okno na trawnik łagodnym stoikiem dochodzący do tarasu. Ciągle czuła na sobie uważne spojrzenie stryja. Za nic nie chciała zdradzić swoich prawdziwych uczuć do Adama Rycrofta, więc z namysłem zerknęła na wspaniałego bażanta, biegnącego przez trawę w pogoni za samiczką. Ale to znów jej przypomniało Adama. Uśmiechnęła się mimo woli.

- Niewątpliwie pan Rycroft jest niezwykłym człowiekiem, stryju. Uważam go jednak za wyjątkowego bufona i egoistę. Lubi narzucać wszystkim swoją wolę. Dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości. Znam go co prawda krótko, ale mam o nim zupełnie inne zdanie niż ty. To człowiek ogólnie poważany i niewątpliwie bardzo bogaty. Słyszałem o nim, że jest dobrym artystą, chociaż przyznaję, że do tej pory nie widziałem jego płócien. Chyba wybiorę się do Londynu, żeby zobaczyć, jak cię namalował. Poza tym jest uczciwy i wyrozumiały.

- Na litość boską! - zawołała z wyraźną ironią w głosie. - To chyba zbyt piękne, by mogło być prawdziwe... W twoim ujęciu, stryju, to człowiek bez skazy.

Henry popatrzył na nią ponuro.

- Wcale tak nie twierdzą, Edwino. Nikt nie jest doskonały. Każdy ma swoje wady. - Przerwał na chwilę i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Ale dość o tym. Czekam na wyjaśnienia. Co zamierzałaś zrobić po ucieczce z domu? Dokąd się wybierałaś?

- Mama nieraz mówiła mi, że ma krewnych we Francji... zdaje się, że w Lyonie. Chciałam do nich pojechać i zacząć nowe życie. Niestety, zostałam doszczętnie okradziona, zanim dotarłam do Londynu. Straciłam wszystkie pieniądze. Mogłam więc wracać do domu lub znaleźć jakąś pracę. Wybrałam to drugie.

- Pracę? - spytał złowieszczym tonem i zacisnął zęby. - Jaką pracę? Spodziewam się, że nie było to nic niestosownego? - wycedził.

- W sklepie... u modystki - odparła, nie patrząc na niego, żeby nie poznał się na kłamstwie. Za nic w świecie nie powiedziałaaby mu o swojej znajomości z Jackiem i o tym, że przez pół roku była zwykłą złodziejką. Wstydziła się tego. -

Potem spotkałam Adama. Spytał, czy zechcę dla niego pozować, i zaproponował mi ogromne honorarium. Po namyśle wyraziłam zgodę. Do dziś nie wiedział, kim naprawdę jestem. Kiedy wreszcie zdradziłam mu swoje nazwisko, uparł się, że natychmiast odwiezie mnie do domu.

- Bardzo się z tego cieszę. To chyba najlepszy dowód, że mamy do czynienia z wysoce odpowiedzialnym i troskliwym człowiekiem. Ale ciekawi mnie jeszcze inna sprawa... Czy podałaś mu swoje prawdziwe nazwisko, gdybyś wiedziała, że się znamy?

- Nie.

- Tak myślałem. Kiedy zostałem twoim opiekunem, byłem przekonany, że jesteś już wystarczająco duża, aby w pełni znać swoje obowiązki. Młoda kobieta powinna słuchać starszych i bez szemrania spełniać polecenia opiekuna. Widzę, że jednak wciąż jesteś uparta.

- Niestety, nie podzielałam twojego zdania, stryju. Zawsze byłam posłuszna. Ojciec od dziecka uczył mnie, co jest złe, a co dobre. Miałam swoje wyraźne powody, żeby odrzucić oświadczyzny Silasa Clifforda. Ale wiedziałam, że bardzo zależy ci na tym małżeństwie. Nie ukrywałeś swoich ambicji. Opowiadałeś mi o zaszczytach, majątku i honorach. Mówiłeś przy tym, że jeśli cię nie posłucham, to do końca życia będę żałowała tej decyzji.

- Twoje obiekcje składałem na karb młodości i niedoświadczenia. Sądziłem wówczas, że postępujesz głupio, rezygnując z tak znakomitej partii.

Edwina gniewnie błysnęła oczami.

- W takim razie wolę być głupia, stryju, niż do końca ży-

cia nieszczęśliwa u boku niechcianego, obleśnego męża. Niestety, w tamtych dniach nie chciałeś mnie słuchać. Zapewne spodziewałeś się, że w swoim stylu przemówisz mi do rozsądku. W ogóle nie zważałeś na to, co się ze mną dzieje. Dążyłeś do małżeństwa. Choćby dlatego musiałam uciec. Nie miałam sił, by walczyć z tobą i z hrabią Taplow. Nie uroniłam ani jednej łzy na wieść o jego śmierci. Wręcz przeciwnie, poczułam niewysłowioną ulgę. Co zrobił, kiedy dowiedział się o mojej ucieczce?

- Wpadł w furję. Chciał cię natychmiast gonić. Ale doznał apopleksji i już nie podniósł się z łóżka.

- Złość go zabiła - spokojnie powiedziała Edwina. - Nie mógł znieść myśli, że został pokonany przez kobietę.

- Gdybyś za niego wyszła, byłabyś teraz niezwykle bogatą i utytułowaną wdową. Młodą hrabiną - burknął Henry. - Jak widać szkoda, że nie posłuchałaś mojej dobrej rady. Nie przeszkadza mi, że potrafisz o siebie zadbać. To nawet pozytywna cecha. O wiele gorzej, że jednocześnie jesteś upartą i krnąbrną buntowniczką. Swoją ucieczką podważyłaś mój niewątpliwy autorytet jako twojego opiekuna. Już nie pamiętasz, ile wyrzeczeń poczyniłem wyłącznie dla ciebie po śmierci Gordona? Nie doczekałem się za to ani słowa wdzięczności. Co więcej, obraziłaś mnie swoim nieprzemyślanym i niedorzecznym postępowaniem.

- Ojciec powierzył ci opiekę nade mną, stryju, w przekonaniu, że trafię w najważniejsze ręce. Szkoda, że się pomylił. Słowo „honor” oznacza przede wszystkim troskę o własny dom i rodzinę. Tego od ciebie nie dostałam. Po prostu skalałeś pamięć swego brata - z goryczą powiedziała Edwina.

- A skoro już mówimy o twoim ojcu... Myślę, że powinniśmy sobie wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

Henry przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli. Prawdę mówiąc, najbardziej obawiał się tej chwili. Bał się nieszczęsnych wspomnień, które wciąż ziały jak otwarta rana. Wiedział jednak, że nie może już niczego ukrywać przed Edwiną. Z wolna podszedł do stołu, przy którym stała dziewczyna i głośno odchrząknął. Popatrzyła na niego z niemym oczekiwaniem. Podświadomie wyczuła, że dzieje się coś ważnego. Zapadła długa cisza.

- Jak... rozumiem - z ociąganiem zaczął stryj Henry - uciekłaś po części dlatego, że... że miałaś wobec mnie pewne podejrzenia. Myślałaś, że to ja zabiłem twego ojca... a mojego brata.

- Tak - odparła krótko, nie widząc powodu, żeby to dłużej trzymać w tajemnicy. - To prawda.

- Wciąż tak myślisz?

- Nie wiem. Nie jestem tego pewna... ale jeszcze się nie pozbyłam wszelkich wątpliwości. Chyba sam przyznasz, że zachowywałeś się bardzo dziwnie, stryju. Nie chciałeś ze mną rozmawiać. Nigdy nie dowiedziałam się od ciebie, co wtedy zaszło. Wspomniałeś tylko coś o bandytach czyhających przy drodze do Taplow Court. Jak to się stało, że napastnicy nic ci nie zabrali? Dlaczego cię nie zabili? Złościłeś się, kiedy próbowałam cię o to zapytać.

- Próbowałam cię chronić.

- Przed czym, stryju? Powiedz mi w końcu prawdę! Wdzieliście się wtedy z Silasem Cliffordem?

Wzrok Henry'ego stwardniał pod wpływem bolesnych wspomnień.

- Tak - odparł bez ogródek. - Wyjechał z Taplow Court na nasze spotkanie.

- O, mój Boże... - jęknęła Edwina, kiedy dotarło do niej znaczenie słów stryja. Popatrzyła na niego wstrząśnięta do głębi. - To... Silas go zamordował, prawda?

- Tak. Dopóki żył, musiałem dźwigać to straszne brzemie. Teraz mogę ci opowiedzieć wszystko.



Rozdział jedenasty

Edwina stała nieruchomo. W myślach znów rozpamiętywała tragiczną śmierć ojca. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego stryj Henry tak długo trzymał prawdę w zupełnej tajemnicy? Przecież go oskarżała o wstrętne bratobójstwo!

- Dlaczego go zabił? Z jakiego powodu?!

Henry pochylił głowę. Zrobił się nagle bezradny w obliczu słusznej złości pięknej bratanicy. W jednej chwili poczuł się okropnie stary. Ponad pół roku samodzielnego życia ujawniło w Edwinie siłę i hart ducha, których do tej pory u niej się nie spodziewał. Już nie był opiekunem, mającym do czynienia z nieposłusznym dzieckiem. Stał w obliczu dorosłej, dojrzałej osoby i musiał z nią rozmawiać jak równy z równym.

- Silas usiłował dogadać się z Gordonem. To już wtedy stałaś się przedmiotem targów. Gordon zdecydowanie odmówił rozmowy o małżeństwie i odrzucił ofertę Silasa. Powiedział, że zdoła będzie pieniądze na spłatę długu. O niczym nie chciał słyszeć.

- Mówisz więc, że hrabia... rozmawiał o mnie z ojcem? Nic o tym nie wiedziałam... - szepnęła z przejęciem, wyraźnie

przygnębiona taką wiadomością. - A kiedy odmówił... to Silas go pchnął nożem?

- Najpierw wybuchła kłótnia. Silas zachowywał się jak obłąkany. Gordon wciąż mu dokuczał. Kpił z niego w żywe oczy. - Henry sposepniał nieco. - Tacy jak Silas Clifford nie cierpią podobnych żartów... a zwłaszcza od dłużników. Wyciągnął nóż. Zaatakował błyskawicznie i niespodziewanie. Po chwili już było po wszystkim. Bezskutecznie usiłowałem ratować Gordona. Tak, próbowałem...

Edwina słuchała tego z rosnącą zgrozą i niedowierzaniem. Sir Henry mówił coraz bardziej drżącym głosem. Oczy zaszyły mu mgłą, ale Edwina w porywie nagłego gniewu nawet nie zauważyła jego stanu.

- To był prawdziwy potwór - wyszeptała. - A mój ojciec dał popis rozpaczliwej odwagi. Ale ty nie zgadzałeś się z jego decyzją. O to się sprzeczałyście nawet w dniu wyjazdu do Taplow Court, prawda? Już wtedy chciałeś, żebym posłubiła Silasa Clifforda!

- Gordon wolał iść do więzienia za długi, niż oddać cię w jego ręce.

- Biedny ojciec... Szkoda, że w tobie nie ma równie głębokich uczuć, stryju - powiedziała z naganą w głosie. - Oględnie mówiąc, masz nieco dziwne pojęcie lojalności. Bez względu na to, co się stało, myślałeś tylko o majątku. Chciałeś powiększyć swoją fortunę, sprzedając mnie mordercy brata. Nic więcej cię nie obchodziło. - Pogardliwie wykrzywiła usta. - To wręcz ohydne!

Odwrociła się plecami do niego i zamknęła oczy, usiłując choć trochę zapanować nad nerwami. Czuła się zdradzona i skrzywdzona.

Swym obraźliwym zachowaniem wywołała gwałtowną reakcję Henry'ego.

- Gdyby twój ojciec był rozsądny, to nie przegrałby swojej części dziedzictwa i nie zastawił domu! - zawołał ze złością. - Dobrze wiesz, że jako młodszy z dwóch synów dostałem niewiele, ale wielkim wysiłkiem i uczciwą pracą pomnożyłem mój spadek! Odrzuciłem błyszczące pokusy socjety i wyzyłem się pragnień - po to, aby przeżyć. Po wszystkich wyrzeczeniach, po całej goryczy, w dniu śmierci Gordona dostałem wiadomość, że los znów ze mnie zakpił i że muszę jedynie posprzątać po moim bracie! Odziedziczyłem długi i krnąbrną bratanicę!

- Którą odtrąciłeś i zamierzałeś jak najszybciej sprzedać - odcięła się Edwina. Nawet nie pomyślała, jak bardzo krzywdzi stryja swoimi słowami. Sir Henry od dawna serdecznie żałował wcześniejszych postępów.

Zapadła długa chwila mocno napiętej ciszy. Edwina nigdy w pełni nie rozumiała stryja, ale w końcu wyczuła jego głęboką rozterkę i dostrzegła pewne przyczyny jego zachowania. Mogła mu tylko współczuć. Prawdę mówiąc, gdyby to on, a nie Gordon był głównym spadkobiercą rodzowego majątku, nikt by się dzisiaj nie martwił o przyszłość Oakwood Hall. Na pewno zająłby się tym lepiej od jej ojca.

Edwina z wysiłkiem zmusiła się do spokoju.

- To może mi odpowiesz na kilka pytań, stryju... Skoro hrabia Taplow okazał się mordercą, dlaczego nie zapłacił za popełnioną zbrodnię? Dlaczego nie został aresztowany i nie stanął przed sądem? Przecież za to, co zrobił, dawno powinien wisieć. Byli tam oprócz ciebie jacyś inni świadkowie? Może lokaj?

- Nie. Silas zjawił się zupełnie sam.

- W takim razie dlaczego milczałeś w tej sprawie? Dlaczego nie poszedłeś do władz, do namiestnika? Przecież tak zrobiłby każdy porządny człowiek! Na litość boską, chodziło o śmierć twego brata! - zawołała roztrzęsiona. - Jak mogłeś dopuścić do tego, żeby Clifford zupełnie bezkarnie stapał po tej ziemi? Co gorsza, do jego zbrodni dodałeś drugą, własną... Próbowaliśmy mnie zmusić do małżeństwa z mordercą, jakby nic komu się nie stało!

Stryj Henry stał sztywno, ale nagle jakby się postarzał i ugiął pod brzemieniem wieku. Westchnął boleśnie i pochylił głowę.

- Przyznaję, że nie działałem w najlepszej wierze - powiedział zgaszonym głosem. A potem bezradnie spojrzął w oczy bratanicy. Po chwili odwrócił wzrok. - Zrozum, że to jest dla mnie bardzo trudne. Masz prawo do złości. Już wiem, dla czego tak stanowczo odrzuciłaś nieszczęsną propozycję Silasa Clifforda. Wiem, dlaczego uciekłaś. Ale na początku... przed tą tragiczną chwilą... kiedy Gordon przedstawił mi plany Silasa... zarzuciłem mu, że jest głupi, jeśli nie chce ich przyjąć.

- To rozumiem, ale dlaczego potem nabrałeś wody w usta? Dlaczego mnie zmuszałeś do ślubu? - Popatrzyła na niego spod oka. - Bałeś się Silasa?

Żachnął się, więc przez chwilę myślała, że zaprzeczy.

- Tak - odparł po krótkim milczeniu. - Bałem się.

To wyznanie sprawiło, że po wielu miesiącach życia z głębokimi wyrzutami sumienia poczuł się nagle wypalony, pusty.

- Silas Clifford był potężnym człowiekiem. Miał rozległe wpływy. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Już sama jego obec-

ność w Taplow Court stanowiła dla nas ustawiczną groźbę. Zimnym, złowieszczym głosem zażądał ode mnie milczenia. Dał mi do zrozumienia, że jeśli powiem choć słowo, spotka mnie to samo, co mojego brata.

- I w zamian za milczenie oczywiście wręczył ci pokątną sumkę - bez cienia litości w głosie dokończyła Edwina. Zdawała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa, ale złość zaślepiła ją do tego stopnia, że przestała zwracać uwagę na słowa. - Powiedz, przekupił cię? Niemało zapłacił, żeby tylko uniknąć skandalu i aresztowania?

Henry zbladł.

- Nie przyjąłem od niego ani pensa.

Gniew Edwiny uleciał jak zdmuchnięty. Westchnęła głęboko.

- Żaden człowiek nie stoi wiecznie ponad prawem - powiedziała o wiele łagodniejszym tonem, z niepokojem spoglądając na stryja. Wyglądał dużo starzej, oczy mu przyciemniały i stał przygarbiony...

- Nie powinienes go osłaniać.

- Wiem. To był poważny błąd z mojej strony - przyznał Henry. - Szczerze tego żałuję. Ale dokładnie wiedziałem, że bez poparcia świadków sąd odrzuci wszelkie moje oskarżenia.

- Tak więc morderca nigdy nie został ukarany... - powiedziała cicho Edwina, ogarnięta smutkiem.

Sir Henry spojrział na nią o wiele spokojniej.

- Niestety, tak - odparł. - Teraz już nie żyje i nie ma sensu tego ciągle roztrząsać. Po co robić kłopoty jego spadkobiercy? Nie zapominaj także, że Silas początkowo uratował Gordona przed więzieniem za długi. Pożyczył mu pieniądze i ocalił od hańby rodzinę.

- Masz rację. To już za nami. Ale dług pozostał niespłacony.

- Nie. To także zostało załatwione. Kuzyn zmarłego Silasa, nowy hrabia Taplow, niedawno był u mnie, żeby to omówić. Doszliśmy do... do porozumienia.

- Cieszę się. A jaki jest ten nowy hrabia? Przypomina kuzyna?

- Ani trochę. Wysoki i bardzo przystojny... a do tego kawaler. Jestem przekonany, że wkrótce się spotkacie. Edwino, gdybym mógł, to chętnie bym naprawił wszystkie dawne błędy. Myślisz, że kiedyś mi przebacysz?

Przyjrzała mu się. Gdzieś zniknął chłód i arogancja, którymi zwykle odstraszała ludzi, a zamiast tego... Pierwszy raz dostrzegła w nim odrobinę ciepła i szczerych uczuć. Ale chyba nie myśli, że zwykłym „przepraszam” sprawi, że ona natychmiast zapomni o niechlubnej roli, jaką odegrał w zabójstwie jej ojca?

- Nie wiem - odpowiedziała otwarcie. - Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało, to będzie bardzo trudne... ale spróbuję.

Sir Henry kiwnął głową, usatysfakcjonowany słowami bratanicy.

- O nic więcej nie proszę.

Edwina wyszła przebrać się do kolacji. Sir Henry jeszcze stał przez chwilę zupełnie nieruchomo, wpatrując się w zamknięte drzwi. Zastanawiał się, co będzie, gdy dziewczyna pozna prawdziwą tożsamość bogatego sąsiada... Kiedy się dowie, kim jest hrabia Taplow... Co zrobi, gdy usłyszy, że Adam Rycroft, tak jak jego poprzednik, pragnie ją poślubić? Z tego

co dziś widziałem, myślał Henry, można się spodziewać wręcz otwartej wojny. Edwina go nienawidzi...

Ale błysk w oczach Adama zdradzał chęć do upartej walki. Henry Marchant pokładał w nim wielkie nadzieje. Liczył na to, że hrabia Taplow, zgodnie z obietnicą, zdoła wreszcie przekonać Edwinę do siebie. Tym razem już na pewno nie będę się wtrącał, przyrzekł sobie sir Henry. Ostateczną decyzję w sprawie małżeństwa pozostawiał wyłącznie w rękach bratanicy.

W pobliżu lasu Edwina mocno ściągnęła wodze. Klacz przeszła z galopu do wolniejszego truchtu. Po chwili znalazła się na dobrze ubitej ścieżce między drzewami. Edwina jeździła tędy setki razy. Uwielbiała mrok i ciszę w lesie. Powietrze było rześkie. Wyminęła zwałone stare drzewo, które upadło niemal w poprzek ścieżki. Głęboko wciągnęła w płuca zapach gnijącej zieleni. Nagle drgnęła, gdy wszechobecną ciszę przerwał głośny łopot skrzydeł wystraszonego bażanta. Potem roześmiała się na całe gardło. Patrzyła, jak kolorowy ptak z hałasem zapadł w krzaki.

Wjechała do zimnego, bystrego strumienia i wprawną ręką przeprowadziła klacz po śliskich kamieniach. Czuła na twarzy krople wody bryzgającej spod kopyt. Po drugiej stronie drzewa rosły o wiele rzadziej, a ziemia była pokryta grubym kościercem zwiędłych liści.

Na skraju lasu Edwina zatrzymała klacz w cieniu ostrokrzewu. Popatrzyła na jego lśniące liście - niemal czarne w przyćmionym świetle - i dojrzałe jagody. W oddali, na niskim wzgórzu, majaczyły mury Taplow Court. Dwór przypominał olbrzyma śpiącego pod ciemną chmurą nabrzmiałą ciężkim

deszczem. Edwina dopiero teraz uświadomiła sobie, że pojechała dużo dalej, niż zamierzała. Musi jak najszybciej wracać. Pochyliła się i delikatnie pogładziła klacz po szyi.

- Pędziłyśmy jak wiatr - szepnęła i roześmiała się cichutko, kiedy koń nadstawił uszu i parsknął, słysząc głos swojej pani.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze obcowała z końmi. Stawały po prostu część jej życia. Tę siwą, nakrapianą klacz o łagodnych oczach, imieniem Tancerka, dostała od ojca w dniu swoich piętnastych urodzin. Słyszając głuchy stuk kopyt, zapomniała o zmartwieniach. Ogarniało ją cudowne poczucie wolności. Z zaczerwioną twarzą i bijącym sercem czuła się dużo lepiej niż tuż po sromotnym powrocie do Oakwood Hall. Nawet niedawną rozmowę ze stryjem postrzegą w nieco lepszym świetle. Najważniejsze, że zawarli ze sobą rozejm.

Wokoło panowała kojąca cisza. Edwina odruchowo wróciła myślami do Adama. Mimo obietnic nie przyszedł nazytuz po przyjeździe. Ciągle złościła się na niego, a jednak poczuła się trochę rozczarowana. Gniew walczył w niej o lepsze z głęboką miłością. Tydzień temu przeklęła go za niecną zdradę - ale to nie powstrzymywało jej tęsknoty. Myślała o nim coraz częściej... i już niewiele brakowało, żeby mu wszystko wybaczyła.

Złość w niej słabła, powoli ustępując łagodniejszym uczuciom. Zamiast niechęci wkradła się tęsknota, i to tak silna, że Edwina z trudem powstrzymywała się od płaczu. Brakowało jej spontanicznego śmiechu i żartów Adama, jego ukrytej siły, nowych poglądów, a przede wszystkim jego miłości. Wystarczyło, by przymknęła powieki, a już widziała jego zawsze czujne niebieskie oczy, lekko wydęte usta - na których tak

często gościł uwodzicielski uśmiech - ciemne włosy i urodziwą twarz. Obraz był tak wyraźny i budził tyle emocji, że łzy same cisnęły jej się do oczu.

Ciągle ukryta w chłodnym cieniu lasu, z cichym westchnieniem popatrzyła na odległy dwór, który w tej chwili byłby jej nowym domem, gdyby pół roku temu posłuchała stryja i wyszła za Silasa Clifforda. Dziwny i ponury, stał na szczycie wzgórza niczym odrażająca czarna bestia. Ostre zwieńczenia dachów i smukłe kominy na kształt ostrych zębów sterczały wysoko w niebo. Edwina jeszcze nie była tak blisko Taplow Court. Prawdę mówiąc, nigdy nie miała najmniejszej ochoty tam zaglądać. Teraz też chciała szarpnąć wodze i skierować Tancerkę na ścieżkę wiodącą do domu, ale nagle dała się ponieść ciekawości i pojechała dalej krętą drogą biegnącą poniżej głównego traktu.

Dotarła do wielkiej żelaznej bramy. Tu zatrzymała się na chwilę. Doszła do przekonania, że zobaczyła już wystarczająco wiele i nie musi jechać dalej. Nieoczekiwanie zaczęło padać. Ostry, siekający deszcz zabębnił o ziemię. Edwina szybko skręciła na pobocze, pod grube gałęzie drzew rosnących na skraju lasu. Schroniła się pod listowiem.

Popatrzyła za siebie, na tajemniczy świat ruchomych cieni. Między drzewami panowała upiorna cisza. Grube pnie zdawały się stykać ze sobą. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Poczuciła się bezbronna i słaba. Coś jej podpowiadało, że już nie jest sama, że od pewnego czasu ktoś ją obserwuje z ukrycia. Wbiła wzrok w ciemność, ale nic nie zauważyła. Las wyglądał na pusty. Nic się nie poruszało. Edwina podskoczyła w siodle ze zdławionym okrzykiem, kiedy po pniu przebiegła spłoszona

wiewiórka. Po chwili zwierzątko zniknęło wśród liści. Ale złowieszcze uczucie nie mijało. Poczuła, że włosy jeżą jej się na głowie. Tam, w mroku, czaiło się gdzieś niebezpieczeństwo. Wyrzucała sobie, że pojechała sama. Powinna być mądrzejsza.

Na pozór spokojnym, niemal obojętnym ruchem skierowała Tancerkę z powrotem na ścieżkę. W głębi ducha wciąż była pełna obaw. Czuła, że z posępnego cienia wpatrują się w nią czyjeś oczy. Zbladła jak ściana i zimny pot spłynął jej po plecach, gdy zobaczyła wiekowy dąb o poskręcanym pniu, tak grubym, że mógłby się za nim ukryć cały regiment wojska. Odruchowo wstrzymała oddech. Chociaż nigdy nie była tchórzem, z bijącym sercem spojrzała na jakąś barczystą postać w czarnym płaszczu, która właśnie w tej chwili wyłoniła się z kryjówki. Chwilę później w polu widzenia pojawił się jeszcze ktoś, ale pozostał przy drzewie. Ten pierwszy leniwym krokiem podszedł do dziewczyny.

Edwina rozpoznała w nim Jacka Pierce'a. Wzdrygnęła się, ale nie ze strachu, lecz z obrzydzenia. Popatrzyła na jego masywną sylwetkę, brzydką twarz skurczoną w złośliwym grymasie, błyszczące czarne oczy pod krzacastymi brwiami i ten sam zniszczony, przekrzywiony cylinder z wronim piórem. Tak, to na pewno Jack Pierce... Skąd się tu wziął, z dala od Londynu? Śledził ją? A może odkrył jej sekret?

- Ho, ho... - mruknął. - A zatem mój maleńki ptaszek postanowił uwić sobie gniazdko w Taplow... Witaj, Ed... a może powinienem powiedzieć: Edwino? Pochlebiam sobie, że jestem sprytny i wcale niełatwo mnie oszukać, ale tobie, jak widać, ta sztuczka się udała. Przyznaję, że nigdy bym w to nie

uwierzył. Okazałaś się całkiem przyjemną ślicznotką... - Zachichotał złośliwie i złożył jej drwiący ukłon.

Edwina doskonale знаła ten jego wilczy uśmiech.

Obserwowała go uważnie. Jack podszedł jeszcze bliżej, stając tak, żeby jej zablokować drogę ucieczki. Jednak Edwina z niemałym zdumieniem stwierdziła, że już nie boi się go tak jak dawniej. Widziała go pierwszy raz od tamtego strasznego wieczoru na Covent Garden, kiedy brutalnie ją uderzył. Przez ten czas dużo się zmieniło. Wtedy była bezradną ofiarą w rękach groźnego i pozbawionego skrupułów pasera. Teraz towarzyszyła jej świadomość wewnętrznej siły i poparcia ze strony stryja Henry'ego i Adama Rycrofta. Chociaż wiedziała, że niespodziewana obecność Jacka nie zwiastuje nic dobrego, nie cofnęła się, lecz popatrzyła na niego spokojnie.

- Jakież to wiatry cię zagnały tak daleko od Londynu, Jack?

- Pomyślałem, że przyjdę po prostu się przywitać... zwłaszcza że byłem w pobliżu - odparł kpiącym głosem, ale jego oczy pozostały zimne i niewzruszone.

- Śledziłeś mnie?

- Wiem, gdzie mieszkasz, kim jesteś, i z kim się przyjażnisz. Sama widzisz... przede mną nie ma żadnej ucieczki. Kiedyś przyrzekłem sobie, że gorzko pożałujesz swojego postępu. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Skłonny jestem pomyśleć, że mam kupę szczęścia.

- Lepiej stąd odejdz i daj mi spokój. Jak wiesz, poznaliśmy się tylko przez przypadek. Pewne okoliczności zmusiły mnie do takiego życia, jakie przez pewien czas wiodłam w Londynie. Dziwię się twojej beczelności. Jak śmiesz mnie tu nachodzić? Mogę cię wydać w ręce sądu. Kto mnie przed tym powstrzyma?

Jack tylko się roześmiał, ponurym, nieprzyjemnym śmiechem. Zimny dreszcz przebiegł po plecach dziewczyny.

- Sama nie zechcesz tego zrobić. Po pierwsze, nic na tym nie zyskasz, a po drugie, powinnaś wysłuchać mnie do końca. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Nie skończyliśmy jeszcze wszystkich interesów. Czy chcesz, czy nie, wciąż jesteś skazana na moje towarzystwo.

Edwina zeszywniała lekko. Uparcie walczyła z narastającym strachem. Jack był za bardzo pewny siebie. Bez wątpienia ma asa w rękawie.

- W takim razie mów, co mi chcesz powiedzieć, i odejdz. Nie zamierzam więcej dla ciebie pracować. To już skończone.

Tym razem jego śmiech zabrzmiał jak chłாńnięcie bata.

- Tak myślisz? Nieprawda. Nawet się nie zaczęło.

Edwina niemal się cofnęła, przytłoczona groźbą.

- O czym ty mówisz?

Jack niedbałym ruchem stanął plecami do niej i popatrzył na Taplow Court. Zapadła chwila napiętej ciszy.

- Dziwny dom... Podoba ci się? Raczej wątpię. Ale po sam dach napchany różnymi drogocennościami... Wystarczy tego, aby na zawsze uczynić mnie bogaczem.

- Jack! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Chcesz obrabować Taplow Court? Zawsze wiedziałam, że masz coś wspólnego z licznymi włamaniami... ale nigdy cię nie podejrzewałam, że poważysz się na coś takiego! Przecież to czyste szaleństwo!

- Nieprawda. Nie ma nic prostszego - pod warunkiem że zręczny złodziej znajdzie sobie nie mniej dobrego pomocnika. Takiego, który bez kłopotu będzie mógł dostać się do środka.

- Pomocnika? Wciąż myślisz o mnie? O, nie, Jack. Grubo się mylisz. Nie dam się wciągnąć w tę intrygę.

Pierce uśmiechnął się złośliwie. Jego czarne oczy zamigotały niczym dwa kawałki węgla.

- Pomyśl przez chwilę - mruknął. - Weź przykład ze mnie. Kiedy odkryłem, że nie jesteś chłopcem, ale wykwinną młodą damą, zadałem sobie proste pytanie: Po co ci była ta maskarada? Niewątpliwie chciałaś coś ukryć. Teraz wyobraź sobie skandal, który wybuchnie, kiedy wyjdzie na jaw to wszystko, co robiłaś dla mnie podczas pobytu w Londynie. Przecież złodziejstwo nie jest najlepszym zajęciem dla młodziutkiej dziewczyny z dobrym wychowaniem... Mam rację? Kto by przypuszczał! Taka piękna dama, na ognistej klaczy, w bogatej pelerynie...

Edwina uniosła głowę. Zielone oczy jak dwa szmaragdy połyskiwały na jej pobladłej twarzy.

- Zapominasz, że nauczyłeś kraść trzynastolatka z brudną buzią i w poszarpanych łachach. Nigdy nie miałeś do czynienia z osiemnastoletnią panną z dobrej rodziny. Rozповідаj, co tylko chcesz, nawet w całym hrabstwie. I tak nikt ci nie uwierzy. Myślisz może, że mnie przestraszysz swoją gadanią? Zapomnij o tym. Odejdź stąd i nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Jack przestał się uśmiechać. Wyciągnął rękę i przytrzymał Tancerkę za uzdę. Klacz parsknęła lekko i szarpnęła łbem.

- Odważne słowa, moja droga pani... Ale to ty się grubo mylisz, jeżeli sądzisz, że w ten sposób pozbędziesz się mnie na dobre. Z czasem nauczę cię posłuszeństwa...

- Wcale się ciebie nie boję, Pierce.

- Szkoda... - odparł drwiąco. Gdyby rozmawiał z Edem, to już dawno ściągnąłby go z siodła i porządnie natłukł. Niestety, widok młodej, pięknej i wyraźnie odważnej kobiety sprawił, że trochę spuścił z tonu. Bał się jej dotknąć. Może później... - Wiem, że chadzasz własnymi drogami. Dlatego też podjąłem pewne działania, żeby uniemożliwić ci ucieczkę.

Edwina rzuciła mu szybkie spojrzenie zaalarmowana jego słowami.

- Jakie działania? O czym ty mówisz?

Roześmiał się bez cienia wesołości w głosie.

- Daj spokój. Przecież jesteś mądra... Zauważyłem to już na początku. Był z ciebie zręczny i przebiegły chłopak. Najsprytniejszy w mojej drużynie. Chyba nie muszę wiele ci wyjaśniać. Mówię o innym chłopcu... Małym kuternodze, który podnosi głowę, gdy krzyknąć do niego: „Toby Clifford!”

- Toby? - spytała niemal bez tchu.

- Właśnie.

- Znalazłeś go? - wyszeptwała.

- Tak, w Wapping. Mieszka w jakiejś śmierdzącej dziurze, razem z parą podstarzałych cyrkowców i niedźwiedziem.

Pod tym względem Jack okazał się lepszy od Adama... A może to tylko kłamstwo? - zastanawiała się Edwina. Może w ten sposób chce ją skłonić do pomocy?

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz?

Jack świdrował ją rozpłomienionym wzrokiem.

-Chcesz dowodu? Proszę... Chłopiec opowiedział mi wzruszającą historię o swojej zmarłej matce. Po jej śmierci wuj Silas najzwyczajniej w świecie pozbył się siostrzeńca. Od-

dał go w ręce włóczęgów! Niemal się rozplakałem, słysząc te wyznania. Pomyśl sama, skąd bym to wszystko wiedział, jeżeli nie od niego.

- Musisz natychmiast go uwolnić. Przecież on nic ci nie zawinił! Po co go mieszać w nasze sprawy?

- Wręcz przeciwnie, chłopak na pewno mi się przyda. Chyba nie jesteś tak naiwna, aby nie wiedzieć, że nie zaczynam gry, jeśli nie mam pod ręką paru asów.

Edwina znała okrucieństwo Jacka i z całego serca martwiła się o Toby'ego. Pierce stał z nieruchomą twarzą, ale w jego oczach połyskiwały jakieś szaleńcze błyski.

- Sam nie wiesz, na co się porywasz. Jeśli chłopcu stanie się najmniejsza krzywda, Adam Rycroft cię zabije. Tego możesz być pewny. Gdzie przetrzymujesz Toby'ego?

- Zostawiłem go pod opieką zaufanych przyjaciół - ze złośliwym uśmiechem odpowiedział Jack. - Powiedzmy, że zapewniłem mu stosowną ochronę. Pana Rycrofta się nie boję. Musiałby być skończonym głupcem, żeby odważyć się wejść na mój teren.

- Nie unikniesz kary - warknęła Edwina przez mocno zacisnięte zęby. - Nie łudź się, że zdołasz umknąć.

Pierce zmarszczył brwi.

- Lepiej pomódl się, piękna pani, żeby mnie nie złapano, bo jeśli tak się stanie, chłopak umrze okrutną i bolesną śmiercią. Będziesz go miała na sumieniu. We dnie i w nocy do końca życia nie zaznasz spokoju. Zresztą... znam jeszcze inne skuteczne metody... - Przechylił głowę i uśmiechnął się pod nosem. - Taka buzia jak twoja piekielnie źle wygląda z blizną po cięciu nożem.

Edwina zbladła, słysząc tę brutalną groźbę.

- Nie strasz mnie.

- Nawet nie mam takiego zamiaru. Chcę ci pomóc.

- Oczywiście... Jack Pierce, obrońca uciśnionych - syknęła z jadowitą złością, podszytą drwiną.

- Pamiętaj, że życie chłopca spoczywa w twoich rękach.

Edwina nie wiedziała, jak ratować Toby'ego. W jej oczach malowała się bezradna rozpacz.

- Błagam cię, nie rób tego, Jack. Puść go wolno.

- Nie oczekuj ode mnie żadnej przysługi - burknął. - Najpierw robota. I nie próbuj się wymigiwać.

Nawet nie zmrużył oka na widok zimnej furii we wzroku Edwiny. Mogłoby się zdawać, że nie zwraca najmniejszej uwagi na jej zachowanie.

- Zrobisz, co zechcę, jeżeli chłopak ma zdrow i cały wrócić do Rycrofta. Ale ostrzegam... bąknij chociaż słowo jego lordowskiej mości, a zaczniemy rozmawiać zupełnie inaczej. Niech nikt nie wsadza nosa w moje sprawy. W przeciwnym razie znajdziecie tylko trupa - warknął z bezdusznym okrucieństwem.

Edwina miała zawroty głowy.

- Zabiłbyś dziecko?

- Dlaczego nie? Chociaż jeśli zachowasz się rozsądnie i pomożesz mi w wycieczce po skarby Taplow Court, to obiecuję, że chłopakowi *nie* stanie się najmniejsza krzywda.

- Teraz tak mówisz, ale ja nie widzę żadnego powodu, żeby ci uwierzyć. Mam zaufać słowu...

- Złodzieja? - dokończył za nią Jack. - Chyba nic innego ci nie pozostaje. - Doprawdy nie rozumiem, skąd się bierze twoja zapiekła niechęć do mnie, młoda damo - mruknął z sarką-

zmem. - Ale wiem jedno... Bez większego trudu wpuścisz mnie do Taplow. Już słyszałem od moich ludzi, że romansujesz z hrabią. Jeżeli dobrze to rozegrasz, to nikt się nie połapie. Dla przyszłej hrabiny Taplow to po prostu pestka.

- Nic z tego - powiedziała Edwina. - Nie mogę ci pomóc. Sęk w tym, że od niedawna nie mam prawa wstępu do Taplow Court. Hrabia, który chciał pojąć mnie za żonę, już nie żyje.

- Nie jestem głupi - ze złością burknął Jack. - Myślisz, że o tym nie wiem? Przecież wcale nie mówię o Silasie Clifordzie.

- W takim razie o kim?

- O jego następcy - bogatym, wpływowym i wielce utalentowanym Adamie Rycrofcie.

Chwilę trwało, zanim jego słowa dotarły do świadomości Edwiny. Dziewczyna zbladła i szeroko rozwartymi oczami w milczeniu wpatrywała się w złośliwie uśmiechniętą twarz Jacka.

- Adam? - wykrztusiła z trudem. - Hrabia Taplow? Nigdy nie słyszałam czegoś równie niedorzecznego.

Jack łypnął na nią spod oka.

- Niespodzianka, co? - mruknął.

- Kłamiesz! - zawołała, choć już wiedziała, że jednak mówi prawdę.

W jednej chwili ponury obraz *nabrał wyraźnych kształtów*. Jakaż ja byłam głupia... - jęknęła w duchu. Przecież Adam wspominał mi, że ma dom pod Londynem... i zna stryja Henry'ego. Już wtedy mogłam się domyślić, że mieszka gdzieś w pobliżu. Przez moment nie podejrzewałam, że właśnie w Taplow Court! Za sto lat tego bym się nie domyśliła...

Jack z całkowitą obojętnością wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, zupełnie nie dbał o to, co łączy młodziutką złodziejkę z potężnym hrabią Taplow. Myślał jedynie o bogatych łupach.

- Kłamie? Najlepiej sama go o to spytaj. - Cofnął się. - Wrócę niedługo, żeby powiedzieć ci o moich planach. Ale pamiętaj... buzia na kłódkę.

- Nienawidzę cię - z pogardą powiedziała Edwina. - Nawet nie masz pojęcia, jak cię nienawidzę.

Na odchodnym *obdarzył ją krzywym*, niedobrym uśmiechem.

- Nic sobie z tego nie robię - mruknął. - Powiem ci, kiedy będę już gotów do działania. Pewnie to jeszcze trochę potrwa. Człowiek nie powinien się za bardzo spieszyć, jeśli chce dobrać do wielkiego celu.

Zabrał swojego współnika i zniknął, zanim Edwina ochłonięła na tyle, żeby znaleźć jakąś odpowiedź. Miała wrażenie, że jej głowę ściska żelazna obręcz. W ustach poczuła smak popiołu. Odruchowo zacisnęła na wodzach szczupłe palce w miękkich czarnych rękawiczkach z koziej skóry, używanych do konnej jazdy. Adam Rycroft okazał się prawdziwym monstrum... wcielonym diabłem. Jak mógł tak ją oszukać? Prawda okazała się zbyt bolesna. Zniszczyła wszelkie plany, marzenia, iluzje... Edwina wszystko już zrozumiała. Jej życie legło w gruzach.



Rozdział dwunasty

Deszcz padał, a Edwina ciągle siedziała nieruchomo w siodle, niepomna na pogodę. Przez cały czas rozmyślała nad słowami Jacka. Musiała przyznać, że stary wyga postawił ją w niezwykle trudnej sytuacji. Wcale nie chciała mu pomagać w jego ohydnych dziełach. W pierwszej chwili postanowiła nawet, że nie przyłoży ręki do kradzieży. Ale niestety, nie mogła lekceważyć jego pogroźek. Brzmiały zbyt prawdziwie. Jack Pierce był okrutnym i chciwym człowiekiem, który na pewno nie zawahałby się zamordować biednego Toby'ego. Edwina szczerze martwiła się o chłopca. Dla jego dobra musiała zachować plany Jacka w ścisłej tajemnicy. Sama myślała o tym, że nieszczęsny malec *jest* uwięziony w jakiejś cuchnącej norze przyprawiała ją o drżenie serca. Co mam zrobić, by jak najprędzej go uwolnić? - myślała z rozpaczą. Czuła się tak, jakby ktoś na jej barki włożył ciężkie brzemię.

Nagle usłyszała stukot kopyt. W oddali ukazało się dwóch jeźdźców, okutanych w ciężkie czarne płaszcze. Edwina przestraszyła się, że to znów Jack Pierce i jego tajemniczy kompan. Czyżby wracali? Na wszelki wypadek cofnęła się jeszcze

dalej między drzewa i zatrzymała klacz za rozłożystym krzewem. Krople deszczu bębniły o listowie. Poszycie lasu błyszczało od wilgoci.

Edwina z ukrycia obserwowała drogę. Dopiero z bliska rozpoznała wyższego z jeźdźców. Zesztywniała w swojej kryjówce. To na pewno Adam Rycroft, chociaż twarz ma zasłoniętą rondem kapelusza. Poznałaby go w każdym miejscu i o każdej porze. Obok niego jechał zarządca Taplow Court, William Hewitt, którego pamiętała z dawnych czasów. Tak więc wszystko, co mówił Jack, było prawdą.

Obserwowała ich, gdy wyjechali z lasu i skierowali się na ścieżkę wiodącą do Taplow Court. Chyba wyczuli czyjaś obecność, bo nagle zatrzymali się i jak na komendę spojrzeli między drzewa. W pierwszym odruchu Edwina chciała uciec, w nadziei, że jej nie zauważą. Ale na to było już za późno. Adam powiedział coś do swojego towarzysza. William Hewitt pokiwał głową i pojechał dalej, na szczyt wzgórza, w kierunku dworu. Adam powoli zbliżył się do dziewczyny.

Zatrzymał się i obrzucił ją bystrym spojrzeniem. W jego niebieskich oczach nie było nawet cienia wesołości.

- Edwino! Jak to się dzieje, że zwykle spotykamy się w najmniej oczekiwanych miejscach? Co robisz tutaj, w lesie, w tak paskudną pogodę... i w dodatku sama? - spytał tonem pełnym nagany. Zdawał się nie zauważać jej nadąsanej miny i obrażonych spojrzeń.

Dziewczyna obdarzyła go chłodnym uśmiechem i odrzuciła z twarzy obszuty futrem kaptur bogatej peleryny. W tej chwili chciała być zupełnie sama... ale wiedziała, że Adam tego nie zrozumie. Musiała więc stawić mu czoło.

- Nie twoja sprawa. Chociaż to nawet dobrze, że cię widzę. Mamy dość dużo spraw do załatwienia - oznajmiła stanowczym tonem. Na jej twarzy malowała się powaga.

- W to nie wątpię.

Jego krótka, niemal zdawkowa, odpowiedź rozżłościła ją jeszcze bardziej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, kim jesteś? - zapytała prosto z mostu. - Z jednej strony oskarżasz mnie, że tak długo ukrywałam swoje prawdziwe nazwisko, z drugiej zaś kłamiesz w żywe oczy, ty... ty... hipokryto! Wiem już wszystko. Jesteś hrabią Taplow, właścicielem tego pięknego i przytulnego dworu, czerniejącego na szczycie wzgórza - mówiła dalej. Krótkim gestem wskazała ogromny budynek, ale nie odrywała oczu od twarzy Adama. - Nigdy nie słyszałam o większej podłości, zdradzie i... i...

Głos jej zadrżał i urwała nagle, żeby zaczerpnąć tchu. Nie wiele brakowało, żeby się rozpłakała. Szybko odwróciła głowę i zatrzepotała powiekami, by osuszyć łzy, które cisnęły jej się do oczu.

Adam wziął ją pod brodę i delikatnym, ale stanowczym ruchem zwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Przykro mi, że tak o mnie myślisz - powiedział z niezmaconym spokojem. - Nie chciałem się dopuścić żadnego przewinienia, o które mnie oskarżasz. Nie poczuwam się też do winy. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś powstrzymała się od wyrokowania, zanim wszystkiego ode mnie nie usłyszysz. Owszem, przyznaję, po śmierci kuzyna odziedziczyłem majątek i tytuł hrabiego Taplow, ale zapewniam cię z całego serca, że wcale tego nie pragnąłem. Ten spadek jest dla mnie ciężarem.

Powtarzam ci: nie chciałem żadnych zaszczytów ani pieniędzy po Silasie.

Edwina szarpnęła głową i obrzuciła go złym spojrzeniem. Rozgniewana jego spokojnym zachowaniem, które uważała za szczyt arogancji, dała się ponieść nerwom.

- Nie wierzę ci! - krzyknęła rozpaczliwie. - Och... Jak to możliwe, że ze wszystkich ludzi, którzy mieszkają w Londynie, musiałam spotkać właśnie ciebie?! - dodała z całą pogardą, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć. - Uciekłam od jednego hrabiego Taplow tylko po to, żeby wpaść w ręce drugiego! Pierwszy zrobił ze mnie zbiega i złodziejkę, a drugi ladcownicę! Ha! To mogłoby być nawet śmieszne, gdyby nie było tak tragiczne. Pewnie teraz rechoczesz w duchu ze swoich głupich żartów...

- To nie były żarty, Edwino.

- Nie? Przypomnij sobie, jak mnie traktowałeś, kiedy dla ciebie pozowałam! A co potem? Kto mi zaproponował romans? Och, Adamie... Przecież masz w tych sprawach duże doświadczenie. Powiedz mi, jak wypadłam? Czy w twoich oczach zasłużyłam na miano dobrej kurtyzany? Bo jeśli tak, to chyba mi jesteś winien sowitą zapłatę! Rzadko się trafia dziwka z dobrego domu!

W oczach Adama zatańczyły niebezpieczne błyski. Mocno zacisnął zęby.

- Przestań, Edwino. Nie drażnij się ze mną.

- Na Boga! Co ty wygadujesz?! Mam się z tobą nie drażnić? Jesteś jak ogień, który dotknął świeżego oparzenia! Palisz głębiej i mocniej. Jak mogłeś być aż tak okrutny, tak bezdusznie zapatrzony w siebie, żeby popełnić tę niegodziwość? Kiedy za-

mierzałeś powiedzieć mi, kim jesteś? Dlaczego nie zrobiłeś tego od razu? Dlaczego o takich rzeczach muszę dowiadywać się od innych?

W cieniu drzew widziała tylko jego gorejące oczy.

- Stryj ci powiedział?

- Nie wspomniał o tym nawet słowem. Przekłęty... - odpowiedziała z roztargnieniem.

- To dobrze. Prosiłem go o to. Sam chciałem z tobą porozmawiać.

Edwina szybkim, niemal ukradkowym ruchem otarła łzy z kącików oczu. Nie chciała, żeby Adam widział ją zapłakaną.

- Zaoszczędziłam ci kłopotu. Od razu wszystkiego się domyśliłam, kiedy ujrzałam cię, jak podjeżdżasz z Williamem Hewittem do bramy Taplow Court. Hewitt od dawna jest zarządcą majątku twojego kuzyna. - Nie lubiła kłamać, ale przecież nie mogła mu powiedzieć o swojej niedawnej rozmowie z Jackiem. - Przypominam sobie, że mi coś wspominałeś o drugim domu na wsi. Dlaczego nie powiedziałeś, że to chodzi o Taplow Court? - zapytała, nie bacząc na jego ostre spojrzenia. Adam wyraźnie walczył z narastającym gniewem.

- A po co? - spytał przez zaciśnięte zęby. - Przecież na dobrą sprawę nie miałem żadnego powodu, aby ci o tym mówić. Nie wiedziałem, kim jesteś. Gdybym wiedział, to nasze obecne sprawy wyglądałyby całkiem inaczej.

- Tak, tak... Wcześniej oddałyś mnie w ręce stryja Henry'ego.

- Raczej tak, jeśli już o to chodzi.

Nicznym pantera, zręcznym i błyskawicznym ruchem, Adam zsunął się z siodła i podszedł do dziewczyny.

- Zsiadaj - burknął.

- Nie ma mowy - odpowiedziała twardo, chociaż Adam spoglądał na nią z takim wyrazem twarzy, jakby za chwilę chciał ją zamordować. Uniosła głowę i ścisnęła wodze.

- Deszcz pada. Mam zamiar wrócić do domu.

- Powiedziałem: zsiadaj. Musimy porozmawiać.

Nie posłuchała go, więc chwilę później wyrwał jej wodze z ręki, chwycił ją wpół, bez wysiłku uniósł z siodła i postawił na ziemi. Górował nad nią niczym ciemna, gradowa chmura.

Edwina tylko raz spojrzała na jego zacisnięte usta, rozplómienny wzrok i twarz wykrzywioną w jakimś okrutnym grymasie. Z przerażenia ścisnęło ją w dołku. Przestraszona zerknęła w bok.

Adam niezbyt delikatnym ruchem zmusił ją, żeby popatrzyła mu prosto w oczy.

- Spójrz na mnie, Edwino - rozkazał chłodnym tonem. - Przyjrzyj mi się dokładnie.

Bez oporu spełniła jego polecenie. Była zupełnie dezorientowana. Pierś falowała jej ze wzburzenia.

- Od lat uważam, że nie ma sensu dyskutować z kimś, kto nie chce słuchać - powiedział powoli. - Teraz jednak muszę to zrobić. Nie jestem Silasem. Poprzedni hrabia Taplow już nie żyje... i powinnaś za to być wdzięczna opatrności, która nad tobą czuwała - dokończył z niespodziewaną goryczą.

Edwina przez dłuższą chwilę wpatrywała mu się prosto w oczy. Wyczuwała, że za tymi słowami kryje się coś więcej... Coś o czym nie chciał lub po prostu nie mógł w tym momencie mówić. Czyżby on także nienawidził Silasa? Co między nimi zaszło?

- Masz wrażenie, że cię skrzywdziłem - podjął Adam po krótkim milczeniu. - Jeżeli tak, winien ci jestem szczerze przeprosiny. Ale... - zawiesił głos. - Ale pamiętaj, że to, co między nami zaszło, wynikało ze wspólnej decyzji. Choćbym tego namiętnie pragnął, nie zamierzałem cię do niczego zmuszać...

Edwina poczuła nagle ucisk w gardle. Głośno przełknęła ślinę. Mimo gniewu zrobiło jej się jakoś cieplej na sercu, gdy przypomniała sobie tamtą noc, podczas której leżała w jego silnych ramionach...

Wreszcie stanowczo pokręciła głową.

- I nie zmusiłeś.

Twarz Adama złagodniała nieco.

- Dziękuję.

- Chociaż miałam do ciebie żal, kiedy odwozłeś mnie do domu.

- Tak, wiem o tym. Popełniłem błąd - powiedział cicho. Jakby już z wolna zapominał o niedawnej złości. - Są chwile, w których zachowuję się jak pierwszorzędny głupiec. Wtedy też tak było. Wcale nie jestem dumny z tego, co zrobiłem.

Przez cały tydzień myślał o tym, jak w rozsądny sposób wyjaśnić Edwinie motywy swojego postępowania, jak przyznać się do tego, że jest hrabią Taplow, i jak poprosić ją o rękę. Nie chciał, aby myślała, że jest skłonny do małżeństwa wyłącznie dlatego, że ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co zaszło w Londynie. Na to była zbyt dumna i na pewno odrzuciłaby jego oświadczenia. Nie mógł też się przyznać, że uzyskał już zgodę jej stryja. Tylko przez moment przemknęło mu przez myśl, że jej chwilowa złość może się przerodzić w trwałą

niechęć. W duchu wiedział, że Edwina pragnie uczucia i miłości.

- Pominąwszy tę krótką chwilę, kiedy cię znałem jako chłopca - dodał - przez cały czas widziałem w tobie młodą i niewiarygodnie piękną kobietę. Oszołomiła mnie twoja uroda. Prawdę mówiąc, w ogóle nie byłem przygotowany na taką niespodziankę. Każdego dnia chłonałem twój niezwykle widok jak wygłodniały nędzarz, klęczący przed suto zastawionym stołem. Byłaś tak blisko, zaledwie na wyciągnięcie ręki... Myśl o tobie stawała się dla mnie prawdziwą torturą. Chytrze schwytałaś mnie w pułapkę, moja ukochana. Wpadłem w panikę, kiedy wróciłem z Taplow Court i dowiedziałem się, że nadal chcesz wyjechać do Francji. Myślałem, że cię stracę.

- Ujął jej podbródek i z napięciem spojrzał prosto w oczy. - Po tej cudownej nocy, którą spędziliśmy razem, poczułem, że pragnę cię jeszcze bardziej. Zamierzałem ci to powiedzieć trochę później, ale... Czy zechcesz zostać moją żoną?

Serce jej zamarło w piersiach.

- Co takiego? - szepnęła.

- Chciałbym być twoim mężem.

Edwina otworzyła usta, ale minęło kilka sekund, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- To... to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Choćby z powodu tego, kim naprawdę jesteś... Nadal nie mogę się uwolnić od myśli o Silasie. A poza tym twoje niedawne zachowanie...

- To zbyt mało, żeby mi odmówić. W tej chwili przemawia przez ciebie jedynie duma i niemądry upór. Lepiej posłuchaj

głosu swojego serca, Edwino. Chcesz zaprzepaścić taką szansę w imię pustych ambicji? - spytał urągliwym tonem. - Chcesz innie ukarać za zbrodnie mojego kuzyna?

- Nie... Ale byliście blisko spokrewnieni. To wystarczy. Jeżeli honor nakazuje ci pojąć mnie za żonę, to możesz poczuć się zwolniony ze wspomnianego obowiązku. Zrozum, że nie mogę wyjść za ciebie, Adamie.

- Nasze małżeństwo już zostało skonsumowane - zauważył rzeczowym tonem. - Pozostaje nam dopełnić jedynie pewnych formalności - dodał o wiele ciszej i dużo łagodniej.

Edwina zaczerwieniła się, słysząc jego słowa. Ze strachem pomyślała o tym, że jeszcze chwila i Adam mimo wszystko zdoła ją przekonać do swoich planów. Na to zaś przecież nie mogła mu pozwolić...

A jeśli już noszę jego dziecko? - przemknęło jej przez głowę.

- To chyba niezbyt dobry początek stałego związku - wybąkała.

- Nie zaciągnąłem cię do łóżka na siłę, Edwino - odparł. - Sama podjęłaś tę decyzję... i chyba jej nie żałowałaś. Wręcz przeciwnie, odniosłem wyraźne wrażenie, że tamta noc sprawiła ci wiele przyjemności. Zgoda... - powiedział nagle. - Jeżeli nie chcesz, to na razie na nic cię nie namawiam. Na pewno chciałybyś mieć nieco więcej czasu, żeby przemyśleć moją propozycję. Ostrzegam jednak, że w końcu będziesz moją żoną.

Dziewczyna spuściła oczy. Długie rzęsy kładły się niczym dwa ciemne wachlarze na jej zaróżowionych policzkach. Adam popatrzył na jej pięknie wykrojone usta, miękkie i róż-

żowe... Usta, które były stworzone do całowania. Dobrze pamiętał ich słodki dotyk.

Nagle zrozumiał, że znów musi ją pocałować.

Słyszając namiętność w jego głosie, Edwina z wolna uniosła głowę. Usta Adama były oddalone o zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Westchnęła cicho, jakby wiedziała, co się stanie, jeśli go w porę nie powstrzyma.

- Nie - wyszeptała.

Powoli pokręciła głową i cofnęła się o pół kroku, lecz Adam w tej samej chwili błyskawicznie złapał ją za rękę i szarpnął ku sobie. Spojrzał jej prosto w oczy i niemal bezgłośnie poruszył wargami.

-Tak.

Otoczył ją ramionami. Edwina jeszcze przez parę sekund próbowała się opierać. Cichy jęk protestu uwiązał jej w gardle, zduszony przez namiętny pocałunek Adama. Zapomniała o wszystkim i odruchowo rozchyliła usta. Podświadomie czekała na tę chwilę... Już nie była tą samą niewinną dziewczyną co niegdyś. Dobrze zdawała sobie sprawę z własnego podniecenia. Pocałunek Adama przywołał w jej pamięci inne, choć równie słodkie i rozkoszne zdarzenia...

Adam wciąż trzymał Edwinę w objęciach, jakby za wszelką cenę pragnął jej przekazać własną siłę. Z trudem udało mu się zapanować nad uczuciami.

Pomału, jakby z ociąganiem, oderwał usta od ust Edwiny.

- Jeśli mnie zaraz nie powstrzymasz... - szepnął chrapliwie, obsypując pocałunkami jej twarz, oczy i szyję - to zapomnę o bożym świecie, rzucę cię na ziemię i powtórzę to, co razem zrobiliśmy w Londynie...

Ale Edwina wydała z siebie tylko zduszony jęk. Z wolna zapadała się w bezdenną otchłań nieziemskiej rozkoszy.

Wreszcie Adam puścił ją, przetarł twarz ręką i odstąpił pół kroku, a ona z bijącym sercem wodziła za nim wzrokiem. W jego oczach ujrzała tyle czułości, że zapomniała o poprzed---

gniewie.

- Widzisz... - mruknął Adam. - Nic się nie zmieniło.

Dziewczyna jak we śnie pomału pokiwała głową.

- Tak - powiedziała bez uśmiechu. - Chyba masz rację.

- Nie walcz z tym - odparł. - Jesteś moja. Należysz wyłącznie do mnie. Byłaś moja od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem... i zawsze będziesz. Chodź. - Wyciągnął do niej rękę. - Zdaje się, że przestało padać. Zanim zupełnie stracę rozum, odwożę cię do domu.

- Dobrze... - Nareszcie lekki, rozedrgany uśmiech niczym promień słońca rozjaśnił jej twarz. - Prawdę mówiąc, nie miałam siły ani zbyt wielkiej ochoty dłużej się przed tobą bronić. Ale masz rację, na dziś wystarczy. Wrócę sama.

- Nie - stanowczo sprzeciwił się Adam. - Tu nie St Giles. Chyba nie muszę ci przypominać, że młode damy nie mogą same jeździć konno po mrocznym lesie. Za dużo kręci się w pobliżu różnych włóczęgów, obdartusów i wykolejeńców. Bratanica barona i przyszła hrabina Taplow nie powinna poruszać się bez eskorty.

Znaczącym tonem wspomniał o czekających ją zaszczytach, jednak ona nic na to nie odpowiedziała. To była zbyt poważna sprawa, żeby roztrząsać ją na leśnej drodze. Potrzebowała odrobiny... samotności, aby to dokładnie przemyśleć.

Dosiadła Tancerki i pojechała przodem wąską ścieżką.

Adam wskoczył na swojego konia i ruszył za nią. Nie mógł się na nią napatrzeć. W szerokiej zielonej sukni do konnej jazdy, na damskim siodle, wyglądała po prostu prześlicznie. W lesie panowała uroczysta cisza. Słysząc było jedynie cichy szmer kropel kapiących z mokrych liści. Edwina prowadziła klacz zręczną dłonią, prosta jak świeca, dumna i opanowana. Spod kaptura wymykały jej się kosmyki złocistych włosów.

Adam domyślał się, że po ostatnich wydarzeniach trochę przekonał ją do siebie. Przecież sama przed chwilą otwarcie przyznała, że nie może oprzeć się jego pieszczotom i pocałunkom. On zaś z kolei, ze względu na niecodzienną naturę ich związku, nie mógł jej adorować w zwykły, ogólnie przyjęty sposób. Wiedział jednak, że już mu niewiele brakuje do pełnego zwycięstwa. Ani przez chwilę nie wątpił w to, że Edwina w końcu zostanie jego żoną. Kłopot w tym, że pożądał jej już teraz, i to bez względu na konsekwencje. Znalazł się całkowicie pod jej urokiem, schwytyany w pułapkę własnych namiętności.

Odezwała się dopiero wtedy, kiedy wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń.

- Odziedzyczyłeś Taplow Court... - powiedziała jakby z namysłem. - Chcesz tam zamieszkać?

- Prawdę mówiąc, tak - odparł Adam. - Chociaż zachowam dom w Londynie.

- Nie przeszkadza ci, że po tak długim pobycie w wielkim mieście nagle osiądziesz na wsi, z dala od wszystkich znajomych i przyjaciół, pozbawiony dawnych rozrywek? Twoje życie stanie się niesłychanie nudne i... jak by to powiedzieć? Prowincjonalne.

- Nie wiem. Jak każdy mężczyzna lubię łowić ryby i polować. To sprawia mi przyjemność... chociaż teraz, kiedy patrzę na ciebie, Edwino, umiem myśleć wyłącznie o innych przyjemnościach.

Obrzucił ją przeciągłym, pieszczotliwym spojrzeniem, które wywołało rumieniec na jej policzkach.

- Jesteś niemożliwy - skarciła go łagodnie.

- Masz mi to za złe, moja miłości? - spytał bez cienia wstyd lub zażenowania. Wręcz przeciwnie, spoglądał na nią, bezczelnie szczerząc zęby.

- Nie. A teraz może wreszcie znajdziesz chwilę, żeby poważnie odpowiedzieć na pytanie. Co zamierzasz?

Adam popatrzył na jej roześmiane usta. Miał szczerą ochotę znów ją pocałować. Zamiast tego westchnął teatralnie i lekko ściągnął wodze, żeby objechać pień zwalonego drzewa.

- W pierwszej chwili nie miałem ochoty na przeprowadzkę - przyznał. - Moje wspomnienia związane z tym miejscem nie należą do najprzyjemniejszych.

Skrzywił się, jakby nie bardzo chciał do tego wracać.

- Jednak to spory dom i nie może stać pusty. Postanowiłem urządzić w nim atelier. Główną przeszkodą jest brak odpowiedniego światła. Można temu zaradzić wyłącznie na najwyższym piętrze.

- Nadal będziesz malował?

- Oczywiście! Chociaż... wyłącznie dla własnej przyjemności. Już odwołałem wszystkie zamówienia i nie przyjmuję nowych zleceń, choćby wydawały się bardzo intratne. W przyszłym tygodniu - kiedy będę w Londynie - robotnicy zajmą

się remontem strychu i górnych pięter. Chcę wybić świetlik w dachu...

- Dlaczego musisz znów wyjechać? - przerwała mu Edwina. Poczwała w sercu ukłucie. Wbrew sobie niechętnie myślała o rozstaniu.

- Ciągłe szukam Toby'ego. Jeden z ludzi wynajętych przeze mnie do dalszych poszukiwań wspomniał mi, że podobnego chłopca widziano gdzieś w Wapping.

Edwina zbladła i wbiła wzrok w ziemię, żeby nie zauważył jej zmieszania. Jeszcze do końca nie ochłonęła po spotkaniu z Jackiem. Coś jej podpowiadało, że powinna powiedzieć Adamowi o wszystkim, co dzisiaj zaszło. Bała się jednak, że Jack Pierce spełni swoją groźbę i zabije chłopca, zanim ktoś zdąży pośpieszyć mu z pomocą.

- Zorganizowałem też zamknięty pokaz twojego portretu w Royal Academy - ciągnął Adam. - Przede wszystkim dla grona znajomych artystów i dziennikarzy z Fleet Street. Na publiczną prezentację przyjdzie czas później. Twój stryj też bardzo chce zobaczyć ten obraz... Mam nadzieję, że zaszczyisz pokaz swoją obecnością. Nie możesz odmówić.

Edwina spojrzała na niego spod oka.

- To rozkaz, Adamie?

Uśmiechnął się i popatrzył na nią ciepłym wzrokiem.

- Tak... rozkaz, ale pokorny.

Dziewczyna milczała przez chwilę. Duma walczyła w niej z ciekawością. Prawdę mówiąc, chciała być na tym pokazie i na własne oczy zobaczyć reakcję publiczności.

- Twój udział będzie korzystny dla nas wszystkich - półgłosem dodał Adam. - Chcę cię pokazać moim przyjacio-

łom. Niech zobaczą, jaką mam piękną, uroczą i zniewalającą uwodzicielską muzę. Wiele osób będzie na pewno pytało, kim jest ta młoda dama, widoczna na portrecie? Lecz możesz być pewna, że nie chcę cię do niczego zmuszać. Możesz przyjść w suto upudrowanej peruce, kryjąc twarz pod maską - zakończył lżejszym, nieco kpiącym tonem.

- Nie wiem... Powiesz im, kim jestem? Zdradzisz moje imię?

- Tylko jeśli sama mi na to pozwolisz. Chociaż teraz, kiedy zawarłaś rozejm ze stryjem, chyba nie masz już żadnych wyraźnych powodów, by dalej się ukrywać... Spodziewam się, że porozmawiał z tobą całkiem szczerze?

- Tak, tak... Częściowo rzeczywiście doszliśmy do porozumienia. Ale nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione.

- Już nie wierzysz, że to on zabił twojego ojca?

Edwina zagryzła usta i pokręciła głową. Nie była przygotowana na tę falę smutku i bolesnego przygnębienia, która ją ogarnęła na wspomnienie tragicznej śmierci Gordona Marchanta.

- Nie. Teraz wiem, że oskarżałam go zupełnie niesłusznie. Przecież nie miałam żadnych dowodów na potwierdzenie moich podejrzeń. Stryj powiedział mi, co się wtedy stało... To Si-las był mordercą. - Urwała, żeby popatrzeć na Adama. - Wiedziałeś o tym, prawda? Musiałeś wiedzieć, skoro nalegałeś na to, żebym jak najprędzej wróciła do domu i pogodziła się ze stryjem?

- Tak. Sir Henry przedstawił mi przebieg wypadków. To było w dniu, w którym przyjechałem do niego porozmawiać o dawnym długi. Znałem mojego kuzyna na tyle, aby wie-

dzieć, że mógł się dopuścić takiej zbrodni. Nie była to dla mnie żadna niespodzianka. Bardzo kochałaś ojca?

- Tak. Jego śmierć była dla mnie ogromną tragedią. Kochałam go niewinną, dziecięcą miłością... a on odpłacał mi podobnym, najszczerzym uczuciem. Zawsze będę go nosić w sercu.

Adam przyglądał się jej w milczeniu. Przez chwilę zamiast młodej, odważnej, lecz smutnej kobiety zobaczył osamotnione i przestraszone dziecko. Przy okazji przypomniał sobie małego ulicznika, którego niegdyś poznał w zaułkach St Giles. Złodziejaszka, który próbował ukraść mu zegarek. Poczłwał nagle wzruszenie na widok przygnębionej twarzy Edwiny.

- Dobrze pamiętam, jak sam się czułem, kiedy straciłem ojca - odezwał się ze współczuciem. - Rozumiem cię. Chcesz o tym porozmawiać? Zawsze znajdziesz we mnie chętnego słuchacza.

Pokręciła głową.

- Nie. Ta sprawa już jest dla mnie zamknięta. Wyrok zapadł: sprawca lub sprawcy nieznani. Nie ma sensu tego rozgrzebywać. Silas nie żyje. Był złym człowiekiem, więc - niech mi Bóg wybaczy - cieszę się, że umarł. Przynajmniej wiem, że nie skrzywdzi nikogo innego. Choć umknął sprawiedliwości, prawda? Z zimną krwią popełnił przeokropną zbrodnię, lecz nie poniósł kary.

Adam z goryczą przypomniał sobie inne morderstwo, dokonane przez Silasa Clifforda na ojcu Toby'ego. Nawet po tylu latach nie potrafił wybaczyć zmarłemu kuzynowi jego postępków. Dawna nienawiść niczym ogień zapłonęła w żyłach.

- Toby... - odezwała się nagle Edwina, jakby czytała w jego

myślach. - Nigdy mi o nim nie mówiłeś. To, że zniknął, też ma jakiś związek z Silasem?

Adam zacisnął zęby.

- Jak najbardziej - powiedział złowrogim i posepnym tonem. - Niech go piekło pochłonie... Jego siostra, Olivia, pokochała kamerdynera, niejakiego Josepha Tyke'a. Silas dowiedział się, że zaszła w ciążę. Zabił jej kochanka, a ją samą wypędził. Dolly widziała to na własne oczy. Olivia zamieszkała u rodziców Josepha w St Albans. Kiedy umarli, ich krewni też się jej wyparli. Zrozpaczona i śmiertelnie chora zwróciła się o pomoc do brata. Przyjął ją, ale po jej śmierci wylał całą żołąć na Toby'ego. Nienawidził go zresztą od dnia narodzin. Ledwie Olivia zamknęła oczy, oddał chłopca jakimś włóczęgom.

Edwina słuchała tej opowieści w milczeniu, szeroko rozwartymi oczami patrząc na Adama. Była przerażona na wieść o kolejnych zbrodniach Silasa Clifforda, w dodatku popełnionych na najbliższej rodzinie. Mimo woli rozplakała się.

- To najstraszniejsza rzecz, jaką słyszałam - powiedziała, ocierając łzy z policzków. - Biedny chłopiec... Nigdy nie mogłam uwierzyć, że ludzie bywają zdolni do tak potwornych czynów. Ile okrucieństwa mieści się w człowieku? Dlaczego Silas nie poniósł za to najmniejszej kary? Dlaczego Olivia nie przyszła z tym do ciebie zamiast do niego?

- Owszem, pisała do mnie z błaganiem o pomoc, ale ja w tym czasie byłem za granicą. Nie dostałem jej listu. Kiedy go przeczytałem, było już za późno. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego chcę znaleźć Toby'ego. To dla mnie bardzo ważne.

- Oczywiście, rozumiem. Byłeś przy śmierci jego ojca?
- Nie. Gdybym tam wtedy był, to chyba zabiłbym Silasa własnymi rękami.

Adam zobaczył łzy w jej oczach. Zatrzymał konia. Wyjął chusteczkę z kieszeni i delikatnie osuszył twarz dziewczyny.

- Nie płacz. Obiecuję ci, że znajdę Toby'ego, choćbym miał obejść wszystkie budynki w Londynie. Zamieszka ze mną, bez względu na wszystko.

- Mam nadzieję, że tak się stanie.

- Gdybym mógł zdjąć ci z serca ciężar, którym obarczył cię mój kuzyn, Edwino, uczyniłbym to zaraz, z największą radością. Niestety, to niemożliwe. Przrzekam ci jednak, że jako moja żona nie zaznasz już żadnego nieszczęścia.

- Dziękuję - szepnęła. Już wcześniej wyczuła w nim wrodzoną dobroć, więc choć skrywał ją głęboko przed światem, dla niej jego słowa nie były zaskoczeniem. Wyciągnęła do niego rękę. Adam uścisnął jej dłoń, jakby w ten sposób chciał jej przekazać nieco własnej energii i siły. Jakby chciał ją pocieszyć...

- Mówiłam ci już kiedyś, że jesteś naprawdę dobry? - spytała. - Nigdy przedtem nie znałam równie czułego mężczyzny. ..

Uśmiechnął się, najwyraźniej z lekkim zakłopotaniem. Pewnie trochę się zdziwił, że ich rozmowa przybrała tak niecodzienny obrót. Zaraz jednak odzyskał swój dawny styl i popatrzył na nią z wyższością.

- Nie mówiłaś - odparł - i prędzej bym się spodziewał, że raczej nazwiesz mnie „pociągającym” lub coś w tym rodzaju. Oczekiwałem wyznania w stylu: „Życie bez ciebie nie mogę!

Każda chwila rozstania jest dla mnie torturą". Ale przymiotnik „czuły” też może być dobry na początek...

Sir Henry Marchant właśnie zmierzał do swego gabinetu, kiedy w progu stanęła Edwina. Stryj spojrzął na jej błyszczące oczy i zarumienione policzki. Zatrzymał się w pół kroku.

-Widzę, że pokraśniałaś po dzisiejszej przejażdżce - zauważył. - To dobrze. Od powrotu byłaś strasznie blada.

- Owszem, mimo deszczu, bawiłam się wspaniale - odparła. Wolała myśleć o spotkaniu z Adamem niż o okropnej rozmowie z Jackiem. Zdjęła płaszcz i podała go służącej.

- Dziękuję, Mary. Rozwieś go, żeby wysechł, dobrze?

Mary zniknęła w głębi domu, aby spełnić jej prośbę. Edwina popatrzyła stryjowi prosto w oczy.

- Po drodze spotkałam Adama - powiedziała, zdejmując rękawiczki.

Sir Henry gwałtownie uniósł głowę.

- Ach, tak? Wciąż jesteś na niego zła za to, że sprowadził cię z powrotem do domu?

- Nie, już nie. Prawdę mówiąc, trochę się nawet wstydzę swojego zachowania. Chyba rozumiem jego racje. Wróciliśmy dziś razem.

Nie odrywając wzroku od twarzy stryja, podeszła nieco bliżej.

- Wiem, kim jest Adam, stryju. Kuzynem Silasa Clifforda.

- Hm... - westchnął Marchant. - Sam ci to powiedział?

- Zobaczyłam go jadącego w stronę Taplow Court w towarzystwie Williama Hewitta... i domyśliłam się wszystkiego. Byłam głupia, że nie spostrzegłam tego znacznie wcześ-

niej. Przecież widać to było jak na dłoni. Dobrze pamiętam jego zachowanie, kiedy dowiedział się, kim jestem. W pierwszej chwili nie rozumiałam, dlaczego się rozżłościł. Owszem, zdziwiła mnie wasza znajomość, ale nie myślałam...

- Sam bym ci to powiedział, ale pan Rycroft kazał mi trzymać język za zębami - wpadł jej w słowo sir Henry. - Podobno czekał na właściwy moment. Co teraz czujesz, wiedząc, że jest hrabią Taplow, kuzynem Silasa Clifforda... i właścicielem pokaźnego majątku?

- Prawdę mówiąc, stryju, to zupełnie nie wiem, co myśleć. Dzisiaj poprosił... poprosił mnie o rękę. Podejrzewam, że o tym też wiedziałeś.

- Uprowadził mnie, że nosi się z takim zamiarem. Przyjąłś go? A może chociaż obiecałś, że przemyślisz swoją odpowiedź?

- Tak, przemyśle. Adam Rycroft nie jest człowiekiem, o którym można łatwo zapomnieć.

Westchnęła ciężko i powoli podeszła w stronę schodów. Słowa Adama ciągle dźwięczały jej w uszach.

Gdyby nie wspólna noc, którą spędziła z nim w Londynie, o wiele łatwiej byłoby jej podjąć stosowną decyzję. Adam na pewno wiedział o tym, że piekielnie trudno mu się oprzeć. Poza tym, w pewnym sensie czuła się odpowiedzialna za wszystko, co zaszło. Jak miała teraz odrzucić jego atencje, skoro nie tak dawno pozwalała, żeby ją pieścił i całował? I skoro znalazła się z nim w jednym łóżku?

- Adam jutro wyjeżdża do Londynu. Nie będę się z nim widziała, dopóki nie pojedziemy tam na prezentację mojego portretu. To daje mi dwa lub trzy tygodnie na przemyślenie

jego propozycji. Pytanie brzmi: jak mogę go poślubić, stryju? Jak mogę wprowadzić się do domu, w którym niegdyś mieszkał zabójca mojego ojca?

Tydzień później Edwina z niepokojem stwierdziła, że nie ma miesiączki. Rozwiązanie przyszło więc samo - musi wyjść za Adama.

Rozdział trzynasty

Galeria nowo powstałej Royal Academy of Arts na Pall Mall skrzyła się setkami świateł. W pobliżu wejścia kłębił się tłum możnych i artystów, pisarzy oraz dziennikarzy. Widać było wykwintne damy - z upudrowaną twarzą i szminką na ustach - i eleganckich dżentelmenów. Pióra powiewały na wysokich perukach, a tu i ówdzie mignęła modna muszka na czymś policzku. Żadnych przygodnych gości. Każdy z wchodzących miał w ręku zaproszenie lamowane złotem.

Wyfraczeni lokaje powoli przeciskali się przez gęstniejącą ciżbę, roznosząc szampana. Wystawione płótna budziły powszechną ciekawość. Zwłaszcza jeden portret zgromadził okazałe grono widzów. Ci z tyłu napierali na stojących z przodu, żeby lepiej zobaczyć to dzieło.

Tajemnicze zachowanie Adama Rycrofta od dawna budziło ciekawość londyńskich plotkarzy. Wszyscy zastanawiali się, kim była jego nowa muza. Wypatrywano jej wśród przybyłych gości. Kto to jest, do diaska? - padały pytania. Jedni trochę awansem chwalili jej niezmierną urodę. Inni, bardziej sceptyczni, niecierpliwie czekali, aż sami ją zobaczą. Zawistni

odsądzała ją od czci i wiary. Krótko mówiąc, w towarzystwie wrzało.

Kiedy wreszcie Edwina stanęła w drzwiach galerii, wsparta na ramieniu stryja Henry'ego, zobaczyła przed sobą morze roześmianych, szepczących i ciekawskich twarzy. Ze zdenerwowania ścisnęła ją w dołku. Po prostu się bała. Już dawno żałowała, że dała się namówić na wyjazd z Hertfordshire. Ale w Oakwood Hall było strasznie nudno - i pusto bez Adama. To on jak magnes przyciągnął ją do wielkiego miasta.

Lecz z drugiej strony istniał jeszcze jeden, bardziej złowrogi powód jej przyjazdu. Oczywiście chodziło o Jacka Pierce'a. Edwina nie widziała go od czasu pamiętnej rozmowy w lesie pod Taplow Court. Zdawała sobie sprawę, że jest śledzona. Milczący towarzysz Jacka, który był z nim w lesie, ciągle kręcił się w pobliżu Oakwood Hall. Edwina widywała go nawet dość często, bo wcale nie próbował się przed nią ukrywać. Podczas konnych przejażdżek - a od tamtej pory zawsze jeździła w towarzystwie któregoś ze służących albo stajennych - spotykała go, jak bezczelnie stał na skraju drogi, niedbale oparty o drzewo. Na pozór nie zwracała na niego uwagi, ale drażniła ją swą stałą obecnością. Świadomość, że jest nieustannie obserwowana, działała jej na nerwy. Była pewna, że ten człowiek przyjechał teraz w ślad za nią do Londynu. Chciała z kimś podzielić się swoją tajemnicą, ale nie mogła, przede wszystkim ze względu na Toby'ego. Obiecała sobie, że nie narazi chłopca na śmiertelne niebezpieczeństwo. Musi cierpieć w milczeniu.

Codziennie po cichu modliła się do Boga o jakąś radę. Ale ze smutkiem przyznawała, że po wszystkich większych i mniejszych grzechach, które popełniła w St Giles, nie zasłu-

guje na boskie miłosierdzie. Musiała być gotowa na spotkanie z Pierce'em - chociaż nieraz myślała o tym, żeby wziąć sprawę w swoje ręce i odwiedzić go w mieszkaniu na Fleet Street. Nie wiedziała jednak, co mu powiedzieć. A sprawa biednego Toby'ego leżała jej na sercu. W dniu otwarcia wystawy z trudem panowała nad zdenerwowaniem. Prawdę powiedziawszy, była niemal u progu skrajnego załamania.

Z mocno bijącym sercem patrzyła na tłum podekscytowanych gości. W pewnej chwili zerknęła na stryja, jakby szukając u niego choć cienia pociechy. Sir Henry wyglądał dziś olśniewająco. Miał białą perukę, ciemny płaszcz, suto przetykany brokatem i obcisłe spodnie z białej satyny.

- Dobry Boże! Nawet nie sądziłam, że przyjdzie aż tyle osób! - szepnęła do niego z lekkim przerażeniem.

Na poważnej twarzy sir Henry'ego zagościł rzadko widziany uśmiech. Stryj z wyraźnym uznaniem spoglądał na gości. Jego oczy załśniły niecodziennym blaskiem - jak zawsze, gdy przebywał w dobrym towarzystwie albo mógł obcować z prawdziwymi dziełami sztuki. Wśród zgromadzonych widzów rozpoznał wiele znanych twarzy, lecz największe wrażenie wywarła na nim obecność sir Reynoldsa. Udział słynnego portrecisty, a zarazem wielkiego człowieka znacznie podnosił w jego oczach wartość wydarzenia.

Niemal nie wierzył swojemu szczęściu. Znalazł się w takiej kompanii! Nie zapomniał, że zawdzięcza to wyłącznie Edwinie. Jego świat stał się większy i wyszedł poza granice Oakwood Hall i Hertfordshire. Sir Henry niecierpliwie czekał na to, by zobaczyć nie tylko portret swojej bratanicy, ale też inne płótna zgromadzone na wystawie.

Wyczuł pełne napięcia spojrzenie Edwiny, więc odwrócił się i ze współczuciem popatrzył na jej pobladłą twarz.

- Nie przejmuj się, moja droga - powiedział uspokajającym tonem, bez cienia wątpliwości. - Wszystko będzie dobrze.

Edwina mogła jedynie mieć nadzieję, że się nie pomylił. Twarze widzów zlewały jej się przed oczami w kolorową rozmazaną plamę. Prawdę mówiąc, szukała zupełnie kogoś innego. Na szczęście znalazła go po krótkiej chwili, bo był najwyższy w tłumie. Stał po drugiej stronie galerii pograżony w poważnej rozmowie z jakimś dżentelmenem. Obaj nie zwracali uwagi na hałaśliwych gości, ale Adam Rycroft przyciągał najwięcej ciekawych, niemal bałwochwalczych spojrzeń.

Na jego widok serce zatrzepotało w piersiach Edwiny. Musiała przyznać, że Adam świetnie przygotował się na tę okazję. Wyglądał wprost olśniewająco, w koronkowej koszuli i brązowym aksamitnym surducie. Kremowe spodnie, białe pończochy i złota kamizelka wyszywana srebrną nicią dopełniały reszty. Długie włosy jak zwykle luźno związał na karku. Jego niebieskie oczy błyszczały prawdziwą satysfakcją i zawodową dumą ze wspaniale wykonanej pracy. Za jego plecami wisiał portret Edwiny.

- Adam jest tutaj - szepnęła prawdziwa Edwina do stryja.

- Tak, widzę - odparł również szeptem. - Rozmawia z do-prawdy wielkim człowiekiem.

Edwina lekko zmarszczyła brwi i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Kto to?

Sir Henry uśmiechnął się szeroko.

- Jak to kto? Droga Edwino, przecież to nikt inny, jak sir Joshua Reynolds we własnej osobie!

- Boże! - zająknęła się dziewczyna. - Tylu tu sławnych ludzi, że aż się trochę boję.

Henry delikatnie uściśnął jej rękę.

- Nie masz czego. Na pewno olśniesz ich swoją urodą.

Popatrzył na nią spod oka. Wciąż nie mógł się nadziwić, że wyrosła na tak piękną młodą damę, pewną siebie i może nawet nieco ekscentryczną, o dziwnych upodobaniach. Ale nie skłamał ani trochę, chwając jej urodę. Chociaż ostatnio... na jej twarzy zagościł jakiś przejmujący smutek. Czyżby kłopoty? - rozmyślał stryj Henry. Nie chciał jej zbyt nagały, żeby nie posądziła go o wścibstwo. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że sprawa - cokolwiek by się za nią kryło - jak najszybciej znajdzie skuteczne rozwiązanie. Henry jeszcze przez chwilę spoglądał na bratanicę, a potem odwrócił się, odwołany przez jednego z przyjaciół, który pragnął się z nim przywitać.

Edwina mocniej ścisnęła wachlarz w dłoni obleczonej jedwabną rękawiczką. Nerwowo weszła w głąb galerii. W tłumie poczuła się całkiem mała. Zauważyła, że Adam uniósł głowę. Popatrzył na nią - i w jego oczach błysnęło radosne zdziwienie. Edwina wpatrywała się w niego z bijącym sercem. Przez wszystkie dni, kiedy był daleko, tęskniła za nim aż do bólu. Adam natychmiast przeprosił swego towarzysza i przeszedł przez całe długie pomieszczenie, żeby ją powitać. Poruszał się z wrodzoną naturalną gracją, która stanowiła część jego uroku. Kiedy podszedł bliżej, swoją barczystą, wysoką sylwetką wydawał się odgradzać Edwinę od wszystkich niebez-

pieczeństw zewnętrznego świata. Spojrzał jej prosto w twarz i uśmiechnął się - jakby niepewnie.

Powoli ujął jej rękę i zbliżył usta do dłoni. W jego spojrzeniu czaiła się nieskrywana duma. Widział rumieniec na policzkach Edwiny i światło gwiazd zakłęte w jej szmaragdowych, uśmiechniętych oczach. Przypominał teraz głodnego wędrowca, którego nagle posadzono przed stołem uginającym się od wszelkiego jadła.

- Edwino? - odezwał się niemal szeptem. - Jestem niezmiernie rad, że jednak zdecydowałaś się przyjechać.

- Obiecywałam ci, że będę - odpowiedziała z lekkim zdenerwowaniem. Ciepły tembr głosu Adama sprawił, że rozkoszne ciarki przebiegły jej po plecach. Choć znali się już dosyć długo, wciąż była pod wrażeniem emanującej z niego niezwykłej, prawie zwierzęcej siły. Stała więc nieruchomo, na oczach całego świata. A pod sercem nosiła dziecko poczęte z ich miłości.

- Mówiono mi, że zajechałaś do Londynu już przed kilkoma dniami. Z całego serca chciałem cię odwiedzić, ale wciąż zatrzymywały mnie liczne obowiązki. Zachowałaś się bardzo dzielnie, przychodząc tu bez maski.

- Prawdę mówiąc, chciałam przyjść incognito - i z tego, co tutaj widzę, nie byłabym osamotniona - dodała.

Istotnie po galerii kręciło się wiele kobiet w maseczkach i wysokich, obficie pudrowanych perukach.

- W końcu jednak doszłam do wniosku, że masz rację, Adamie. Nie mam potrzeby się ukrywać. A poza tym posta-

Te słowa wymagały od niej odwagi, bo przed oczami znów stanęła jej złośliwie uśmiechnięta twarz Jacka Pierce'a.

- Cieszę się, że to słyszę - odparł Adam.

Edwina rozejrzała się po sali. Zauważyła, że od kiedy znalazła się w galerii, śledziły ją dziesiątki oczu. Początkowo było to jedynie zdawkowe zainteresowanie, jak na widok każdej nowej twarzy. Dopiero widok Adama u jej boku sprawił, że wśród gości przebiegł szmer podniecenia.

- Wszyscy w pewnym momencie odkrywają, kim jestem - uśmiechnęła się Edwina. - Im prędzej, tym lepiej.

Adam zauważył w niej jakąś nową determinację, podbudowaną doświadczeniem. Ale zdążył ją poznać już na tyle dobrze, że podświadomie, jakimś szóstym zmysłem, wyczuł coś złego. To nie było zwykłe zdenerwowanie ani trema. Na twarzy Edwiny malowało się napięcie. Oczy miała zbyt duże i błyszczące... ten wymuszony uśmiech...

Adam spowaźniał.

- Powiedz mi prawdę, jak się czujesz?

Edwina roześmiała się nieszczerze, aby pokryć swoje zakłopotanie. Jednak Adam nie dał się zbyć i nadal świdrował ją wzrokiem. Czuła się winna. Tak bardzo chciała wszystko mu powiedzieć... i nie mogła.

- Wszystko w porządku, Adamie. Możesz mi wierzyć. Nie martw się o mnie.

Nie zdołała go przekonać.

- Co znów ukrywasz? - zapytał bez ogródek.

Serce Edwiny załopotowało jak spłoszone ptaszę. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. W milczeniu potrząsnęła głową i skierowała na Adama błagalne spojrzenie. On zaś popatrzył jej

prosto w oczy, ujrzał niepokój - i zakiełkowała w nim natrętna myśl: czyżby Edwina była w ciąży?

- Jak to - ukrywam? - spytała nieco rozedrganym i przyciszonym głosem. Nie potrafiła znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi. - Obawiam się, że nie całkiem cię rozumiem, Adamie. Nie wiem, o co ci chodzi. Nie mam nic do ukrycia.

W uszach znów zadźwięczały jej złowrogie groźby Jacka Pierce'a. To wystarczyło, żeby zmusiła się do spokoju. Z pozorną beztroską powiodła wzrokiem po galerii. A że myślała tylko o nieszczęsnym losie Toby'ego, nawet do głowy jej nie przyszło, że Adam mógł inaczej zrozumieć jej zachowanie.

- Nie udawaj, Edwino - powiedział, mrużąc oczy. - I tak ci nie wierzę. Wyraźnie widzę, że coś się z tobą dzieje, i wiem, że milczenie nic tu nie pomoże. Porozmawiamy później - dodał cicho. Wolał nie drażnić tej sprawy w obecności tylu wścibskich świadków.

Edwina domyślała się, że jeśli on zechce, to bez większego trudu zdoła z niej wyciągnąć całą prawdę. I co wtedy? Przez jedną ulotną chwilę poczuła, że jej opór słabnie. To było ostrzeżenie. Musi być twarda i nadzwyczaj czujna, żeby Adam jej nie zaskoczył.

On tymczasem obrzucił ją ciepłym spojrzeniem i uśmiechnął się lekko. W jego oczach zabrakło namiętnych ogników, które zawsze wywoływały rumieniec na jej twarzy.

- Wyglądasz bosko, moja ukochana - powiedział wyraźnie po to, by zmienić temat. - Obawiam się, że na tej sali wkrótce nie będzie ani jednego mężczyzny, który by nie marzył o tym, żeby cię całować.

Najgorsze minęło. Po raz pierwszy Edwina uśmiechnęła się

zupełnie szczerze. Komplement Adama sprawił jej prawdziwą przyjemność.

- Więc wszyscy będą srodze zawiedzeni - odpowiedziała rażno.

- Najbardziej martwię się o starców, których twój widok bez wątpienia przyprawi o palpację serca - mruknął Adam.

Edwina roześmiała się cichutko.

- Nie przesadzaj... Chyba trochę za bardzo przejąłeś się tą wystawą, skoro nie zauważasz kobiet piękniejszych ode mnie. Popatrz po sali.

- Piękniejszych? Nie ma mowy. Na pewno nie dla mnie - odparł z uczuciem i spojrzał na nią tak płomiennym wzrokiem, że na chwilę zaparło jej dech. - Wszyscy zachwycali się twoim portretem, ale ów zachwyt zblednie w jednej chwili, kiedy staniesz przed nimi żywa, z krwi i kości. Moje malowidło nie oddaje w pełni twojej urody.

Edwina popatrzyła na niego przekornie.

- Oszczędź mi tych słodkich słówek, Adamie. Lepiej zachowaj je dla innych. Nawiasem mówiąc, dobrze wiesz, że portret jest doskonały w każdym calu.

Adam uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

- Owszem, przyznaję, to prawda.

Tłum widzów przyglądał im się w nabożnym milczeniu. Goście nareszcie mogli na własne oczy zobaczyć tajemniczą dziewczynę, która tak oczarowała wielkiego Adama Rycrofta, że zamknął swoje atelier i do końca pracy odciął się od przyjaciół. To, co ujrzeli, wprawiło ich w osłupienie. Stojąca przy nim młoda dama olśniewała urodą. Chyba nikt nie czuł się rozczarowany.

Była drobna, maleńka - niemal wzrostu dziewczynki, zwiewna, lecz pełna gracji i wrodzonego wdzięku. Miała niezwykle krótkie włosy, które w rzęsistych światłach galerii здаwały się wibrować blaskiem niczym wspaniała aureola. Z jej twarzy biła energia i niesłychana żywiołowość, pozbawiona oznak próżności lub zepsucia. Stało się jasne, dlaczego Adam tak długo ją ukrywał. Czyjś szept przerwał ciszę i już po chwili w całej galerii dał się słyszeć gwar podnieconych głosów.

- Chodźmy. Chcę cię przedstawić dosłownie wszystkim, ale zaczniemy od sir Reynoldsa. Jak wiesz, to obecnie najmodniejszy malarz w całym kraju. Wśród przyjaciół cieszy się szacunkiem jako artysta o ustalonej sławie. Znany jest także ze swych ambicji towarzyskich i literackich. Jako renomowany arbiter sztuki ocenia dzieła innych czasem surowo, lecz zawsze szczerze. To, że tu przyszedł, jest dziś dla mnie chyba największym wyróżnieniem.

Adam popatrzył na Edwinę, która najwyraźniej była speszona. Zagryzła wargi.

- Spróbuj się trochę uśmiechnąć - mruknął. - Wyglądasz jak spłoszony lisek ze strachem szukający nory.

- Bo czuję się jak taki lisek - przyznała z głębokim westchnieniem. - Jednak nie widzę żadnej kryjówki.

Starała się mówić cicho, świadoma, że ich rozmowie przyśłuchują się dziesiątki uszu.

- Trochę za późno na ucieczkę. Poza tym gdybyś w tej chwili opuściła gości, nie byłoby to mądre.

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy robiłam same niemądre rzeczy - odpowiedziała weselszym głosem. - Dobrze, spróbuję to wytrzymać.

Adam pomyślał, że i tak nie brakuje jej odwagi.

- W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będą tu takie tłumy. Dlaczego wszyscy na mnie patrzą?

- Moja miłości... Jesteś przecież główną atrakcją tego wieczoru! Tą tajemniczą damą, o której mówi się już od tygodni. - Adam podchwycił krótkie spojrzenie Edwiny i natychmiast podał jej ramię. Uspokajającym ruchem poklepał ją po dłoni. - Bądź przy mnie blisko i nie bój się. Popatrz dokoła, już są twoi - szepnął. - Idę o zakład, że wprowadzisz nową modę. Od jutra wiele znanych dam będzie nosić krótkie włosy.

Edwina z uśmiechem rzuciła mu czułe spojrzenie. Jego łagodne zachowanie i żartobliwe słowa odniosły właściwy skutek. Już się mniej bała.

- W tej chwili przypominasz mi troskliwą kwokę, opiekującą się kurczątkiem - powiedziała. - Choć kiedy patrzę na te tłumy, wydaje mi się, że świat oszalał - dodała ciszej.

Poszli dalej. Goście rozstępowali się przed nimi, aż doszli do miejsca, w którym stał sir Joshua Reynolds. Edwina patrzyła wyłącznie na niego. Nie widziała otaczających ją twarzy ani klejnotów połyskujących w blasku setek świec i lam pionów.

Sir Joshua Reynolds był przewodniczącym Royal Academy of Arts i cieszył się osobistym patronatem króla Jerzego III. Na tę okazję ubrał się na ciemno, z wyjątkiem białego krawata. Jego maniery były nieskazitelne, chociaż stwarzał wrażenie władczego. Bystre oczy z ciekawością, a jednocześnie z zachwytem spojrzały na Edwinę.

- Edwino - odezwał się Adam - chcę ci przedstawić sir Reynoldsa. Oto Edwina Marchant.

Dziewczyna dygnęła nisko w stosownym ukłonie.

- To prawdziwy zaszczyt pana poznać, sir.

- Wzajemnie, moja droga. Wzajemnie - odparł sir Joshua, ujmując jej rękę. Uniósł brwi, ze zdumioną miną spojrzął na Adama i uśmiechnął się.

- Moje najszczerze gratulacje - powiedział. - Panna Marchant to rzeczywiście rzadki i przepiękny klejnot. Musisz być chyba cudotwórcą, że zdołałeś ją tak długo utrzymać z dala od ludzkich oczu.

Odwrócił się do Edwiny.

- Od lat podziwiam płótna Adama, panno Marchant, ale uważam, że najnowszy portret jest jego najlepszym dziełem. Już mówiłem o tym publicznie. Teraz jednak, gdy panią widzę, muszę przyznać, że natura znacznie przewyższa jego malarską wizję.

- Dziękuję, sir. Stanowczo jest pan dla mnie zbyt uprzejmy. - Edwina z wolna odzyskiwała pewność siebie. Sir Joshua w umiejętny sposób kierował rozmową. Nikogo nie przygniatał swoją obecnością, więc napięcie pomału minęło.

- Znakomity wernisaż - zauważył sir Joshua, kierując swoje słowa raczej do Adama. - Masz pełne prawo być z siebie dumny. Wzbudziłeś wielkie zainteresowanie.

- W dodatku spotęgowane niedawnym spadkiem po zmarłym kuzynie Cliffordzie - odparł Adam z wyraźną nutą cynizmu w głosie.

- W zasadzie chodzi tylko o tytuł. Pod innymi względami zawsze byłeś bardzo atrakcyjny - z błyskiem w oku roześmiał się sir Joshua.

Edwina zastanawiała się, czy na pewno mówi wyłącznie o malarskich talentach Adama.

- Panno Marchant... - Sir Joshua zwrócił się z kolei do niej. - Każdy artysta, zwłaszcza tak utalentowany jak Adam, jest niezwykle ważną częścią cywilizowanego społeczeństwa. Doprawdy, będzie nam go straszliwie brakowało, kiedy na stałe wyjedzie do swojej wiejskiej posiadłości.

- Taplow Court jest zaledwie trzy lub cztery godziny jazdy od Londynu, sir - wtrącił Adam. - A poza tym nie chcę sprzedawać domu, który mam tu, w mieście.

- Cieszę się, że to słyszę. Teraz... jeżeli państwo mi wybaczą... Zanim wyjdę, chciałbym jeszcze zamienić dwa słowa z panem Gainsborough.

Zaledwie sir Joshua Reynolds zdążył się oddalić z pola widzenia, na salę wpadł meteor - w drzwiach stanęła Barbara Mortimer, wraz ze swoją ciotką, Dolly Drinkwater. Widok powszechnie znanej Dolly wywołał duże poruszenie. Szmer podniecenia przebiegł wśród zebranych. Niektórzy nie mogli uwierzyć, że na liście gości znalazła się także słynna właścicielka kasyna i... domu schadzek na Covent Garden.

Nie dziwili się tylko ci, którzy wiedzieli o dawnej przyjaźni łączącej Dolly z Adamem Rycroftem. W nienagannej fryzurze i skromnej, ale modnej sukni z granatowej satyny dawna gospodyni Taplow Court wyglądała elegancko jak zawsze. Stanowiła żywe zaprzeczenie obiegowych opinii o „damach z półświatka”.

Adam uniósł głowę, spojrział w stronę wejścia i nie omieszkając, podszedł się przywitać. Ujął Dolly za ręce i serdecznie

pocałował ją w oba policzki. Dopiero potem zwrócił uwagę na Barbarę. Siostrzenica Dolly także prezentowała się prześlicznie. Miała na sobie różową suknię i wysoką perukę w stylu Madame Pompadour. Jednak Adam zdawał się tego nie dostrzegać. Wiedząc o niechęci, którą darzyła Edwinę, był zły, że mimo wszystko przyszła na wernisaż.

- Barbaro! To dziwne, że cię tu widzę - powiedział nieco napiętym głosem, z wyraźnym trudem panując nad rozdrażnieniem.

- Dlaczego?

Edwina stała kilka kroków za nim. Barbara zmierzyła rywalkę zimnym, pogardliwym spojrzeniem i twardo zacisnęła usta.

- Już nie pamiętasz, że mnie zaprosiłeś? - zapytała wyzywającym tonem.

- Nie pamiętam. Szczerze mówiąc, wysłałem zaproszenie dla Dolly - odparł niecierpliwie.

- Lecz przy okazji, powiedziałeś jej, że może ze sobą kogoś zabrać. A zatem jestem... i po prostu umieram z niecierpliwości, aby ujrzeć portret, o którym tak wiele słyszałam. Przecież od tygodni w całym mieście nie mówi się o niczym innym. .. jakby już nie było ciekawszych tematów - dokończyła złośliwie.

Edwina spokojnie została na swoim miejscu. Barbara minęła Adama, podeszła bliżej i spojrzała jej prosto w twarz. Przez chwilę w milczeniu mierzyły się wzrokiem - jednak o ile w ciemnych oczach Barbary czaiła się nienawiść, o tyle Edwina zachowała niewzruszony spokój. Wreszcie Barbara odeszła w głąb galerii, żeby obejrzeć portret.

- Wybacz, Adamie - odezwała się Dolly, kiedy zostali sami. W jej spojrzeniu malowała się niezwykła czułość, zmieszana z dumą i zadowoleniem, że jej dawny wychowanek wyrósł na tak wspaniałego i sławnego człowieka. - Wiedząc, jak sprawy stoją między wami, nie chciałam jej tu zabierać. Niestety, uparła się - a sam wiesz najlepiej, że w takich razach potrafi być nad wyraz dokuczliwa. Gdybym nie wzięła jej ze sobą, wcisnęłaby się tutaj sama.

Adam serdecznie uściśnął jej rękę.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Najważniejsze, że ty tu jesteś.

Dolly rozejrzała się po zatłoczonej galerii.

- Prawdziwe wydarzenie. Twój obraz spowodował niemałe zamieszanie.

- Jak również moja muza. Chodź, musisz się z nią przywitać. Skoro już jesteś... proponuję toast.

Podał kieliszek szampana z tacy przyjaciółce. Potem wziął jeszcze dwa i podeszedł do Edwiny. Uniósł rękę. Spieniony szampan zamigotał w świetle tysiącem złotych odcieni.

- Panie i panowie - głośno powiedział Adam. Szmer rozmów natychmiast przycichł. Adam popatrzył na stojącą tuż przy nim młodą damę. Ona także uniosła wzrok. W tej chwili wydawała mu się tak nieskazitelnie piękna, że przez kilka sekund nie mógł mówić ze wzruszenia. Spoglądał na nią z jawną miłością i dumą.

- Panie i panowie - powtórzył, gdy zapadła cisza. - Wznoszę toast za pannę Edwinę Marchant. Przecież gdyby nie ona, nie byłoby nas tu dzisiaj.

Lekki rumieniec zabarwił delikatne policzki Edwiny. Jej

oczy były tak roziskrzzone jak bąbelki w szampanie. Wszyscy unieśli kieliszki. Adam nie odrywał oczu od Edwiny, a i ona dała się ponieść urokowi chwili.

Traf chciał, że w pobliżu zjawił się młody dżentelmen, niejaki lord Brocklehurst, o lekko nalanej twarzy i otyłej sylwetce. Chyba już wypił sporo szampana, bo chwiejnym krokiem wysunął się naprzód i dumnie wypiął pierś. Najwyraźniej spodobał mu się portret Edwiny.

- A co z pańskim płótnem, sir? - zapytał odrobinę bełkotliwym głosem. - Jak żyję, nigdy nie widziałem nic piękniejszego. Mniemam, że oryginał jest dla mnie niedostępny... - W tym momencie przeciągle spojrzął na Edwinę z miną, która przeczyła wszelkim zasadom dobrego wychowania. - Mam więc dla pana inną propozycję.

Adam spojrzął na niego zimno. Brocklehurst znany był z tego, że jest głupcem i lubi zaglądać do kieliszka. Nikt go tutaj nie zapraszał, ale ludzie jego pokroju potrafili się wkręcić na każde przyjęcie.

- Traci pan czas - padła odpowiedź.

Jego lordowska mość wyglądał na zdumionego.

- Czyżby, sir? Tylko niech pan mi nie mówi, że obraz został już sprzedany. Daję tysiąc gwinei tylko za to, żeby zawiesić go w salonie, nad kominkiem.

- To nie ma znaczenia, milordzie. Zresztą wątpię, czy zdołałby pan tyle mi zapłacić, bo przypadkiem wiem, że pańscy wierzyciele dysponują weksłami na dwudziestokrotnie większą sumę... Tak czy inaczej, muszę pana rozczarować. Obraz nie jest na sprzedaż. Ani za tysiąc gwinei, ani za sto tysięcy.

- Nie na sprzedaż?! - zająknął się lord Brocklehurst. - Czy to znaczy... że chce pan go zatrzymać?

- Tak - uśmiechnął się Adam. - Sam pan zatem rozumie, że muszę odrzucić pańską propozycję.

- Chyba ma dla pana duże znaczenie.

- Owszem, sir. Jednak dziękuję za ofertę. - Adam skłonił się z lekką przesadą i odwrócił głowę.

Zawiedziony i zły lord Brocklehurst wrócił do swoich przyjaciół i powiedział scenicznym szeptem słyszalnym dla wszystkich gości stojących w pobliżu:

- Doprawdy jestem zdruzgotany. Przecież to prawdziwe arcydzieło... Ta dziewczyna stanie się niezwykłą atrakcją Londynu. Oszalał, że go nie chce sprzedać. Na odbitkach można by zbić majątek. Sprzedawano by je tysiącami.

- To prawda - mruknął ktoś z jego kompanów. - Ale nie dziwię mu się. Popatrzcie tylko na tę młódkę. To dopiero dziewczyna... Założę się o każdą sumę, że Rycroft jest w niej zakochany.

Adam słyszał te komentarze i z uśmiechem zerknął na Edwinę. Ona także wiedziała, co się dzieje. Spojrzała na niego i odważnie spytała:

- Co mi na to odpowiesz, Adamie?

Na jego ustach zagościł zwycięski uśmiezek.

- Wydaje mi się, że stałem się obiektem zazdrości wszystkich mężczyzn obecnych na sali - odparł wymijająco. - Ty zaś, moja miłości, zaćmiłaś resztę kobiet.

Wprawdzie Edwina oczekiwała innej odpowiedzi, ale nie dała tego po sobie poznać. Z przekornym uśmiechem spojrzała na Adama.

- Pochlebca - mruknęła, lecz zaraz spoważniała.
- Czy to prawda? - spytała. - Chcesz zatrzymać obraz?
- Tak. Z prawdziwą dumą powieszę go w Taplow Court. -
Wziął ją pod rękę. - Pozwól, że teraz cię przedstawię wszystkim osobistościom.

Z wprawą wynikającą z długiego doświadczenia w obcowaniu z londyńską socjetą prowadził ją od jednej grupki gości do drugiej. Edwina miała nieodparte wrażenie, że wędruje w jasnej smudze słońca, na oczach całego świata. Każdy chciał się jej przedstawić: znany malarz, pulchny i jowialny Thomas Gainsborough, który niedawno zyskał sławę swoim *Błękitnym chłopcem*, jeden z współtwórców Royal Academy, Paul Sanby, znany pisarz James Boswell, twórca słownika doktor Samuel Johnson, sławny architekt sir William Chambers i wielu innych.

Urodziwi młodzieńcy flirtowali z Edwiną pod czujnym - i czasem pełnym nagany - spojrzeniem hrabiego Taplow. Ci, którzy nie należeli do kręgu najbliższych znajomych malarza, mogli ją podziwiać jedynie z daleka. Większość dam nie szczędziła jej komplementów, chociaż niektóre z wyraźną zawścią komentowały jej uczesanie, ubiór i maniery.

Edwina rozglądała się po sali, nie zwracając uwagi na złotliwe słowa, wypowiedane szeptem za wachlarzami. Była szczęśliwa. Nagle, gdy Adam się odwrócił, żeby pozdrowić kogoś z przyjaciół, do jej uszu dotarł zimny jak lód głos Barbary Mortimer.

Edwina odruchowo spojrzała w jej stronę. Oczy Barbary świeciły dziwnym blaskiem. Chyba za dużo wypięła, bo chwiała się na nogach.

- No cóż, panno Marchant... Widzę, że uwaga wszystkich skierowana jest tylko na panią - powiedziała przez zaciśnięte zęby, pogardliwie patrząc na rywalkę. - Szczerze przyznaję, że wzbudziła pani podziw niektórych dżentelmenów. Jedni zastanawiają się, co naprawdę łączy panią z Adamem, inni liczą na bliższą... choć przelotną znajomość - dokończyła ze złośliwym uśmiechem.

Edwina patrzyła na nią spokojnie.

- To wszystko, co chciała mi pani powiedzieć? - zapytała. - Jeśli próbuje mnie pani obrazić, nie mam zamiaru tego słuchać.

Chciała odejść, ale następne słowa Barbary przykuły ją do miejsca.

- Jestem zdumiona pani wyglądem... Chociaż dobrej złodziejce łatwo zdobyć garść klejnotów. - Znacząco spojrzała na brylantową kulię i długie kolczyki w kształcie kropli wody, skrzące się w uszach Edwiny. - Te świcidełka są pani, czy też należały do kogoś innego? Zostały skradzione?

Edwina zbladła. Miała wrażenie, że czyjeś lodowate palce zacisnęły się na jej ciele. Od dawna bała się tej chwili. Barbara Mortimer patrzyła na nią z wyczekiwaniem. Znakomicie wybrała czas i miejsce ataku.

- Nie - odparła Edwina dźwięcznym głosem, w którym porzmiewała jakaś stalowa nuta. Ścisnęła wachlarz w dłoni. - Zapewniam panią, że te „świcidełka" należą do mnie, tak jak przedtem należały do mojej matki.

Złośliwe słowa Barbary nie uszły uwagi Adama. Odwrócił się, stanął obok Edwiny i uspokajającym ruchem otoczył ją ramieniem. Ten prosty gest jeszcze bardziej rozwścieczył Bar-

barę. W tej chwili miała ogromną ochotę po prostu rozerwać rywalkę na strzępy. Nic jednak nie powiedziała, przygwożdżona do miejsca twardym wzrokiem Adama.

- Dość tego, Barbaro - powiedział cichym, zwodniczo spokojnym głosem, doskonale panując nad uczuciami. - Najlepiej wyjdź stąd, zanim zapomnę o powinnościach dżentelmena.

Uśmiechnęła się do niego z wyższością.

- Tak, zaraz wyjdę... Ale przedtem mam jeszcze krótką wiadomość dla Edwiny. Ktoś cię szuka, kochanie. To twój dawny przyjaciel i współnik, niejaki Jack Pierce. Paskudne indywiduum. Chyba już trochę stęsknił się za tobą.

Rozdział czternasty

Edwina zamarła. Wyglądała, jakby ujrzała ducha.

- Jack Pierce?

Barbara roześmiała się, zadowolona, że jej okrutny przytyk trafił do celu. Wiedziała, że jednak wygra tę potyczkę.

- Owszem - odparła. - Ostatni raz widzieliście się na Covent Garden, zanim Adam zaniósł cię do kasyna. Biedaczysko całymi dniami sterczał na ulicy z nadzieją na następne, choćby krótkie spotkanie - ciągnęła jedwabistym głosem. - Wyobraź sobie jego zdumienie, kiedy powiedziałaś mu, że nie byłeś chłopcem, lecz dziewczyną przebraną za ulicznika. Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy usłyszał, dokąd pojechałaś.

Edwina słuchała tego z rosnącym przerażeniem. Zagotowała się z wściekłości. Dobry Boże, miała ochotę ją uderzyć. I pewnie by to zrobiła, gdyby nie obecność tak wielu sławnych ludzi.

- To ty... - szepnęła niemal bezgłośnie. Poza Barbarą tylko Adam usłyszał, co mówi. - To ty mu o wszystkim powiedziałaś...

Adam przypatrywał się siostrzenicy Dolly ze zmarszczonymi brwiami.

Barbara obdarzyła go przymilnym uśmiechem.

- Chyba musisz ostrożniej dobrać znajomych - zaszcebiotała. - Tak utalentowany człowiek nie powinien być widywany w towarzystwie złodziejki. To źle wróży twojej karierze.

Powiedziała to na tyle głośno, że najbliżej stojący goście nadstawili uszu. Kilkanaście par oczu zerknęło w tę stronę. Adam powiódł po gościach znaczącym spojrzeniem, jakby chciał ich przeprosić za zachowanie Barbary wywołane szampanem. Potem wziął ją za rękę i zdecydowanym ruchem pociągnął w stronę drzwi, które na szczęście nie były daleko. Edwina i Dolly podążyły za nim. Traf chciał, że po korytarzu nikt teraz się nie kręcił.

Adam spoglądał na Barbarę z morderczym błyskiem w oku, ale jego głos był zwodniczo łagodny.

- Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się w ten sposób do Edwiny lub do mnie, własnoręcznie wyrzucę cię stąd na ulicę, bez względu na przyjaźń łączącą mnie z twoją ciotką. Zrozumiałaś? - spytał.

Barbara gniewnie szarpnęła głową.

- Będę mówić, co zechcę - burknęła. Odeszła kilka kroków, przystanęła i znowu spojrzała w ich stronę. Wbiła wzrok w Edwinę.

- Myślisz, że już zawsze będziesz jego kochanką? - syknęła. - Grubo się mylisz, moja piękna i sprytna panno Marchant. Wkrótce znudzi się tobą, jak wszystkimi innymi. O twoich poprzedniczkach dawno już zapomniał. Kocha i porzuca z tą samą łatwością... Nieprawdaż, Adamie?

I bez względu na to, za kogo cię uważa, nadal jesteś zwykłą złodziejką i kłamczuchą.

Edwina spostrzegła, że Adam zacisnął pięści, z trudem panując nad wściekłością. Wzięła głęboki oddech i postanowiła walczyć o swoje dobre imię. W pierwszej chwili chciała uciekać stąd jak najdalej, od Barbary, od wszystkich ludzi, i od poniżenia. Teraz jednak doszła do wniosku, że to byłoby niemądre i dziecinne. Nie, Barbaro... - pomyślała twardo. Nie zdołasz mnie zastraszyć. Zmusiła się do uśmiechu. Doskonale wiedziała, że zachowując spokój, pograży przeciwniczkę.

- Nieprawda - odparła pewnym głosem. - I szkoda, że nie znasz wszystkich faktów. Może wtedy nabrałabyś rozumu - dodała sucho.

Barbara zatoczyła się lekko i położyła dłoń na oparciu krzesła, żeby odzyskać równowagę.

- Popatrz na siebie - ciągnęła Edwina. - Co się z tobą dzieje? Czy tak zachowuje się prawdziwa dama? Mnie wychowano zupełnie inaczej. Zrobisz o wiele lepiej, jeśli na przyszłość będziesz pamiętać o manierach. W ten sposób łatwiej trafisz do serca jakiegoś mężczyzny.

Barbara zgrzytnęła zębami ze złości. Ciagle nie potrafiła znieść myśli, że straciła Adama.

- Przynajmniej nie udaję kogoś, kim nie jestem. - Ponuro patrzyła na Edwinę. Z trzaskiem zamknęła wachlarz. - Jeszcze raz ci powtarzam: jesteś zwykłą złodziejką - syknęła znowu. - Wyciągnięta z St Giles. Gdzie ją znalazłeś, Adamie? W rynsztoku?

Podeszła nieco bliżej, jakby w nadziei, że zobaczy cię

przerażenia w oczach Edwiny. Ale czekało ją rozczarowanie. Dziewczyna przypatrywała jej się ze spokojem i obojętnością. Nie bała się.

Tymczasem sir Henry, który tylko z daleka był świadkiem zajścia i nie słyszał oskarżeń Barbary, zaniepokojony nagłym smutkiem Edwiny, energicznym krokiem wyszedł na korytarz. Tam zobaczył młodą, piękną, lecz wyraźnie pijaną kobietę, która miotła obelgi pod adresem jego bratanicy. Nazwała ją złodziejką! Krew w nim zawrzała i zdecydowanie stanął w obronie Edwiny, chociaż przypuszczał, że w tych oskarżeniach może być ziarno prawdy.

- Co się tu dzieje, do diaska? - zagrzmiął. - Młoda damo, wyraźnie słyszałem twoje słowa. Mylisz się!

Barbara spojrzała na niego z niechęcią.

- Kim pan jest, sir?

- Sir Henry Marchant. To dziewczę, które przed chwilą nazwała pani złodziejką, jest moją bratanicą! W życiu nie słyszałem takich kalumni. Edwina przez cały czas była pod moim dachem, zanim pan Adam Rycroft za moją zgodą zaprosił ją do Londynu!

Spojrzał na Adama.

- Tak było, sir?

- Tak - potwierdził Adam.

Coś w jego głosie powstrzymało Barbarę od dalszych ataków. Po raz pierwszy poczuła się nieswojo.

- Na przyszłość radzę zapoznać się z faktami, zanim posunie się pani do oskarżeń - zawołał Henry. Doskonale zdawał sobie sprawę, że od wyniku tej rozmowy zależy reputacja Adama i Edwiny... a może też jego własna. - To zwykła po-

twarz! Proszę się cieszyć, że nie skieruję sprawy do sądu! Ale zrobię to, jeśli pani wciąż będzie się upierać...

- Idź stąd, Barbaro. W ten sposób unikniesz skandalu - wtrącił Adam. W jego głosie brzmiała wyraźna groźba. - Pod warunkiem że będziesz trzymać buzię na kłódkę.

Wyglądał naprawdę imponująco, ale Barbara, ciągle zamroczona trunkiem, uparcie próbowała przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Nie liczyło się dla niej już nic oprócz zemsty.

- Skandal? - syknęła jadownicę. - Wasza klęska jest warta najgorszego skandalu!

Z nienawiścią patrzyła na Adama i Edwinę.

Dolly nie mogła już słuchać swojej siostrzenicy. Chwytiła ją za rękę i pchnęła w stronę drzwi.

- Jak śmiesz, Barbaro! Jak śmiesz w ten sposób odzywać się do Edwiny... w tym miejscu i w obecności tylu osób!

Barbara wzruszyła ramionami.

- Nie zamierzam nikogo przeproszać, ciociu Dolly.

Adam chciał jak najszybciej pozbyć się jej z galerii. Bał się, że jeszcze chwila i udusi ją gołymi rękami. Spojrzał na panią Drinkwater.

- Na litość boską, zabierz ją stąd, Dolly, bo zaraz zrobię coś, czego potem wszyscy będziemy żałować. Chyba nie muszę cię prosić o dyskrecję.

- Nie musisz. Dyskrecja to moja specjalność. - Dolly była wyraźnie przygnębiona. Spod oka obserwowała sromotny odwrót swojej siostrzenicy.

Barbara Mortimer z rozpaczą w sercu wychodziła z galerii. Ze złością otarła łzy, które cisnęły jej się do oczu. Nie chciała, że-

by ktoś widział ją w takim stanie. Dobrze zdawała sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania, lecz czuła niechęć do całego świata. Pokochała Adama dziewczęcą miłością - i pierwszy raz w życiu zawiodła się w uczuciach.

- Obawiałam się, że Barbara zechce pokazać dziś pazurki - westchnęła Dolly. - Znasz ją, Adamie. Od tygodni chodziła naburmuszona. Wstyd powiedzieć, ale moja siostrzenica ma porywczy temperament. Z zemsty za twoją „zdradę” próbowała dokuczyć Edwinie. - Z wyraźną troską popatrzyła za odchodzącą Barbarą. - Wiem jednak, że po pewnym czasie pożałuje swojego postępu. A może nawet już się wstydzi? Pójdę za nią. Bądź tak dobry i wezwij dla nas powóz, Adamie.

Edwina i sir Henry zostali sami. Dziewczyna z niepokojem zerknęła na stryja.

- Dziękuję... - zaczęła i nagle urwała, bo sir Henry obrzucił ją zimnym spojrzeniem. Jego błada, ściągnięta twarz przypominała maskę z kości słoniowej.

- A co myślisz? - zahuczał. - Jak mogłem inaczej uniknąć skandalu i potępienia w oczach całego społeczeństwa?! Mów, dziewczyno! To prawda? Byłaś zwykłą złodziejką?

Edwina pokiwała głową.

- Tak - przyznała ze wstydem.

Sir Henry z rozpaczą wznosił oczy ku niebu.

- Boże miłosierny! Jak mogłeś do tego dopuścić, by moja bratanica upadła tak nisko! Chociaż to było do przewidzenia. Zawsze sięś zamęt. Więc oszukałaś mnie, mówiąc, że przez ten czas pracowałaś u jakiejś modystki.

- Nie miałam wyboru.

Pokrótce opowiedziała mu swoje przygody. O ucieczce, kradzieży i pierwszym spotkaniu z groźnym Jackiem Pierce'em.

- Początkowo obiecał, że da mi pracę. Uwierzyłam mu, a on wprowadził mnie do złodziejskiego świata. Bałam się go. Wtedy jeszcze nie miałam na tyle odwagi, żeby otwarcie mu się przeciwstawić. Posłusznie spełniałam jego polecenia, ale i tak nieraz mocno obrywałam w skórę. Tym językiem najlepiej potrafi przemawiać. Zrozum, że w jego obecności czułam się bezradna.

- Dlaczego nie wróciłaś od razu do domu? - spytał sir Henry.

W oczach Edwiny załśniły łzy.

- Nie mogłam. Nie doszłabym nawet do przedmieść Londynu. Jack Pierce zaraz by mnie znalazł i sprowadził z powrotem. Znalazłam się w pułapce. Moje plany obróciły się wniwecz. Żyłam tylko nadzieją, że pewnego dnia zarobię dość pieniędzy, aby po cichu wyruszyć w podróż do Francji. Nie masz pojęcia, co przeżyłam.

- Było tak strasznie?

- Nawet gorzej. Jack Pierce to prawdziwy dzikus. - Umiłła i popatrzyła na stryja. Nie zdawała sobie sprawy, że na jej twarzy rysują się wszystkie emocje, które przeżywała w St Giles: strach, nadzieja, frustracja...

- To żałosne... Prawda, stryju? Opowiedziałam ci przygnębiającą historię dziewczyny, która na skutek tragicznego zbiegu okoliczności uciekła z domu od wszystkiego, co w życiu pokochała... zabierając ze sobą zaledwie resztkę dumy. I pomyśleć tylko, że to wszystko było wynikiem potwornego nieporozumienia...

Sir Henry nigdy nie był świadkiem tak wielkiej rozpaczy i rozgoryczenia. Przez chwilę stał nieruchomo, wbijając wzrok w ścianę. Serce waliło mu jak oszalałe, musiał więc odczekać kilka sekund, żeby się uspokoić. Wreszcie nieco roztrzęsioną ręką otarł spocone czoło i spojrzał na pobladłą Edwinę. Ogarnęła go fala współczucia. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, ile przeżyła jego bratanica po niefortunnej ucieczce z domu. Westchnął głęboko, położył jej dłoń na ramieniu i odchrząknął.

- Zapomniałaś dodać, że oboje popełniliśmy wiele błędów - powiedział. - Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak mocno to przeżywasz. Przyszuję, że bywały chwile, w których nawet wstydziałem się za ciebie. Ale masz rację. To żałosna historia. Chyba już najwyższa pora zapomnieć o przeszłości. Jeśli ta młoda dama, która przed chwilą stąd odeszła, zechce wciąż sprawiać ci kłopoty, możesz być pewna, że stanowczo stanę po twojej stronie. Więcej do tego nie wracajmy.

Edwina zamrugała szybko, żeby odpędzić łyzy cisnące się jej do oczu.

- Dziękuję, stryju. Sam nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.
- Czujesz się na siłach wrócić na salę?
- Myślę, że tak. Gdybym teraz uciekła, potwierdziłabym swoją winę.
- Zuch dziewczyna! Wiedziałem, że nie jesteś tchórzem.
- Mam nadzieję, że nikt nie słyszał oskarżeń Barbary. A co będzie, jeśli okrzykną mnie złodziejka?
- Nie odważą się na to - rozległ się tuż przy niej głęboki głos Adama.

Rycroft właśnie zdążył pożegnać się z Dolly. Podszedł do

Edwiny i położył jej ręce na ramionach. Popatrzyli sobie głęboko w oczy.

- Zachowanie Barbary było niemądre... i niewybaczalne. Teraz musimy wrócić do gości i udawać, że nic się nie stało. Wszyscy dojdą do wniosku, że wyskok Barbary był jedynie skutkiem szampana. Wkrótce o tym zapomną. Mam nadzieję, że zbytnio się tym nie przejmujesz? - zapytał z troską.

Edwina podniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało. Zraz jednak odzyskała dawną pewność siebie.

- Czuję się po części odpowiedzialna za jej zachowanie... Mogłam to przewidzieć. Wiem też, że niełatwo przyjdzie mi przebaczyć takie poniżenie... mimo to spróbuję. Mam tylko jedną prośbę: chodźmy tam razem. W tej chwili czuję się jak męczennica w drodze na arenę pełną krwiożerczych lwów. Spróbuj choć trochę je powstrzymać, zanim się na mnie rzuca.

Adam popatrzył na nią z podziwem. Był pełen uznania dla jej odwagi.

- W takim razie pozbądź się tej męczeńskiej miny - powiedział z humorem. - Uśmiechnij się, moja ukochana.

Podał jej ramię. Edwina przywarła do niego i westchnęła głęboko. Kiedy weszli na salę, zapadła chwila ciszy. Edwina wstrzymała oddech i rozejrzała się niepewnie. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Ale goście niemal natychmiast wrócili do przerwanych rozmów. Znow dał się słyszeć gwar i śmiechy. Nikt nie pamiętał o Barbarze Mortimer.

Podczas pobytu w Londynie sir Henry i Edwina mieszkali u państwa Templeton na Long Acre. Była to para miłych star-

szych ludzi, dawnych przyjaciół Henry'ego i Gordona Marchantów. Mieli czwórkę dorosłych dzieci, które już dawno wyfrunęły z rodzinnego gniazda.

Następnego dnia po wernisażu Edwina została sama w domu. Wróciła pamięcią do spotkania z Jackiem. Wiedziała, że nie może lekceważyć jego gróźb. Włożyła płaszcz i nie mówiąc nic służbie, wymknęła się na Fleet Street. Chciała odwiedzić Jacka w jego ponurym mieszkaniu i odbyć z nim poważną, „złodziejską” rozmowę. Była gotowa sprzedać rodzinne klejnoty, byle tylko ocalić biednego Toby'ego z rąk ludzi, którzy go przetrzymywali.

Na Fleet Street jak zwykle panowało wielkie ożywienie. Przekupnie głośno zachwalali swoje towary, ludzie kręcili się po sklepach, składach i magazynach. Przechodnie zwykle przemykali jak najbliżej ściany, żeby ktoś z wyższych pięter nie wylał na nich pomyj. W gęstej ciżbie uwijali się kieszonkowcy.

Edwina minęła ciemne i brudne podwórko. Weszła do lombardu, nad którym mieszkał Jack. Wzdrygnęła się, słysząc donośny brzęk dzwonka wiszącego nad drzwiami. Dała krok w stronę schodów, żeby pójść na piętro, lecz w tej samej chwili rozległ się donośny głos lichwiarza.

- Halo! - Z zaplecza sklepu wyłonił się postawny mężczyzna w średnim wieku, o przenikliwym spojrzeniu. - Co pani tu robi?

- Szukam... Szukam pana Pierce'a. Jacka Pierce'a... Mówiono mi, że mieszka właśnie w tym domu.

- Już nie - padła odpowiedź. - Wynajmował mieszkanie na górze, po lewo. Ale ostatnio gdzieś zniknął. Wyniósł się bez

słowa pożegnania. - Mężczyzna obrzucił ją krzywym spojrzeniem. - To pani znajomek?

- Nie... nie - zapewniła go pospiesznie Edwina. - Mam... coś do sprzedania. Myślałam, że go to zainteresuje. Dawno się wyprowadził?

- No... będzie jakieś trzy tygodnie temu. Dzień, dwa chyba nie robi różnicy?

Edwina popatrzyła na niego z rozczarowaniem. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Owszem, była przygotowana na to, że za pierwszym razem nie zastanie Pierce'a, lecz zaskoczyła ją wiadomość, że się wyprowadził.

- A nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Lichwiarz podrapał się po głowie.

- Nie. Ale nie wszystko stracone. Jestem Samuel Bland, do usług szanownej pani. Co pani chciała sprzedać?

Edwina cofnęła się do drzwi.

- Nie... dziękuję. Chyba jednak spróbuję odszukać pana Pierce'a.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak pani chce.

Wrócił za ladę, suto zastawioną różnymi przedmiotami, które ludzie oddawali mu w zamian za pożyczkę. Wielu z nich zastawiało u niego rodowe dobra, w nadziei, że kiedyś będą mieli dość pieniędzy, aby je wykupić.

Roztrzęsiona Edwina przeszła przez podwórko i stanęła na ulicy. Otuliła się płaszczem. Nie miała tu już nic do roboty. Kiedy skrzyła w stronę Strandu, nawet do głowy jej nie przyszło, aby się obejrzeć. Nie widziała zatem wysokiego młodego mężczyzny, który wyszedł z niewielkiej drukarni.

Adam zatrzymał się w pół kroku, widząc w głębi ulicy drobną młodą kobietę w granatowym płaszczu. Wydawało mu się, że ją poznaje, chociaż twarz miała ukrytą pod kapturem. Zmarszczył brwi. Czyżby Edwina? Ten sam wzrost, te same ruchy... Chwilę później nagły powiew wiatru zrzucił kaptur z głowy dziewczyny i zdumionym oczom Adama ukazały się krótkie, miedzianozłote włosy. Jeszcze nie wierzył w to, co zobaczył. Dziewczyna szybko poprawiła płaszcz i poszła.

Adam zaklął pod nosem i podążył za nią. Zastanawiał się, co robi w tej podłej okolicy. Zupełnie sama, na Fleet Street? Przyspieszył kroku. Już prawie ją doganiał, kiedy nagle musiał się gwałtownie cofnąć, bo tuż przed nim chlapnął na ziemię strumień cuchnących nieczystości. Przerwa trwała zaledwie moment, lecz w tym czasie Edwina gdzieś zniknęła.

A niech to wszyscy diabli... - mruknął Adam. Wrócił po własnych śladach i odszukał podwórko, z którego przed chwilą wyszła panna Marchant. Wszedł do lombardu i przez chwilę rozmawiał z właścicielem. Wypadł stamtąd wyraźnie wściekły. Nie mógł pojąć, co spowodowało Edwinę do dawnego mieszkania Jacka Pierce'a. Wsiadł do powozu, który czekał na niego pod drukarnią, i kazał się zawieźć na Long Acre.

Zaledwie jednak zdążył skrócić w Chancery Lane, znów zobaczył Edwinę. Natychmiast zatrzymał powóz i wysiadł. Dziewczyna zauważyła go dopiero wówczas, gdy stanął przed nią. Popatrzyła na niego z przestrawieniem, jakby spodziewała się zasłużonej kary.

- Adam!

Przytrzymał otwarte drzwiczki powozu.

- Wsiadaj! - zakomenderował.

-Ale...

- Powiedziałem: wsiadaj! - warknął.

W jego głosie czaiła się groźba. Edwina posłusznie wsiadła do powozu. Nie rozumiała powodów zachowania Adama, ale wiedziała, że jest na nią wściekły. Adam kazał woźnicy jechać na Mayfair. Edwina otworzyła usta, aby zaprotestować, ale uciszył ją jednym pośpynym spojrzeniem.

Siedziała więc z bijącym sercem, wciśnięta w kanapę. Adam, zaciskając szczęki, ponurym wzrokiem wpatrywał się w okno. Edwina wyczekiwała, aż coś do niej powie. Wreszcie spojrzał na nią zimnym, niemal nienawistnym wzrokiem i zapytał:

- Dlaczego poszłaś do Jacka Pierce'a?

Edwina popatrzyła na niego z osłupieniem. W głowie miała zupełny zamęt. Wciąż milczała, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

- Gadaj wreszcie, do wszystkich diabłów, albo za chwilę zmuszę cię do tego!

Nerwowo przełknęła ślinę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że byłam u niego?

- Nie rób ze mnie głupca, Edwino. Widziałem cię, jak wychodziłaś z jego domu. Z jego... dawnego mieszkania.

- A skąd wiesz, że tam mieszkał?

Ostro spojrzał jej w oczy.

- Byłem w lombardzie.

- Och... - szepnęła.

Adam zobaczył przerażenie na jej pięknej twarzy, ale jego gniew nie zmalał ani trochę.

- Pozwól zatem, że zapytam cię jeszcze raz, Edwino. Po co byłaś u Jacka Pierce'a?

- Ja... ja... - Słowa uwięzły jej w gardle. Spuściła oczy i rozpaczliwie szukała jakiejś odpowiedzi. Wszystko było lepsze... od prawdy.

- Nawet nie próbuj kłamać - syknął. - I patrz na mnie. Muszę wiedzieć, czy mówisz całą prawdę.

Edwina posłusznie uniosła głowę, lecz w jej zielonych oczach ciągle widniało przerażenie. Miała ochotę zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć tego zimnego i pogardliwego głosu. Zdawała sobie sprawę, że w jednej chwili straciła zaufanie, którym ją darzył Adam. Jeszcze wczoraj spoglądał na nią z bezbrzeżną miłością, teraz zaś wyglądał, jakby ją chciał uderzyć.

- Nie... nie mogę ci tego powiedzieć.

- Nie możesz, czy nie chcesz? - spytał ze złowieszczym spokojem.

- Nie mogę.

- Możesz i zrobisz to natychmiast - odparł sucho. - Może jednak zaczniemy od czegoś innego. Czy po tamtym zdarzeniu na Covent Garden jeszcze kiedyś widziałas się z Jackiem Pierce'em?

Potwierdziła.

- Gdzie cię znalazł?

Edwina nie mogła dłużej wytrzymać jego spojrzenia. Zerknęła w okno. Zastanawiała się, jaki będzie koniec tej rozmowy.

- Opodal... Taplow - powiedziała. - Czekał na mnie w lesie. To było tego samego dnia, kiedy cię spotkałam na konnej przejażdżce.

- Rozmawiałś z nim przed czy po spotkaniu ze mną?

- Przed.

Był zdumiony.

- Rozmawiałś w lesie z Jackiem Pierce'em i nie uznałaś za stosowne mnie o tym powiadomić? - spytał z niedowierzaniem.

Edwina spojrzała mu prosto w oczy. Ścisnęła ją w dołku.

- Przecież ci mówię, że nie mogłam! - wybuchnęła.

- Skąd wiedział, gdzie cię szukać?

- Najpierw sama tego nie wiedziałam. Teraz już jestem prawie pewna, że to sprawka Barbary. Chyba najpierw śledził mnie u ciebie, a potem pojechał za nami do Hertfordshire.

Adam popatrzył na nią ciężko. Już wczoraj zastanawiał się, co znaczyły słowa: „To ty mu o wszystkim powiedziałaś...” wypowiedziane przez Edwinę na początku rozmowy z Barbarą. Teraz o wiele lepiej zrozumiał jej zdenerwowanie. Bała się Jacka Pierce'a... a on, głupiec myślał, że jest brzemienna... Że nosi jego dziecko... Zacisnął zęby i odpędził niespokojne myśli.

- Gratuluję - mruknął uragliwie. - Znów mnie wywiódłaś w pole.

- Nie mów tak! - zawołała.

- Czego chciał od ciebie? - dopytywał się Adam. - Namawiał cię do kradzieży?

Pokiwała głową.

- Co jeszcze?

- To już wszystko.

- Nieprawda. - Jej upór działał mu na nerwy. Pochylił się ku niej, złapał ją za ramiona i przysunął twarz do jej twarzy.

- Chcę wiedzieć wszystko, moja Edwino. Do końca - zażądał. - Nie dam ci spokoju, dopóki mi nie powiesz. Po co dzisiaj go szukałaś? - A może jednak zatęskniłaś za życiem złodziejki? Ten dreszcz podniecenia... Zabrakło ci tego? Postanowiłaś znowu kraść?

Jego słowa niczym kamienie legły na jej sercu.

- Jak śmiesz tak mówić?! - zawołała. Jej głos zabrzmiał niczym wystrzał w ciasnym wnętrzu powozu. Zielone oczy miały błyskawice, a pierś falowała. Adam wbrew woli patrzył na nią w niemym zachwycie. Jeszcze nie widział jej równie wzburzonej... i pięknej. Niewiele brakowało, by porwał ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Najpierw jednak musi poznać prawdę.

- Chyba nie wierzysz, że „współpraca” z Jackiem sprawiała mi jakąś przyjemność - powiedziała Edwina. Adam słuchał w milczeniu, wciąż zaciskając dłonie na jej ramionach. - Nie nawidziłam tego zajęcia. Dobrze wiesz, co czułam. O co jeszcze chcesz mnie oskarżyć? Że czyham na twój majątek? Że podstępem wdarłam się do twojego domu, aby cię uwieść? Nie jestem taka. Powinieneś o tym najlepiej wiedzieć.

W jej słowach brzmiała urażona duma. Nie mogła uwierzyć, że Adam może ją podejrzewać o tak wstrętne rzeczy.

- W takim razie, o co w tym wszystkim chodzi? Czego chciał Pierce? Skrzywdził cię? A może groził? Może powiedział, że cię wyda, jeśli nie będziesz go nadal słuchać?

Pytania padały jedno po drugim, lecz Edwina wahała się tylko chwilę.

- Tak. Zapowiedział mi, że rozpowie o tym w całym mieście.

- A ty mu uwierzyłaś? Przecież ten człowiek nie ma żadnych dowodów na to, żeby cię pogrążyć! - Adam roześmiał się gorzko, puścił Edwinę i nerwowym ruchem przejechał ręką po włosach. - Na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Próbował cię tylko zastraszyć. Po pierwsze, kiedy pracowałaś dla niego, wszyscy uważali cię za chłopca. Kto teraz zaświadczy, że było inaczej? Powtarzam: nie ma na to żadnego dowodu.

- Jack jest sprytny. Na pewno coś znajdzie - odparła Edwina, odruchowo masując obolałe ręce.

- Nie martw się. Dolly i jej dziewczęta na pewno cię nie zdradzą, a i Barbara najpierw dobrze się zastanowi, zanim znowu otworzy usta. Nie, Edwino... Ten człowiek już nie ma władzy nad tobą. A teraz... - dodał, nieco łagodniej patrząc na jej pobladłą twarz - mów dalej. Chcę usłyszeć wszystko. Miał dość tej nonsensownej kłótni.

Edwina głośno przełknęła ślinę. Czuła, że nie powinna dłużej ukrywać gorzkiej prawdy.

- Jack... doskonale wie o naszym związku. Słyszał też, że odziedzyczyłeś Taplow Court. Domagał się, żebym mu pomogła... .. wynieść z twojego dworu kilka kosztowności...

Adam spoglądał na nią z osłupieniem. Gniew uleciał bez śladu z jego twarzy.

- A to łotr... - odezwał się po dłuższej chwili. - Na Boga... To przecież niewiarygodne! Czyste szaleństwo... Opowiedz dalej.

Edwina przytoczyła mu całą rozmowę z Jackiem, z wyjątkiem fragmentu, który dotyczył Toby'ego. Na przystojnej twarzy Adama malowały się zaskoczenie, złość, niedowierzanie

i pogarda. Kiedy dziewczyna skończyła, milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

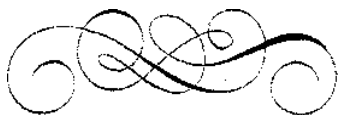
- Ten łajdak musi jak najszybciej znaleźć się za kratkami. Trafi do więzienia.

- Niestety, nic mu nie możemy zrobić - powiedziała cicho Edwina. - Ty też musisz zachować w tajemnicy to, co ode mnie usłyszałeś. - Widzisz... Jack znalazł Toby'ego. Groził, że jeśli komuś o wszystkim powiem, to... to go zabije.

Podczas całej ich znajomości Adam Rycroft nie był tak zdumiony jak w tej chwili. Spoglądał na nią, jakby nie rozumiał, co mówi.

- Możesz powtórzyć? - powiedział wreszcie bezbarwnym głosem.

- Jack znalazł Toby'ego - szepnęła Edwina. Powóz właśnie zatrzymał się przed drzwiami domu Rycrofta w Mayfair.



Rozdział piętnasty

Adam rzucił przelotne spojrzenie na dziewczynę, szarpnięciem otworzył drzwiczki powozu, wysiadł i niemal wyciągnął ją za sobą. Weszli do domu. Adam, ciągle prowadząc za sobą Edwinę, bez słowa minął zdumioną panią Harrison i niemal zderzył się z lokajem w drodze do gabinetu. Z trzaśnięciem zamknął za sobą drzwi, przeszedł na drugą stronę pokoju i nalał sobie dużą szklanekę whisky. Wychylił ją jednym haustem. Odstawił szklanekę i zatopiony w myślach przez dłuższą chwilę krążył po gabinecie, zanim stanął przed Edwiną.

Popatrzył na nią wściekłym wzrokiem. Stała bez ruchu i w milczeniu wpatrywała mu się w oczy. Czekwała, żeby odezwał się pierwszy.

- Ten łotr od ponad trzech tygodni więzi Toby'ego, a ty do tej pory nic mi o tym nie powiedziałaś? Nie ufałaś mi?!

Edwina z trudem zachowała spokój. Nerwy miała napięte jak postronki.

- Chciałam powiedzieć ci o wszystkim - wyszeptała - ale chyba rozumiesz, że nie mogłam.

- Nie rozumiem. Nie pomyślałaś o tym, ile cierpienia przynosi chłopcu każdy dzień w rękach tego drania?!

- Oczywiście, że pomyślałam! - krzyknęła niemal z płaczem. - Lepiej od ciebie wiem, do czego zdolny jest Pierce! Myślisz, że nie ma we mnie ludzkich uczuć? Aż mi się słabo robi, kiedy o nim myślę!

- A jednak postanowiłaś wszystko trzymać w tajemnicy! - burknął. - Niby dobrze znasz Jacka, ale go posłuchałaś! Nie przyszło ci do głowy, że mógł kłamać? Że wcale nie znalazł Toby'ego? Że w ten sposób chciał cię po prostu namówić do pomocy?

Silny rumieniec zabarwił policzki Edwiny.

- Nie przyjąłam jego warunków. Ale musiałam udawać, że się zgadzam, bo chodziło mi o bezpieczeństwo chłopca. Jeśli chcesz wiedzieć, to wybrałam się dzisiaj do Jacka, żeby mu zaproponować okup za Toby'ego! Chciałam mu oddać wszystko, co posiadam!

- Wzruszające - z przekąsem odpowiedział Adam. Odszedł o parę kroków. - Pierce na pewno mówił prawdę? Jesteś przekonana, że złapał Toby'ego?

- Wierzę mu. Zresztą ani ty, ani ja nie możemy sobie na to pozwolić, żeby mu nie wierzyć. Gdyby domyślił się, że wiesz o wszystkim, na pewno zabiłby Toby'ego. Kto wie, co jeszcze knuje? Liczy na to, że zdobędzie majątek.

- Kiedy ma zamiar włamać się do Taplow Court?

- Tego mi nie powiedział - przyznała Edwina. - Prawdopodobnie wówczas, kiedy zacznę tam regularnie bywać... albo wprowadzę się na stałe - na przykład jako twoja żona.

Adam tak zacisnął zęby, aż zadrgały mu policzki.

- Moja żona? - powtórzył cynicznie. Znów stanął przed Edwiną i spojrzał jej prosto w oczy. - Chcesz przez to powiedzieć, że przyjmujesz moje oświadczyiny?

- Tak... jeśli ty nadal tego pragniesz.

Wciąż patrzył na nią stalowym wzrokiem. Edwina poczuła nagle, że coś ją drapie w gardle. Serce waliło jej jak oszalałe. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że Adam jej odpowie „nie”. Że już jej nie kocha i nie potrzebuje... Że zapomniał o wszystkim, co się zdarzyło przedtem...

- W takim razie - powiedział w końcu - choćby ze względu na Toby'ego, załatwimy to jak najszybciej. Zaraz wystąpię o odpowiednie zezwolenie na przyspieszenie naszego ślubu. Za kilka dni staniesz się moją żoną. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

Edwina znów gwałtownie przełknęła ślinę, żeby zapanować nad ogarniającą ją paniką.

- Oczywiście, że nie - wyjąkała.

Wmawiała sobie, że powinna zachowywać się jak dorosła, w pełni dojrzała kobieta. Żadnych łez, żadnego płaczu... Rozsądek i spokój.

- Teraz wyraźnie zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam z tobą wcześniej porozmawiać. Masz rację, że się na mnie złościś.

- Niezwykle bystra obserwacja - rzucił drwiąco.

Ale Edwina uparcie nie zwracała uwagi na jego gniewne słowa.

- Jednak zupełnie bezpodstawnie oskarżasz mnie o kłamstwo i zdradę - powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Zachowywałam się tak, a nie inaczej

tylko ze względu na Toby'ego. Nie chciałam niepotrzebnie go narażać. Jack groził, że go zabije. Od tamtej pory wciąż mnie śledzi. Co mogłam zrobić? Milczałam. Spodziewam się, że to zrozumiesz.

Adam szybko uniósł głowę.

- Kto cię śledzi? Skąd wiesz?

- Jack zostawił swojego kompana w Hertfordshire. Niemal codziennie go widuję w pobliżu Oakwood Hall. Nawet przede mną się nie kryje, jakby chciał, żebym go widziała. Jestem pewna, że przyjechał za mną do Londynu. Co chcesz zrobić?

- Nie będę beczynn timer czekał, aż Jack Pierce łaskawie z tobą się skontaktuje. Spróbuję go wyprzedzić. Najpierw muszę znaleźć Toby'ego. Potem zrobię dosłownie wszystko, żeby zniszczyć Pierce'a. - Adam mówił powoli, ale z pasją. Tak zaciskał pięści, aż mu pobielały palce. - Nieważne, ile to może potrwać. Srogo mi zapłaci. Zgnije w piekle.

Edwina odruchowo się cofnęła.

- Za dzień lub dwa będę mógł ci powiedzieć nieco więcej - dokończył Adam. - A teraz powinnaś wracać na Long Acre.

Mówił to na poły obraźliwym tonem. Tym razem dotknęła ją do żywego.

- Skoro jesteś w takim nastroju - odparła - to rzeczywiście nie pozostaje mi nic innego. Może później, jak trochę ochłonie i rozum ci wróci, to zobaczysz, że z miłości ryzykowałam życie dla ciebie i Toby'ego. Do widzenia, Adamie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła z dumnie podniesioną głową, ale w jej pożegnalnych słowach było tak wiele rezygnacji i ogromnej goryczy, że wreszcie trafiły do Adama.

Zrozumiał znaczenie jej postępowania - i złość uleciała

z niego jak zdmuchnięta. Z namysłem spojrział za odchodzącą dziewczyną.

- Edwino - powiedział cicho.

Zatrzymała się, ale nie odwracała głowy.

- Wszystko rozumiem - ciągnął łagodnym tonem. - Wiem, że poszłaś do Jacka Pierce'a tylko ze względu na Toby'ego. Za wielką dobroć i odwagę odpłaciłem ci podejrzeniami. Wybacz mi. Przepraszam.

W dalszym ciągu stała nieruchomo.

- Chodź do mnie.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Wydawało się, że dzielili ich co najmniej mila. Edwina powoli zrobiła kilka kroków i stanęła przed urodziwym, wysokim mężczyzną, który patrzył na nią z głęboką powagą. W jego oczach zamigotały cieplejsze błyski.

- Zostawmy na chwilę Toby'ego, Adamie. Porozmawiajmy tylko o nas. Spytałam cię, czy wciąż mnie pragniesz. Do tej pory mi na to nie odpowiedziałeś. Jednak to dla mnie bardzo ważne, jeżeli mam być twoją żoną. Muszę to wiedzieć.

Adam ujął jej twarz w dłonie i spojrział prosto w jej wspaniałe oczy. Już się nie złościł ani nie uśmiechał drwiąco. Jego głos nabrał uroczystych tonów.

- Czy cię pragnę? Jak możesz o to pytać, mój mały głup-tasku... Przecież wiesz, że nigdy nie przestanę cię kochać. Zapragnąłem cię w tej samej chwili, w której dowiedziałem się, że nie jesteś trzynastoletnim złodziejaszkiem z zaułków St Giles. W jednej sekundzie byłeś niemal dzieckiem, w drugiej dojrzałą i mądrą kobietą. Masz w sobie siłę... i tajemnicę. Nie wiem, czy kiedyś poznam cię do końca.

- Musisz wiedzieć, że jestem jedynie kobietą. Kobieta, która cię naprawdę kocha. To wszystko.

Adam otoczył ją ramionami i przygarznął do siebie. Nagle poczuła jego gorące usta na czole, powiekach i policzkach. Zalała ją fala radości. Przywarła do niego całym ciałem i przytknęła oczy, żeby się nie rozpłakać. Adam pocałował ją długo i namiętnie, a potem ujął ją pod brodę. Blask słońca zatańczył w zielonych oczach Edwiny.

- Chciałbym cię jeszcze o coś spytać, moja ukochana. Czy powiedziałaś mi już naprawdę wszystko? Nie masz przede mną żadnych innych tajemnic? Nic więcej nie trapi twojej ślicznej główki?

Popatrzyła na niego i leciutki rumieniec z wolna zabarwił jej gładkie policzki. Wiedziała, co się kryje za pytaniem Adama. Uniósł brwi i cierpliwie czekał na jej odpowiedź. Ale ona najpierw musiała przełknąć łyż radości, ulgi i wielkiego szczęścia.

- No cóż... Tak... - wyszeptała jakby nieśmiało. - Jest jeszcze jedna sprawa... Małeńki sekret, o którym powinienesz wiedzieć. To dotyczy pewnego dziecka. Naszego dziecka...

Adam krzyknął i uściskał ją z całej siły.

- Moja piękna, kochana dziewczyno... Dziękuję! - szepnął gorąco i zanurzył twarz w jej złocistych, pachnących włosach. Po dłuższej chwili odsunął ją na wyciągnięcie ręki. Przecudne oczy jego przyszłej żony były pełne łez, ale na ustach widniał szczęśliwy uśmiech.

- Jesteś pewna?

- Wprawdzie to bardzo krótko, ale... tak, jestem tego pewna. Widzę, że się cieszysz, że zostaniesz ojcem.

- Czy się cieszę? - Adam roześmiał się na całe gardło. - Och, ukochana! To zdecydowanie za mało powiedziane. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! Co prawda nie mam żadnego doświadczenia z dziećmi, ale... na pewno dam sobie radę. Jeszcze raz ci dziękuję, moja miłości. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, nawet przez myśl mi nie przeszło, że przyjdzie dzień, w którym nagrodzisz mnie tak wspaniałym darem! Teraz już wiem, że nasza miłość jest spełniona...

Przeszedł na drugą stronę gabinetu i napełnił winem kieliszki. Jeden podał Edwinie.

- Wypijmy toast za zdrowie naszego dziecka - powiedział. - A potem powiesz, jak mogę ci się odwdziżyć za tyle radości.

- Już mi się odwdziżyłeś, Adamie - odparła. - Ale do pełnego szczęścia musimy jeszcze jak najprędzej odnaleźć Toby'ego.

Smutne domysły Edwiny potwierdziły się w czasie rozmowy z panią Drinkwater. Dolly osobiście wybrała się na Long Acre, by jeszcze raz przeprosić za niefortunne zachowanie swojej siostrzenicy na wernisażu. Ubrana była w skromną ciemnozieloną suknię. Wyglądała raczej jak powszechnie szanowana dama w średnim wieku niż właścicielka znanego *bor-dello* na Covent Garden.

- Cóż, muszę przyznać, że nasza Barbara wcale nie jest spokojną i układną dziewczyną, jaką by chciała widzieć ją moja siostra - powiedziała. Edwina zaprosiła ją do salonu. Usiadły na dużej kanapie. Poza nimi w pokoju nie było nikogo. Dolly

z zadowoleniem stwierdziła, że są same, bo to, co chciała za chwilę powiedzieć, było przeznaczone wyłącznie dla Edwiny.

- Tak, wiem - westchnęła Edwina. - Już kilka razy dała mi dobitnie wyraz swojej niechęci.

- Barbara wszystkich traktuje z góry. Zauważyłaś, że jest bardzo piękna i obdarzona silnym charakterem. Niestety, jest to zarazem jej przekleństwo. Chodzi też o Adama. To człowiek niezłomnych zasad. Od swych przyjaciół oczekuje dyskrecji i lojalności. Nikt o tym nie wie lepiej od Barbary. Dziewczyna siedzi teraz w domu w Chelsea i użala się nad sobą. Chyba żałuje, że w ogóle poznała kiedyś Jacka Pierce'a.

Spojrzała na Edwinę.

- Adam i ty znacie całą prawdę. Twój stryj zachował się wspaniale, ale obawiam się, że Barbara nadal nie rozumie, skąd bierze się twój strach przed Pierce'em. Dobrze, że to zdarzenie przybrało taki, a nie inny obrót. Duża w tym zasługa twojego stryja.

- Święte słowa... - Edwina uśmiechnęła się na myśl o stryju Henrym. - To już nie pierwsza miła niespodzianka, jaką mi sprawił, od kiedy wróciłam do Oakwood Hall. Lecz co z Barbarą?

- Zapłakana, biedna i strasznie zawstydzona - z uśmiechem odpowiedziała Dolly. - Jestem przekonana, że przez pewien czas nie wystawi nosa z Chelsea. Zawsze wiedziałam, że jej awantury skończą się w ten sposób. Cóż... Zakochała się w Adamie. Chyba nie można jej za to winić, że przez pewien czas żyła marzeniami.

- To rozumiąłem. Odwiedziła mnie, kiedy Adam wyjechał do Taplow. Wiedziała pani o tym?

- Tak, Edwino. Sama mi to powiedziała. Kocham ją, ale wiem, że nie byłaby dla niego dobrą żoną. Za to ty, kochanie, świetnie wywiązesz się z tej roli.

- Och...

- Słyszałam od Adama, że poprosił cię o rękę.

- Owszem, to prawda... i powiedziałam „tak” - nieco ciszej odparła Edwina.

- Cieszę się. Będiesz wspaniałą hrabiną - oznajmiła Dolly. - Kochasz go?

- Tak, i powtarzam mu to często.

- Masz dobry gust.

Dolly z uśmiechem popatrzyła na jej zaróżowioną twarz i roziskrzone oczy.

- Tylko nie przejmuj się plotkami, które wciąż krążą na jego temat - powiedziała. - Są przesadzone. Owszem, Adam znał w życiu kilka kobiet, lecz jego sława nijak się ma do rzeczywistości. Jedno jest pewne: długo czekał na tę jedyną. Mam na myśli ciebie, moja kochana. Bardzo się cieszę, bo już myślałam, że do końca życia zostanie kawalerem.

Edwina spojrzała na nią z zakłopotaniem.

- Mam nadzieję, że on też mnie kocha...

- Znam Adama od czasu, kiedy był sześciolatnim chłopcem, i potrafię rozpoznać każdy jego nastrój. Ale pod jednym względem muszę przyznać rację Barbarze. Kobiety zawsze do niego lgnęły. On jednak z równą łatwością kochał je i porzucał. Zmienił się dopiero wówczas, gdy poznał ciebie.

- Oby to była prawda... - westchnęła Edwina.

- Możesz mi wierzyć. Pamiętaj jednak, że na początku musisz być cierpliwa, gdy sprowadzicie się do Taplow Court. Za

wiele złych i ponurych wspomnień łączy Adama z tamtym domem.

- Zawsze z goryczą mówił o kuzynie. O co w tym chodzi? Co się stało? - cicho spytała Edwina.

- To nie były dla niego najszcześniejsze lata. Znałaś Silasa.
- Potworny człowiek.

Cień smutku przemknął przez twarz Dolly.

- Masz rację. Słyszałaś o tym, że przez kilka lat byłam gospodynią w Taplow Court?

Dziewczyna potwierdziła.

- Byłam też kochanką Silasa.

Edwina spojrzała z niedowierzaniem.

- Kochała go pani?

- Niestety tak. Bardzo się tego wstydzę. Ale powoli moja miłość zmieniała się w nienawiść. Silas nigdy nikogo nie pokochał. Dopiero wtedy, kiedy rzucił ofiarę na kolana, zdeptał ją i poniżył... - Dolly przerwała nagle. - Tak, tylko w tym znajdował pełną satysfakcję. Był wcielonym diabłem, Edwino, i popełnił wiele potwornych rzeczy.

Dziewczyna ujęła jej rękę.

- Wiem o tym, że zamordował ojca Toby'ego... i że po śmierci siostry oddał chłopca włóczęgom. Adam mi powiedział.

- Tak? To chyba dobrze. Trudno mi wracać do tamtych wspomnień - szepnęła Dolly. - Wtedy poczułam, że go naprawdę nienawidzę... Silas uwielbiał krzywdzić ludzi. Znęcał się nawet nad Adamem.

- Adam miał sześć lat, kiedy zamieszkał w Taplow Court?

Dolly potakująco pokiwała głową.

- Przeżywał bardzo ciężkie chwile po tragicznej śmierci rodziców. Ale Silas z tym się nie liczył.

Opowiedziała Edwinie o nieszczęśliwym dzieciństwie Adama i okrucieństwach starszego kuzyna.

- W końcu Adam nauczył się maskować swoje uczucia. Pod tym względem do dzisiaj nic się nie zmieniło. Lecz z pasją zajął się malarstwem. Duża w tym zasługa jego mistrzów, którzy odkryli w nim prawdziwy talent.

Dolly umilkła na kilka sekund i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Kiedy na pewien czas wrócił z uczelni do Taplow Court - powiedziała z namysłem - był dużo wyższy i silniejszy... - Uśmiechnęła się. - Wszedł do domu długim, zdecydowanym krokiem... Od tamtej pory Silas dał mu spokój. Ale nienawiść pozostała. Adam z rezerwą i cynizmem odnosi się do świata. Owszem, potrafi znaleźć się w towarzystwie, lecz do nikogo nie ma zaufania.

Poklepała Edwinę po dłoni.

- Ufam, że ty go zmienisz.

- Spróbuję.

- Wiem o tym, i dlatego życzę ci powodzenia. Jestem pewna, że ci się uda. Jako twój mąż powoli zapomni o przeszłości. Masz wiele szczęścia, że nie wyszłaś za Silasa.

- Tak... Dziękuję za to opatrności. Adam wspominał pani, że to Silas zabił mojego ojca?

Dolly popatrzyła na nią zaskoczona.

- Nie? O czym ty mówisz, dziecko? - spytała ze zgrozą.

- To długa historia... - Edwina zmusiła się do tego, by jeszcze raz wrócić do ponurej przeszłości i opisać upadek Gordona Marchanta, pożyczkę od Silasa i dalsze tragiczne wydarzenia

nia. Kiedy skończyła mówić, w napięciu czekała na odpowiedź Dolly. Zapadła długa cisza.

- Na litość boską! - roztrzęsionym głosem odezwała się wreszcie Dolly. - Jeszcze jedno morderstwo...

- Właśnie. Adam wspomniał mi, że widziała pani śmierć ojca Toby'ego.

Pani Drinkwater pokiwała głową.

- Tak, tak... Patrzyłam, jak Silas wbił mu nóż prosto w serce. To był niejaki Joseph Tyke. Dzielny człowiek. Oczywiście, zamierzał ożenić się z Olivią, ale dla Silasa wciąż był tylko służącym. Takie małżeństwo nie wchodziło w grę. Po śmierci Josepha zrozpaczona Olivia zamieszkała u jego rodziców w St Albans. Wkrótce po niej i ja opuściłam Taplow Court. Potem już nie mogłam się z nią skontaktować.

Edwina słuchała ze ściśniętym sercem.

- Dobry Boże, ile jeszcze grzechów popełnił ten potwór? - Spojrzała na Dolly i głośno przełknęła ślinę. - Dlaczego... dlaczego nigdy nie stanął przed sądem? Przecież za swoje czyny powinien ponieść karę!

Dolly uśmiechnęła się smutno.

- Byłam jedynie gospodynią. Silas miał wielkie wpływy. Nie musiał bać się prawa, wręcz przeciwnie, dość często naginał je dla własnych celów. Nikt by nie uwierzył w moje oskarżenia. .. Ale ty, Edwino? Nie mogłaś wyjawić władzom prawdy o śmierci ojca?

- Niestety, stryj powiedział mi o tym dopiero niedawno, po moim powrocie do Oakwood Hall. Silas nie żyje, sprawa zamknięta. Nie widzę powodu, żeby grzebać się w przeszłości.

- Rozumiem i podzielam twoje zdanie. Lepiej zapomnieć o tym, co było, i z ufnością patrzeć przed siebie.

Dolly wstała.

Edwina ujęła ją pod rękę.

- Dziękuję, że pani zechciała mnie odwiedzić. Otrzymałam odpowiedź na wiele ważnych pytań.

- O to mi właśnie chodziło.

- A nie zostanie pani do powrotu stryja Henry'ego? Sir Joshua Reynolds był tak uprzejmy, że zaprosił go do atelier, aby mu pokazać swoje prace. Państwo Templeton też skorzystali z tego zaproszenia. Wyszli już dosyć dawno, więc można się spodziewać, że wrócą w każdej chwili.

- Dziękuję, Edwino, ale muszę wracać. Nigdy nie wiadomo, co strzeli dziewczętom do głowy pod moją nieobecność. A poza tym... - Popatrzyła na nią z wesołym błyskiem w oku. - Twój stryj chyba nie wie, że jestem słynną Dolly z Covent Garden. Podejrzewam, że nasze spotkanie byłoby nader krótkie.

Edwina zapewniła ją, że za kilka dni wpadnie do kasyna na spotkanie z Harriet. Rozstały się jak serdeczne przyjaciółki.

Tydzień później odbył się ślub Adama i Edwiny. Nie chcieli hucznego wesela, a jednak przygotowania były gorączkowe. Przez ten czas Edwina zaledwie dwa razy widziała Adama. Czasami przez umyślnego przesyłał jej wiadomość, że mimo starań jeszcze nie zdołał ustalić miejsca pobytu Jacka Pierce'a. Chytry paser jak lis schował się w jakiejś norze.

W dniu ślubu Edwina zobaczyła Adama w głównej nawie kościoła świętego Klemensa od Duńczyków na Strandzie.

- Jesteś piękna - wyszeptał z dumą, kiedy stanęła przy nim. Zdecydowanie ujął jej rękę i poprowadził do ołtarza.

Skapani w promieniach słońca przesączających się przez piękny witraż, klękli przed kapłanem, który wygłosił modlitwę, pobłogosławił związek i wreszcie wezwał pana młodego, by pocałował swą oblubienicę.

Przyjęcie odbyło się w głównym salonie domu państwa Templeton. Edwina przez cały czas stała u boku Adama i z wdzięcznym uśmiechem nieśmiało dziękowała za życzenia składane jej przez gości. Popijając szampana, wciąż miała wrażenie, że to tylko sen, z którego wkrótce się obudzi. Na szczęście Adam wyczuł jej nastrój i pomógł jej powrócić do rzeczywistości.

Godzinę po przyjęciu Edwina, hrabina Taplow, w towarzystwie męża wsiadła do błyszczącej czarnej karocy z herbem Taplow na drzwiczkach. Adam polecił stangretowi jechać na Mayfair.



Rozdział szesnasty

Błade promienie słońca z trudem przedzierały się przez zasłony. Edwina obudziła się z głębokiego snu i spojrzała na leżącego obok niej mężczyznę - swego męża. Z uśmiechem przypominała sobie minioną noc, pierwszą, którą spędzili ze sobą po ślubie.

Adam otworzył oczy, popatrzył na nią i pocałował ją w czubek głowy.

- Też już nie śpisz? - słodko zamruczała Edwina. Uniosła wzrok i napotkała jego zadumane spojrzenie. - O czym teraz myślisz?

Nie odpowiedział od razu. Zaczepnął tchu, jakby najpierw chciał się uspokoić, a potem odparł, na pozór spokojnie, ale z jakąś stalową nutą w głosie:

- O Jacku.

Edwina westchnęła z głębi piersi. Rozkoszna chwila minęła.

- Musisz?

Adam zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości.

- Muszę znaleźć Toby'ego. A Pierce ukrył się tak sprytnie, że wciąż nie mogę go wysledzić.

- Jestem pewna, że wciąż jest w St Giles.

- Może masz rację. Ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Wątpię, by zrezygnował z włamania do Taplow Court.

- Tak, to raczej nie wchodzi w rachubę. Podejrzewam, że tylko się przyczał. Wyjdzie z ukrycia, kiedy zjedziemy do Taplow.

- W takim razie podamy do publicznej wiadomości, że przeprowadzamy się za trzy dni. - Adam uderzył pięścią w łóżko. - Cały tydzień poszukiwań, dyskretnych pytań, pogroźek, obietnic i przekupstwa... Wszystko na nic. W St Giles jest tyle ulic, ciemnych zaułków, piwnic, komórek i strychów, że Jack Pierce mógłby się tam ukrywać do sądnego dnia.

Edwina położyła się na brzuchu i popatrzyła na niego spod oka.

- A co będzie, jeśli się dowie, że go szukasz? - spytała. - Kto na tym najbardziej ucierpi? Toby.

- Wiem. Jednego jestem zupełnie pewny, że Pierce nadal nas obserwuje. Ma tu pomagiera. Ciagle ktoś kręci się pod domem, chociaż nie umiem ci powiedzieć, czy to ten sam człowiek, który cię pilnował w Hertfordshire. Trzeba go zmylić. Naprawdę nie wiesz, jak dotrzeć do Pierce'a? Nie pamiętasz, gdzie chował skradzione rzeczy? Przecież musi mieć jakąś skrytkę, piwnicę, magazyn... Musi zatrudniać jubilerów, którzy potrafią zmienić wygląd tabakierki lub kolczyków...

- Tak, to prawda, ale niestety, nie wiem, gdzie ich szukać. Jack mnie nie dopuszczał do kręgu najbliższych pomocników. Jego gang nie należy do największych w St Giles, ale wyróżnia się organizacją. Aby znaleźć Jacka, potrzebny jest ktoś stamtąd. .. Ktoś, kto dokładnie zna zasady rządzące tym światem.

- Pewnie tak. Słyszałem, że wszyscy się go boją. Komu więc mogę zaufać? Kto byłby na tyle sprytny, żeby po cichu dotrzeć do jego kryjówki?

- Na przykład Ed.

Spokojna odpowiedź Edwiny sprawiła, że Adam podskoczył jak dźgnięty nożem. Nastroszył się i złym wzrokiem spojrział na piękną żonę.

- Żaden Ed - warknął. - Wybij to sobie z głowy.

Całym ciężarem ciała przygniótł Edwinę do miękkiego łóżka.

- Słyszysz mnie? - spytał. - Nie będziesz więcej udawać Eda. To już należy do przeszłości. Zrozumiano?

- Tak, słyszę - odparła. - Ale mówiłam poważnie.

- Wiem... i to mnie najbardziej martwi. Nie masz pojęcia, na co się chcesz narazić.

Ton jego głosu wskazywał niedwuznacznie, że to koniec rozmowy na ten temat.

- Zrobię wszystko, żeby odnaleźć Toby'ego - upierała się Edwina. - Chociaż pomyśl o tym.

- Moja odpowiedź brzmi „nie"! Rozumiesz?

Ale Edwina pokręciła noskiem.

- Znam takie miejsca w St Giles, o których ci się nawet nie śniło. Znajdę Jacka.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoje zdolności - sarkastycznie powiedział Adam. - Ale nie zmienię zdania. Myśl sobie, co chcesz - zabraniam ci tam chodzić. Pamiętaj, że jesteś moją żoną... i że wkrótce zostaniesz matką. Jeśli spróbujesz mi się sprzeciwić, to zamknę cię na klucz w jakimś pokoju i wypuszczę dopiero za dziewięć miesięcy.

- Tego na pewno byś nie zrobił.
- Lepiej nie drażnij mnie, Edwino - mruknął ostrzegawczo.
- Obiecuj mi, że nie będziesz niepotrzebnie się narażać.

Edwina zaczerwieniła się po same uszy. Żeby jakoś wybrnąć z sytuacji, objęła go za szyję i mocno przygarnęła do siebie.

- Nie obiecuję - wyszeptała. - Spróbuj bez tego mi zaufać.

Następnego dnia Adam wybrał się do Royal Academy na spotkanie w gronie przyjaciół. Edwina ostrożnie wymknęła się tylnymi drzwiami i jak cień zniknęła w zapadającym mroku. Kompan Jacka czekał na ulicy, więc oczywiście jej nie zauważył.

Wyglądała jak chłopiec - w spodniach, ciężkich butach i obszernym kaftanie zabranym ze stajni. Chwilę przed wyjściem znów obcięła włosy i rozsmarowała sadzę na dłoniach i twarzy. Skrzywiła się, widząc w lustrze efekt tych zabiegów. Ha, trudno... - pomyślała.

Pewnym krokiem szła pod osłoną mroku w kierunku St Giles. Zanim tam dotarła, zrobiło się całkiem ciemno. Zagłębiła się w płataninę zaułków i ulic. Mimo późnej pory dzielnica jak zwykle tętniła życiem.

Czas mijał. Pół godziny później Edwina zauważyła jakiegoś chłopaka, który opierał się o mur tawerny. Był to jeden ze starszych „pracowników” Jacka, niejaki Jonathan Ward. Drobnej postury, miał mniej więcej piętnaście lat i nie lubił za dużo mówić. Nosił brudny, obszerny płaszcz, dyndający mu aż do chudych łydek. W środku były wszyte kieszenie na łupy.

Edwina wepchnęła ręce do kieszeni i ostrożnie podeszła bliżej.

- Cześć, Ed - mruknął Jonathan. - Znów tutaj? Jack był wściekły na ciebie. Gdzie się podziewałeś?

Edwina wzruszyła ramionami i oparła się o ścianę obok niego.

- Tu i tam... Głównie po drugiej stronie rzeki, w Southwark.

- Obłowiłeś się?

Pokręciła głową.

- Coś ty... Wolałem wrócić. Znowu spróbuję szczęścia z Jackiem. Jest tu gdzieś?

- Gdzieś - obojętnie przytaknął Jonathan, z uwagą przyglądając się przechodniom. - Na twoim miejscu bym go nie szukał. Wiesz, co ci może zrobić.

Znaczącym ruchem przeciągnął palcem po szyi.

- Jednak spróbuję.

- Gdzie mieszkasz?

- Nigdzie. Nie mam ani pensa.

- Zawsze możesz się przespać u Mamy Pratchet... skoro masz zamiar znów pracować z Jackiem. Chodź. - Jonathan oderwał się od ściany. - I tak nie mam tu już nic do roboty.

Edwina zebrała w sobie resztki odwagi i posłusznie poczępała za nim.

Jonathan zaprowadził ją na małe podwórko w Gnieździe Wron. Z obrzydzeniem spojrzała na starą rudere, w której sypiali młodociani pomocnicy Jacka - ale nie na piętrze, gdzie czasami docierało światło, lecz na dole, pod schodami, w ciemnych piwnicach, obok świń, kurcząt i gryzoni. Był tam niesamowity smród, wilgoć i ciasnota.

Zeszli po wąskich kamiennych schodach do podziemnego

świata. Dookoła, na nędznych, gnijących siennikach spało kilkudziesięciu brudnych chłopców, tak stłoczonych, że nie wcisnęłoby się między nich szpilki.

Mama Pratchet wyglądała dokładnie tak, jak w opowieściach - a może jeszcze gorzej. Była to gruba, brzydka starucha o długich siwych włosach, niemal zgarbiona pod ciężarem ogromnych piersi. Na widok Jonathana odeszła od kociołka, w którym coś mieszała, i wzięła do ręki świecę. Nie poznała Edwiny, więc podeszła bliżej, żeby ją obejrzeć. Na jej usmoleonej twarzy czaił się wyraz okrucieństwa.

- Co my tu mamy? - zapytała, obrzucając Edwinę uważnym spojrzeniem.

- To jeden z naszych, Mamo - odpowiedział Jonathan. - Ma na imię Ed. Kiedyś pracował dla Jacka, więc zna się na rzeczy. Nie ma gdzie spać, no to przyszedł tutaj.

Jonathan często przyprowadzał nowych chłopców, więc Mama Pratchet nie była zdziwiona. Bezceremonialnie dźgnęła Edwinę pod żebra.

- Gruby jesteś, chłopaczku - zaskrzeczała. - Ktoś dobrze cię nakarmił?

Nie czekając na żadną odpowiedź, odstawiła świecę i wzięła się pod boki.

- Jeszcze jeden od Jacka - mruknęła. - Możesz zostać.

Ruchem głowy wskazała pusty siennik pod ścianą.

- Śpisz tam. Ale ostrzegam cię... żadnych awantur. Zrozumiano? Jesteś w porządnym domu.

- Oczywiście - burknęła Edwina i od razu poszła na swoje miejsce, żeby nie czuć przesiąkniętego dżinem oddechu Mammy Pratchet. Po drodze rozejrzała się ukradkiem w obawie, że

za chwilę zobaczy gdzieś Jacka. Na szczęście go nie było. Pewnie pił w jakiejś oberży,

- Idę na miasto - oznajmił Jonathan. - Pójdiesz ze mną?

Edwina pokręciła głową.

- Chyba nie... Prześpię się trochę.

Popatrzyła po śpiących. Ciekawe, czy któryś z nich widział Toby'ego?

- Jak chcesz - mruknął Jonathan. Wsadził ręce w kieszenie i pogwizdując cicho, skierował się do drzwi.

Edwina położyła się na cuchnącym sienniku. Spod przykniętych powiek obserwowała Mamę Pratchet. Starucha właśnie skończyła kolejną porcję dżinu. Jeszcze trochę i zasnie, pomyślała Edwina.

Tak też się stało, choć Edwinie wydawało się, że minęły wieki, nim Mama pochyliła głowę i zachrapała donośnie. Edwina uniosła się na łokciu. Chciała kogoś zagadnąć o Toby'ego, ale wszyscy spali.

Westchnęła i podrapała się po szyi. Pchły... Podczas pobytu w domu Adama i w Oakwood Hall zdążyła o nich zapomnieć. Chciała z powrotem się położyć, kiedy jej wzrok padł na niewielką kulę inwalidzką leżącą pod ścianą. Usiadła i przyjrzała się małemu chłopcu, śpiącemu nieco dalej od reszty. Był chudy i miał mocno przetłuszczzone czarne włosy.

Serce zabiło jej mocniej. Powoli, żeby nikogo nie obudzić, przekradła się przez izbę i przykłękała przy kalece. Przypatrywała mu się przez chwilę, a potem delikatnie potrząsnęła go za ramię.

- Toby? - szepnęła.

Nie poruszył się, więc szarpnęła go trochę mocniej.

- Toby? - powtórzyła. Poruszył się i otworzył oczy - piwne, tak jak mówił Adam.

- Czego chcesz? - mruknął, przecierając oczy.

Głos Edwiny zadrżał z napięcia.

- To ty jesteś Toby? - zapytała. - Toby Clifford?

Małec przewrócił się na wznak i spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak. A ty?

Westchnęła z niewysłowioną ulgą.

- Nic się nie bój. Jestem twoim przyjacielem. Chcę cię stąd zabrać.

- Nigdzie nie mogę pójść. Jack będzie wściekły.

- Wolisz zostać tutaj?

Przecząco pokręcił głową.

- W takim razie chodź ze mną, dopóki Mama śpi. Pomogę ci. Możesz mi zaufać.

Adam wrócił dość późno ze spotkania w Akademii Sztuki i od razu poszedł do pokoju, który zajmował z Edwiną. Był zmęczony, zły - i stęskniony za piękną żoną. Chciał pobyć z nią chwilę sam, więc odprawił zaspanego lokaja i wszedł do sypialni.

W progu zamarł na widok pustego łóżka. Było nietknięte.

Gdzie jest Edwina? Adam szybko zapalił świecę stojącą w lichterzu na jej toaletce i rozejrzał się. Już miał zawołać służbę, kiedy zauważył kilka złotych loków leżących obok szczotki do włosów. Popatrzył na nie z przerażeniem. Znał tylko jeden powód, dla którego Edwina mogła znowu obciąć włosy...

Tymczasem w zaułkach St Giles Toby i Edwina pomału przedzierali się w kierunku miasta. Małec do tej pory nie

odezwał się ani słowem. Co prawda nic nie wiedział o swoim przewodniku, ale zaufał mu bez wahania. W pewnym momencie potknął się i jęknął cicho.

Edwina natychmiast spojrzała przez ramię. Zauważyła, że konic szczudła utknął w wąskiej szczelinie między kamieniami.

- Przepraszam - wyszeptał Toby.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała. - Zaraz ci pomogę.

Wyciągnęła szczudło. Toby miał na sobie jedynie cienką koszulę, więc drżał z zimna. Edwina bez wahania oddała mu swój kaftan. Chłopiec uśmiechnął się z wdzięcznością. Poszli dalej, od czasu do czasu przystając, żeby mógł odpocząć. Dziewczyna wciąż obawiała się pościgu. Mama Pratchet na pewno wciąż śpi, ale co będzie, jeżeli Jack wcześniej niż zazwyczaj wróci z nocnego pijaństwa?

Mieli szczęście. Świtało już, kiedy wydostali się z St Giles i poszli w stronę eleganckiej Mayfair. Wiał świeży poranny wietrzyk, a w gałęziach drzew rozbrzmiewały pierwsze głosy ptaków.



Rozdział siedemnasty

W pobliżu domu Toby przystanął nagle, cofnął się o pół kroku, oparł plecami o ścianę i pokręcił głową.

- Nie pójdę tam - powiedział z wyraźnym przestrachem.

- Co się stało, Toby? - spytała Edwina.

Malec popatrzył na nią przerażony.

- Tam mieszka wuj Silas.

Edwina w lot zrozumiała jego obawy.

- Nie - powiedziała szybko. - Silas już nie żyje. To dom Adama. Twoja mama była jego kuzynką. Po śmierci Silasa majątek przeszedł właśnie na Adama.

Toby popatrzył na nią bystro.

- Taplow Court też?

- Tak. Zobaczysz, że się polubicie. Adam od dawna próbował cię odnaleźć.

W ciemnych oczach chłopca błysnęła nadzieja.

- Naprawdę?

Edwina pokiwała głową. Toby popatrzył na nią spod oka. Coś mu nie pasowało.

- A ty kim jesteś? - zapytał w końcu.

Edwina uśmiechnęła się. Białe zęby dziwnie nie pasowały do jej umorusanej twarzy.

- Mam na imię Edwina. Adam jest moim mężem.

Toby wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Jesteś... kobietą? - wyjąkał.

Roześmiała się cicho.

- Wiem, że w tej chwili na to nie wyglądam.

- Dlaczego się tak ubrałaś?

- To długa historia, Toby. Kiedyś ci ją opowiem. Ale teraz chodź - zaprowadzę cię do twojego nowego domu.

Kiedy znaleźli się w przestronnym holu, służba spojrzała na nich ze zdziwieniem. Edwina wzięła Toby'ego pod rękę i niewiele myśląc, pociągnęła go w stronę schodów wiodących na piętro. W tej samej chwili z kuchni wyłoniła się pani Harrison.

- Chwileczkę, chłopcy! - zawołała ostro.

Podeszła do nich z groźną miną. Najpierw spojrzała na młodszego, a potem przeniosła wzrok na Edwinę. Sekundę trwało, zanim rozpoznała swoją panią. Uniosła ręce i cofnęła się z cichym jękiem.

- Na litość boską! Pani Edwina!

Na brudnej twarzy dziewczyny zagościł radosny uśmiech.

- Przepraszam, że panią przestraszyłam. Musiałam przebrać się za ulicznika.

- Skoro tak... Najważniejsze, że wróciła pani cała i zdrowa.

Edwina popchnęła Toby'ego przed siebie.

- To jest Toby, pani Harrison. Toby Clifford. Ten sam, którego mój mąż tak długo poszukiwał.

Gospodyni z nieukrywaną troską popatrzyła na małego kalekę. W jej oczach zamigotały łzy.

- Rzeczywiście... Bardzo się cieszę. Pan Adam przeczesał już niemal cały Londyn...

- Jest u siebie? - ostrożnie spytała Edwina. - Wciąż śpi?

- Śpi? Na Boga, co też pani mówi! Od wczoraj szaleje z rozpaczy... Jest zły na panią - dodała po chwili pani Harrison. Wolała uprzedzić Edwinę o nadciągającej burzy.

Edwina zbyt szybko się tym nie przejęła.

- Pewnie mu przejdzie, kiedy mnie zobaczy - powiedziała. - Proszę przygotować pokój dla Toby'ego... i coś do jedzenia. Na pewno jest bardzo głodny. - Uśmiechnęła się do malca, który z przejęciem rozglądał się po domu. - Obojgu nam przyda się solidna kąpiel. Idź z panią Harrison. Zobaczymy się trochę później.

Nie chciała, żeby Adam ujrzał ją w tym stroju. Pobiegnęła na górę i kazała Amelii zagrzać balię wody. Kilkanaście minut później zanurzyła się w rozkosznej kąpeli. Przez chwilę siedziała bez ruchu, z przymkniętymi oczami. Och, jak dobrze zmyć z siebie St Giles...

Właśnie sięgała po mydło, kiedy drzwi rozwarły się z trzaskiem i wpadł Adam. Edwina schowała się pod wodę, tak że wystawała jej tylko głowa.

Amelia zamarła koło łóżka. Adam obrzucił ją złym spojrzeniem.

- Wyjdź - rozkazał sucho.

Pokojówka zbladła z przerażenia, co wzbudziło natychmiastową litość Edwiny.

- Ależ kochanie... - zawołała. - Amelia jest mi potrzebna...

- Wyjdź - nieco ciszej powtórzył Adam i głową wskazał drzwi.

Edwina westchnęła ciężko.

- Wszystko w porządku, Amelio - powiedziała. - Zostaw nas samych. Za kilka minut cię zawołam.

Adam dał krok w stronę balii i zahaczył nogą o brudne ubrania leżące na podłodze. Poczzerwieniał.

- Zaczekaj - warknął do Amelii, która chyłkiem zmierzała w stronę drzwi. - Zabierz stąd te łachy. Niech je spalą.

Dziewczyna chwyciła ubranie Edwiny i uciekła, jakby ją ktoś gonił.

Adam stanął nad balią i popatrzył na żonę.

- A zatem wróciłaś - mruknął. - Chyba powinienem od razu się domyślić, że wrócisz do postaci Eda. Co mi chciałaś udowodnić?

Ale tym razem jej nie przestraszył. Edwina była zbyt zadowolona z udanej eskapady, żeby przejmować się jego humorami.

- Co się stało, kochanie? Dlaczego się tak złościłaś? - powiedziała niewinnie.

Obrzucił ją lodowatym spojrzeniem.

- Jeszcze pytasz?! - wybuchnął. - Boże, trzymaj mnie, bo ją uduszę! - Jeżeli jeszcze raz mnie nie posłuchasz, to zapewniam cię...

- Że mnie udusisz? - beztrąsko spytała Edwina. - Już to gdzieś słyszałam.

- Przestań!

- Kto by to pomyślał? Uciekłam z St Giles, żeby zginać z rąk własnego męża!

- Nie drażnij mnie - wycodził Adam. - Szukałem cię do białego rana.

- Przepraszam - powiedziała słodko i zaczęła namydlać ręce. - Znalazłeś Jacka?

- Szukałem żony! - krzyknął. - Przez całą noc użerałem się z jakimiś pijakami i opędzałem się od prostytutek!

Edwina uśmiechnęła się i spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

- W to nie wątpię. Śmierdzisz jak cap, mój panie - zauważyła. - Może wskoczysz do balii? Zaraz będzie wolna.

Adam łypnął na nią. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Chyba że mi naleją czystej wody - burknął.

- Jak chcesz.

Zacisnął zęby.

- Edwino! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłaś! - zawołał, unosząc rękę, jakby rzeczywiście zamierzał ją uderzyć. - Co ty sobie wyobrazasz?

- Proszę cię, przestań na mnie krzyczeć - odrzekła spokojnie.

- Wcale nie krzyczę.

- Krzyczysz. Jeszcze nie rozmawiałeś z panią Harrison, prawda?

- Jedynie z lokajem. Pani Harrison nigdzie nie było.

Edwina uśmiechnęła się z wyższością, wysunęła z wody zgrabną nogę i delikatnie przesunęła po niej gąbkę.

- Pewnie kąpie Toby'ego.

Adam oniemiał.

- Toby'ego? - Edwina jeszcze nigdy nie widziała go tak zdumionego. - Zna...znalazłaś Toby'ego? - wyszeptał. - Jest tutaj?

- Uhm. Okazało się to niezbyt trudne. Opowiem ci o tym... ale może najpierw pójdziesz się z nim przywitać?

Adam gapił się na nią jak zakłęty. Potem odwrócił się na pięcie i wypadł na korytarz.

Edwina roześmiała się cichutko i zabrała za mycie głowy.

Jack Pierce zgrzytał zębami. Rano dowiedział się, że Toby uciekł z piwnicy Mamy Pratchet. Podobno zabrał go jakiś Ed! Jack nie miał wątpliwości, o kogo chodzi.

Potarł ręką czoło. W pierwszej chwili zrodziła się w nim żądza mordu. Ale nie... - uznał po chwili. To byłaby zbyt słaba kara. „Ed” i Adam Rycroft zasłużyli na większe cierpienia. Poczekał, kiedy już na dobre zjadą do Taplow Court... - pomyślał. Wtedy zniszczę ich krok po kroku. To będzie moja zemsta. Nie pozwolę, żeby ktoś bezkarnie kpił sobie z Jacka Pierce'a...

Wykapany i nakarmiony Toby leżał w wygodnym łóżku. Pani Harrison oświadczyła, że powinien dobrze wypocząć po wszystkich przejściach. Kilka minut później przyszedł do niego Adam. Przez chwilę stał w otwartych drzwiach, trzymając rękę na klamce. Nie wierzył własnym oczom. Nie mieściło mu się w głowie, że Edwina naprawdę znalazła Toby'ego.

Chłopiec pierwszy przerwał milczenie.

- Witaj. Jesteś Adam? - spytał miłym głosem.

Adam poczuł drapanie w gardle. Głośno przełknął ślinę.

- Tak... a ty masz na imię Toby, prawda? - Malec miał po ojcu czarne włosy, ale poza tym przypominał matkę. -

Dużo lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz widziałem twoją mamę.

Zdjął surdut i usiadł na brzegu łóżka.

- Po jej śmierci musiało ci być bardzo ciężko... Szukałem cię, lecz nie mogłem znaleźć...

- Znałeś wuja Silasa? - zapytał Toby.

- Tak. Był dużo starszy ode mnie. Kiedy zginęli moi rodzice, przez pewien czas mieszkałem w Taplow Court.

- Widziałeś tam mojego tatę?

- Josepha Tyke'a? Tak. Dobrze go pamiętam.

- Lubiłeś go?

- Nawet bardzo. Często jeździliśmy razem po okolicy.

- Wuj Silas go zabił! - zawołał Toby. - Wiedziałeś o tym?

- A ty skąd wiesz?

- Od dziadków. Ciągłe przypominali o tym mamie. Wtedy płakała, ale nie chciała się z nimi kłócić. Dziadkowie wierzyli w Boga, więc nie kłamali. Umarli razem, w ciągu tygodnia. Wtedy mama została sama...

- Wiem. - Adam zauważył ból w oczach chłopca.

- Była chora... więc wróciliśmy do wuja Silasa. - Toby zapatrzył się w przestrzeń. - Nie lubił mnie. Zawsze nazywał mnie bękartem. Z przejęciem spojrzął na Adama. - A dlaczego nie poszła do ciebie?

- Wyjechałem z Taplow Court. Byłem daleko, aż we Francji... Twoja mama napisała do mnie list, ale niestety dostałem go dopiero po jej śmierci. - Adam spuścił głowę. Nadal ciążyły mu te wspomnienia. - A potem powiedziano mi, że Silas oddał cię włóczęgom. Od tamtej pory cię szukałem. Powiedz mi... co to za ludzie? Bardzo się ich bałeś? Jak cię traktowali?

Toby zastanawiał się przez chwilę. Jak? A jak traktuje się psa?

- Nazywali się Quincey - odparł. - Powiedzieli, że będę ich służącym. Mieli niedźwiedzia. To jedno było dobre, polubił mnie. Jak czegoś prędko nie zrobiłem, to dostawałem w skórę. Wciąż brakowało nam jedzenia... najczęściej dla mnie. Przez pewien czas wędrowaliśmy po różnych targach i jarmarkach. Zawsze tam było dużo ludzi.

- W Londynie.

Pokręcił głową.

- Nie. Najpierw w Kent i Sussex. Dopiero zimą przyszedliśmy do Londynu.

- To wyjaśnia, dlaczego cię nie mogłem znaleźć. Nigdy nie próbowałeś uciec?

- Tylko raz, ale z moją nogą... Szybko mnie złapali. Wtedy już mieszkaliśmy w Wapping. Zabrali mi kulę i na kilka dni zamknęli w ciemnej izbie, o chlebie i wodzie. To było najgorsze. Musiałem walczyć ze szczurami. W nocy dręczyły mnie koszmary... Ciagle się budziłem. Wypuszczali mnie tylko po to, bym żebrał.

Adam przyglądał mu się ze współczuciem. Dobrze wiedział, że minie wiele czasu, zanim chłopiec otrząśnie się z tych wspomnień. On sam wciąż pamiętał smutne dzieciństwo.

- Teraz opowiedz mi o swoim spotkaniu z Jackiem Pierce'em.

- Kupił mnie, zabrał do St Giles i zostawił pod opieką jakiejś strasznej baby. Groził, że mnie zabije, jeśli kiedyś wyjdę na ulicę. Potem przyszła Edwina. - Toby uśmiechnął się. - Wiesz co? Myślałem, że to chłopak!

Adam też się uśmiechnął.

- Nie dziwię ci się. Nawiasem mówiąc, bez mojej zgody wybrała się do St Giles. Bardzo mnie tym zdenerwowała. Martwiłem się o nią.

Toby spojrział mu w oczy.

- Cieszę się, że nie wpadła w ręce Jacka. Na pewno by jej zrobił krzywdę. To wstrętny człowiek.

Adam spoważniał.

- Nie bój się. Już go nie zobaczysz. Teraz jesteś pod moją opieką. Chcemy z Edwiną, żebyś zamieszkał z nami. Nie masz bliższej rodziny. Powiedz... zostaniesz?

Toby otarł kąciaki oczu.

- Tak - powiedział cichutko.

- No to załatwione. - Adam chrząknął. - Jeszcze przez kilka dni będziemy w Londynie, a potem pojedziemy do Taplow Court. - Uważnie spojrzął na chłopca i zapytał:

- Boisz się?

- Chyba nie... - z wahaniem odpowiedział Toby. - Teraz, po śmierci wuja Silasa... Dlaczego zabił mojego tatę?

- Nie wiem, Toby. Nie było mnie przy tym. - Jak powiedzieć dziecku całą prawdę? - Wyjechałem o wiele wcześniej, bo też nie lubiłem twojego wuja.

- I nie powiesz mi, że dzieci nie powinny chować urazy do starszych?

- Nie. Od kogo to słyszałeś?

- Od mamy.

Adam pogładził go po głowie.

- Przyjdzie czas, że twoje złe wspomnienia odejdą w niepamięć.

Toby uśmiechnął się.

- Może pewnego dnia spotkam kogoś takiego jak twoja Edwina.

- Ach, Edwina... To rzadki skarb.

Chłopiec ziewnął. Adam popatrzył na niego z uśmiechem.

- Coś mi się zdaje, że gorąca kąpiel i przepyszne dania pani Harrison zrobiły swoje - mruknął. - Śpij, Toby. Kiedyś na pewno znajdziesz dobrą żonę... i będziesz z nią szczęśliwy.

Szczęśliwy? Toby wsunął się pod pachnącą kołdrę. Już nie pamiętał, kiedy był szczęśliwy... Pomyślał o ukochanej mamie.

Rozdział osiemnasty

Z bliska Taplow Court wyglądało jeszcze gorzej niż z dala. Dom był ponury. Ciemne szybki w małych oknach przepuszczały niewiele światła. Dwa dziwne kamienne lwy stały po obu stronach krótkich schodów, prowadzących do żelaznych drzwi. W górze, na bogato rzeźbionym portalu, kłębiły się tajemnicze bestie, węże i smoki.

Edwina weszła do olbrzymiego holu i z westchnieniem pokręciła głową. W upiornym domu panowała cisza, a w mrocznych wilgotnych kątach tańczyły nieprzyjemne cienie. Tak... to z pewnością była siedziba Silasa Clifforda. Być może błąkał się tu nawet po śmierci...

Adam patrzył na żonę. Chyba wiedział, co się z nią dzieje, ale nie dał tego po sobie poznać. Przypuszczał, że Toby podziela jej uczucia. Chłopiec wzdrygnął się na widok posępnego wnętrza.

Minęło kilka dni, podczas których Edwina z pomocą służby bezskutecznie próbowała tchnąć w dom odrobinę życia. Adam spoglądał na nią zatroskany. Martwił się jej zdenerwo-

waniem. Wreszcie obiecał, że na pewien czas wyjadą do Londynu. Postanowili zabrać ze sobą Toby'ego, który też źle znosił pobyt w Taplow Court. Edwina z niecierpliwością wypatrywała dnia wyjazdu.

Późnym wieczorem Adam, przechodząc przez dziedziniec, zauważył cień za oknem na parterze, we wschodnim skrzydle budynku. Zdziwił się, gdyż ta część dworu była niezamieszкана. Wszedł do środka i nadstawił ucha. Cisza. Na próżno wyteżał wzrok. Zniechęcony wyszedł. Nie zauważył sylwetki ukrytej za wysoką szafą.

Pożar wybuchł nocą, właśnie we wschodnim skrzydle. Adam obudził się z niepokojem. Usiadł na łóżku i poczuł dym. Zerwał się i podbiegł do okna. Odblask płomieni już tańczył po dziedzińcu. Adam obudził Edwinę.

- Co się stało? - zamruczała.

- Wstawaj. Ubierz się prędko! - zawołał, wkładając koszulę. - Pali się. Wiatr roznosi ogień na inne budynki. Zabierz Toby'ego i służbę na zewnątrz. Spróbujemy to jakoś ugasić.

Część służby już uformowała na dziedzińcu żywy łańcuch, podając sobie wiadra z wodą. Adam zobaczył Williama Hewitta. Podbiegł do niego.

- Na litość boską, co się stało, Will? - zawołał.

- Nie mam pojęcia! Chyba tam ktoś został! Lokaj widział człowieka w pokojach na parterze.

Adam bez namysłu chwycił najbliższe wiadro i wylał je na siebie. W tej chwili podbiegła do niego Edwina, a za nią Toby.

- Co ty robisz? - krzyknęła.

- Ktoś jest w środku! - zawołał. - Spróbuję go wyciągnąć!
- Nie chodź tam! Zginiesz... - błagała ze łzami w oczach.
- Nie bój się. Nic mi się nie stanie. Za chwilę wrócę.

Z szeroko rozwartymi oczami patrzyła, jak wbiegał do płonącego budynku. Po chwili zniknął w kłębach dymu.

W środku panował niesłychany żar. Adam pobiegł wzdłuż korytarza i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami jakiegoś pokoju. Zobaczył postać pochylającą się nad wypchanym workiem. To był Jack Pierce.

Rabuś trzymał w rękach ciężki srebrny lichtarz.

- Pierce? Co ty tu robisz, do diabła?! - krzyknął Adam.

Jack gwałtownie uniósł głowę. Ujrzał przeciwnika i z lichtarzem w ręku rzucił się na niego. Adam usiłował zasłonić się przed ciosem, ale poczuł tępe uderzenie w głowę i zatoczył się na ścianę. Pierce wypadł na korytarz i pobiegł w głąb domu - tam, gdzie szalał największy pożar.

Płomienie strzeliły wyżej. Pierce zachwiał się i zniknął w morzu ognia, prawdopodobnie przygnieciony spadającą belką. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Adam, trzymając się za głowę, skoczył w tamtą stronę, ale musiał się wycofać odepchnięty żarem.

Krztusząc się, ledwie dotarł do głównego wyjścia. Zdyszany podbiegł do ratowników i znów wylał na siebie wiadro wody.

Chwilę później Edwina złapała go w objęcia.

- Żyjesz! - załkała. - Och, dzięki Bogu! Już byłam przekonana, że zginąłeś!

Adam wyprostował się, wziął ją w ramiona i zanurzył osmoloną twarz w jej włosach. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Widziałeś tam kogoś? - zapytała Edwina po długim milczeniu.

Popatrzył na nią.

-Tak.

- Kto... kto to był? Poznałeś go? - dopytywała się. W jej oczach wciąż widniało przerażenie. - Nie żyje?

Adam tylko kiwnął głową.

- To... on podłożył ogień?

- Chyba tak. Jedno jest pewne. Żadne z nas już nie musi obawiać się Jacka Pierce'a.

Popatrzyła na niego osłupiała.

- Tak, to był Pierce. Chciał się na nas zemścić. A przy okazji postanowił ukraść nieco kosztowności.

- Więc jednak spełnił swoją groźbę...

- Na to wygląda. Zamierzał nas spalić żywcem. Bóg wie, dlaczego nie uciekł zawczasu, kiedy miał okazję.

Długo stali w milczeniu, patrząc na szalejący pożar.

- Nic więcej nie możemy zrobić - odezwał się ktoś koło nich.

Adam odwrócił się i zobaczył Henry'ego Marchanta.

- Przyjechałem tu, gdy tylko zobaczyłem łunę. Dzięki Bogu, jesteście bezpieczni... - westchnął sir Henry. - Mogę w czymś pomóc?

- Proszę zabrać Edwinę i Toby'ego do Oakwood Hall. Przyjadę tam trochę później. - Adam rozejrzał się za Williamem Hewittem. - Odwołaj wszystkich, Will. To nie ma sensu. Niech się pali.

Nowy dwór Taplow niczym nie przypominał starego. Przede wszystkim stał bliżej lasu. Już z daleka sprawiał niezwykle

ciepłe, przytulne wrażenie. Widać było, że mieszka tu szczęśliwa, kochająca się rodzina.

Edwina siedziała na trawie obok Adama. Oboje z uśmiechem patrzyli na dwuletniego synka, Thomasa, który chwiejnym krokiem uganiał się za puchatym szczeniakiem.

Unieśli głowy, słysząc tętent. To nadjeżdżał Toby. Z biegiem czasu stał się wspaniałym jeźdźcem. Tak jak jego ojciec kochał konie. Nie myślał już o nieszczęściach, jakie go spotkały. Wprawdzie lekarze sprowadzeni przez Adama stanowczo orzekli, że nie mogą wyleczyć jego nogi, ale to mu chyba nie przeszkadzało. Uwielbiał sport i wbrew kalectwu wyrastał na silnego, zręcznego młodzieńca.

Ku radości rodziców mały Thomas po prostu go uwielbiał. Teraz także na jego widok zapomniał o pieku i ze śmiechem zaczął podskakiwać.

Adam popatrzył na niego z rozrzewnieniem.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, moja hrabino, że dałaś mi tak wspaniałego syna - powiedział, głaszcząc ją po wydatnym brzuszku. Edwina oczekiwała następnego dziecka.

- Pamiętam czasy, kiedy groziłeś, że mnie udusisz - odparła ze śmiechem. - Raz też nazwałeś mnie gówniarzem. Daleka droga do hrabiny!

- Wtedy nie wiedziałem, że pod grubą warstwą brudu kryje się tak wspaniały klejnot.

- A teraz?

- Wiem, że gdy natknąłem się na złodziejzka Eda, spotkało mnie prawdziwe szczęście. Ale wolę cię w tej postaci.

- To bardzo dobrze - zamruczała, opierając się o niego.

- Dlaczego płaczesz? - spytał Adam na widok łez na jej policzkach.

Edwina popatrzyła na niego z miłością.

- To z radości - odpowiedziała. - Cieszę się, że pokonaliśmy przeszłość. Uciekliśmy od niechcianych wspomnień.

Adam wziął ją w ramiona. Zupełnie zwyczajnie, ale w tym prostym geście kryła się cała głębia jego uczuć.